

AGNIESZKA  
JEŻ



TOM 1

SAGA RODZINY

# POLAKOWSKICH

NAGŁY  
ŚWIT

 słowne

AGNIESZKA  
JEŻ

TOM 1

SAGA RODZINY

**P**OLAKOWSKICH

NAGŁY  
ŚWIT

 słowne



# Prolog

*Niemowicze, jesień 1937 roku*

Anna przymknęła oczy. Na powiekach poczuła słoneczne ciepło; świat zamienił się w miedzianozłote rozbłyski.

– Nie odpływaj. – Tuż przy uchu usłyszała cichy głos.

Uśmiechnęła się i nie zmieniając pozycji, wyciągnęła w bok prawą rękę. Poczowała go. Był tam, stał tuż obok. Delikatnie zacisnęła dłoń na jego ramieniu; mogła je objąć tylko połowicznie. Ten silny, ukochany mężczyzna, ten moment, ten pogodny, piękny, gorący, wczesnojesienny dzień spędzany w miejscu, gdzie zaczęło się ich wspólne życie. Poczowała, że w jej wnętrzu brakuje już miejsca, żeby pomieścić to szczęście.

– Nie odpływam. Stoję, przy tobie. Pewna i spokojna. – Wbrew tej deklaracji z trudem nadała swojej wypowiedzi lekki ton.

W końcu podniosła powieki. W kąciku oka poczuła wilgoć.

– Płaczesz? Co tobie? – Franciszek nachylił się ku niej.

– To z radości.

Palcem wskazującym, wyswobodzonym z ażurowej rękawiczki, strzepnęła łzę, która zdążyła już popłynąć po policzku.

– Z radości? – Popatrzył na nią z niedowierzaniem. – Na pewno nie stało się nic, kiedy poszedłem z Ignacym do...

– Nie, na pewno! – przerwała mu gwałtownie. – To jest... po prostu widzisz... – Bezradnie rozłożyła ręce. – Tyle powieści czytam, tyle różnych słów dzięki nim poznaję, a jak przyjdzie co do czego, to żadne nie pasuje... – Pokręciła głową.

Franciszek Polakowski objął żonę. Dała mu się przygarnąć, zatopiła twarz w kłapie jego lnianej marynarki. Zapachniało wodą kolońską, tytoniem, biblioteką – mieszanką zapachów z ich mieszkania w Łucku. To wciąż była nowa nuta, niby podobna do poprzedniej, gdy żyli w Niemowiczach, ale jednak inna. Każdy dom ma swój zapach. Lekko się odsunęła; poprawiła włosy, przejechała dłonią po delikatnej skórze pod okiem, próbując wyczuć, czy maskara przypadkiem się nie pokruszyła, brzydko czerniąc jej twarz.

– Pięknie wyglądasz. Jak zawsze. Jak wtedy, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem w kawiarni. U Noworolskiego, pamiętasz?

Uśmiechnęła się. Pytał retorycznie, po to, żeby ją rozchmurzyć, bo jak by mogła zapomnieć?

– Dwadzieścia cztery lata temu – powiedziała.

– Dwadzieścia cztery. – Pokiwał głową. – Oboje byliśmy tacy niepewni przyszłości.

Znowu się uśmiechnęła. Franciszek Polakowski był wtedy młodym, zdeterminowanym, rozognionym, podobnie zresztą jak ona, człowiekiem. Z nich dwojga jednak to ona raczej...

– To w tobie były spokój i przekonanie, że nam się uda. Zaraziłaś mnie tą niezłomnością. Wszystkich nas tym zaraziłaś, nawet swojego ojca.

Pokiwała głową. Roman Niwczyk zdążył już przez wszystkie przypadki odmienić słowo „mezalians”, ale ostatecznie zgodził się na ślub. Po cichu pewnie się łudził, że wojenne losy mogą zmieść

Franciszka z drogi jego córki, ale kiedy się okazało, że los oszczędził tego młodego mężczyznę, a armia dała mu stopień kapitana, spasował. Zresztą Anna miała już prawie dwadzieścia pięć lat, dawno było po ostatnim dzwonku na zamążpójście.

– Od tylu lat jeszcze szczęśliwym mężem najcudowniejszej kobiety pod słońcem. Spełnionym ojcem dwóch córek. I do dziś myślałem, że moja żona podziela te myśli i odczucia.

– Bo podziela! Podziela bezsprzecznie! – Anna wiedziała, że to udawane rozterki, ale i tak wspięła się na palce i mocno pocałowała Franciszka w policzek.

A on się nie zdziwił. Miłość, która u wielu ich znajomych karłała, cichła pod naporem mijających od ślubu lat, w ich przypadku nic sobie nie robiła z upływem czasu.

– Podziela. – Anna powtórzyła po raz trzeci. – Tylko ja... ja się boję.

Wreszcie udało się jej zrozumieć, czym było to uczucie, które rozszamotało się w jej piersiach jak złapany do klatki ptak.

– A czego ty się boisz, Anulka?

Franciszek znowu chciał ją przytulić, ale tym razem go powstrzymała, opierając dłoń na jego piersiach.

– Tu jest tak pięknie... – Spojrzała przed siebie.

Stali na skraju wysokiej łąki okolonej gęstym lasem. Bliżej nich bieleły się pnie brzoź; mchy porastające ziemię pod nimi wyglądały jak jasnoszmaragdowy dywan. Dalej las gęstniał miodowymi pniami sosen i ciemnobrązowymi dębów; wyżej lekko falowała ciemnobłyszcząca zieleń, gdzieniegdzie przetkana już odcieniami rudego. Pachniało miodno-leśnie, upojnie.

Anna przeniosła wzrok w prawo, gdzie widać było ładną bryłę drewnianego budynku.

– Żal ci, że wyjechaliśmy – bardziej stwierdził, niż zapytał Franciszek. – Mnie też tu było dobrze, ale to, co teraz mam, to awans. Nie jestem już taki młody, ale może po Łucku przyjdzie jeszcze lepsza oferta, może następnym razem pojedziemy na przykład do Lwowa. – Popatrzył na nią. – Nie chciałabyś?

– Mnie jest dobrze w Łucku. – Anna pogłaskała go po ramieniu.

– No to skąd ten smutek? – On też posmutniał.

– Nie smutek, tylko lęk. – Znowu to powiedziała.

– Lęk? A czego ty się boisz? – A on znowu zapytał.

Anna zerwała długie źdźbło trawy i powoli zaczęła nawijać je na palec.

– Zdarzyło ci się kiedyś myśleć, że już masz wszystko, że nie chcesz od losu nic więcej?

– Kiedy twój ojciec wreszcie się zgodził na ślub. – Pogłaskał ją po policzku.

– A potem zostaliśmy tu osadnikami. I na świecie pojawiły się nasze córki. Byliśmy zdrowi i byliśmy razem. Był taki moment wdzięczności, że gotowa byłam do Ostrej Bramy iść, żeby za to wszystko podziękować, bo to była dla mnie pełnia szczęścia – ty, dzieci, Niemowicze. Z Łucka się ucieszyłam, bo ty się cieszyłeś, a twoja radość jest moją radością, ale teraz, kiedy tu przyjechaliśmy w odwiedziny do Zajkowskich...

– Czyli jednak żałujesz. – Franciszek zmarkotniał.

– Nie! – Anna zaprzeczyła gwałtownie. – Po prostu nagle się przestraszyłam, że mamy więcej i więcej, lepiej i lepiej, a przecież już to

stare było piękne i dobre, więc po co sięgać po nowe? Może trzeba umieć się zatrzymać, bo los w końcu się od nas odwróci i ukarze nas za to niepoohamowanie?

Tak mocno pociągnęła za źdźbło, że kawałek łożki został jej w palcach. Franciszek ujął jej dłoń.

– Anulka, o co chodzi?

Powoli uwalniał jej palec z owiniętej trawy, która zdążyła już zostawić czerwoną serpentynę na skórze.

– Nie wiem. – Bezradnie uniosła ramiona i opuściła je. – To po prostu nagle do mnie przyszło.

– Może to z powodu kobiecych emocji? Może to jest ten czas w miesiącu?

– Nie. I naprawdę nie mam pojęcia. To się samo zjawilo i bylo, to znaczy jest, bo wciąż czuję to drzenie, jak... jak jakieś memento.

– Ech, Anulka. – Franciszek przygarnął ją do siebie. – Zbyt wrażliwa jesteś. Wszystko jest dobrze. Popatrz. – Rozejrzał się dokoła. – Jakie tu cisza i spokój. Żyliśmy tu, odchowaliśmy dzieci, a teraz jesteśmy tam, gdzie więcej możemy skorzystać. To się nazywa rozwój. Pracowici, mądrzy ludzie chodzą takimi ścieżkami. Wiedzą, czego chcą, i sięgają po to.

Lekko odsunął ją od siebie. Kąciki jej ust podjechały do góry, ale oczy wciąż miała smutno-poważne.

– A ja? Gdzie ja bym był, gdybym się nie odważał? Może bym nigdy z Bobowej nie wyjechał, a jeśli już, to najdalej do Sącza? Na pewno nie do Krakowa. Mówiłem ojcu o lepszym życiu, które czeka za rogiem, a on mi, że za rogiem to można w głowę dostać. – Roześmiał się. – Ale w końcu pomógł, uległ moim prośbom, namolnym, przyznaję. I stryja uprosił, dla mnie specjalnie, bo wcześniej jakieś niesnaski między nimi



były. Ale co się nabał, co czarnych wizji poroztaczał... A czy ja ci opowiadałem o „pięknym Bolku”?

– Pięknym Bolku? – Spojrzała na niego skonsternowana.

– Och, przepraszam, o Bolesławie Wieniawie-Długoszowskim. – Franciszek udał, że się mityguje. – On się przecież w Bobowej wychowywał, jak i ja. Starszy ode mnie o kilkanaście lat, ale pamiętam, jakie wieści dochodziły z majątku – że z kolejnych szkół relegowany, że temperament nie do okiełznania i co to w ogóle z tego chłopaka będzie. No i jest generał. A wcześniej adiunkturę przy Marszałku pełnił. Szedł po swoje, choć krętą drogą.

– Chyba na niej został, jeśli chodzi o życie uczuciowe. – Anna przestała rozmasowywać palec. Różowe pręgi zbladły, równając się z kolorem skóry. – Ale to inny przypadek, on nie chciał za dużo, bo w jego świecie zbiera się fanty, medale i ordery. Los, co potrafi salto zrobić, zwykłych ludzi dotyczy. Nie wiem, naprawdę nie wiem, skąd to do mnie przyszło. Och, Franko, Franko...

Anna przytuliła się do męża. Franciszek nachylił się ku niej i otoczył ją ramieniem. Najpierw pocałował ją w policzek, potem w kącik ust; za trzecim razem ich wargi się spotkały. Czuła bijące od niego ciepło, które i ją rozpalało.

– Kocham cię. Jak wtedy i jak zawsze. – Na chwilę się odsunął.

– Ja ciebie też.

Oddychała szybko; w piersiach ponownie poczuła drżenie, ale to nie był już ten niedawny lęk.

Franciszek znowu się ku niej nachylił. Jedną ręką podtrzymywał jej szyję, drugą objął jej talię. Całował ją coraz zachłanniej. Mocniej się przegiął, jego dłoń zjechała niżej.

– Franku. – Drżenie zahaczyło o lęk. – No coś ty, gdyby ktoś nas tu tak zobaczył.

– Nie zobaczy.

Uklęknał, pociągając ją za sobą. Teraz intensywnie poczuła inny niż kolońsko-tytoniowy zapach – nagrzanej ziemi i dojrzałych traw. Przez moment chciała się poderwać, otrzepać suknię, znów powiedzieć, że nie wypada, ale zamiast tego powoli przechyliła się do tyłu, aż jej plecy skleiły się z podłożem. „Grawitacja”, pomyślała, odczuwając w tym momencie metafizyczne znaczenie tego naukowego terminu. Jakaś siła ciągnęła ją ku ziemi, podpowiadając, że tu znajdzie ukojenie. Przejechała dłonią po trawach; zafalowały, wprawiając w ruch stojące powietrze. Po chwili nadpłynęła druga fala, intensywniejsza. Jednocześnie zrobiło się jej i chłodniej, i goręcej; głowa Franciszka przysłoniła słońce, ale to odcięte ciepło jakby przeniknęło do jej wnętrza. Taka sama prażąca fala zaczęła sunąć po jej udzie i jeszcze wyżej.

– Och! – jęknęła.

W tym krótkim słowie-westchnieniu był ten sam pulsujący rytm co w jej biodrach i sercu. Narastające napięcie, emocje, które ją zalewały, przyspieszający świat, ale tu wiedziała, że po wszystkim spłyną na nią ulga i spokój. Poddała się temu pędowi, wyczekując finału. Nastąpił, podwójny, synchroniczny. Dwa okrzyki przecięły gęste, nagrzane powietrze.

Anna jeszcze przez chwilę szybko i urywanie łapała powietrze. Potem jej oddech się uspokoił. Nie otwierając oczu, przesunęła dłoń po trawie. Franciszek zamknął jej drobne palce w uścisku.

Pod powiekami znowu miała miedzianozłoty świat. Poczuli się jak w łupince orzecha – bezpieczna i szczęśliwa.

„Niech to trwa”, pomyślała, zaklinając w duchu tę chwilę.

# Rozdział 1

*Łuck, lato 1939 roku*

– A więc wojna.

Mężczyzna stojący naprzeciwko niego skinął głową, ale nic nie powiedział.

Franciszek Polakowski też już nic nie dodał. Co trzeba było powiedzieć, zostało powiedziane. Końcówkę wakacji spędził na wieczornych spotkaniach z innymi oficerami. Za zamkniętymi drzwiami, ściszym głosami, żeby nie psuć i tak już napiętej atmosfery. Żeby nie denerwować i nie martwić dzieci.

Dzieci.

Odwrócił się od lustra i spojrział w kąt pokoju. Powoli, uważając na skrzypiące deski, zrobił kilka kroków.

– Krzysiu, Krzysiu... – Nachylił się nad śpiącym synem.

Rok. Co można zrozumieć, gdy ma się rok? W tym wieku to nie myśli mają znaczenie, a odczucia – takie najprostsze, pierwsze: bezpieczeństwo, ciepło, zaspokojony głód – to się wtedy liczy. Jeśli to jest, to jest już wszystko, można spokojnie zasypiać i spokojnie się budzić. „Krzysiu zaśnie spokojnie – pomyślał – ale kiedy się obudzi...”

To było nieznanne uczucie. Różne sprawy się w jego życiu zdarzyły, większe i mniejsze, rozmaite uczucia im towarzyszyły, przecież był czterdziestoczteroletnim mężczyzną, żaden z niego młokos, który niczego nie doświadczył. Wielka miłość do Anny, długa z nią rozłąka, niepewność, czy uda się spleść ich losy, walki w kompanii piechoty, gdzie krew, pot, a bywało, że i łzy, lęk przed śmiercią, radość ze zwycięstwa, gdy przedrozbiorowe ziemie wróciły do ojczyzny, obawa o zdrowie żony, kiedy nosiła pod sercem jego dzieci, wzruszenie, gdy one łąpały pierwszy oddech na tej ziemi. Najpierw Zosia, potem Elżbieta i wiele lat po nich, kiedy już nie myśleli, że Bóg ich obdarzy potomstwem – Krzysztof. Krzyś, Krzysiułek. Syn, syneczek. Znowu to dławienie rozpychające się między gardłem a piersiami. Kochał córki, były jego dumą, mniejszymi kopiami Anny, ale syn... Krew z krwi, przedłużenie rodu. Dywidenda od losu, gdy już się jej nie spodziewał.

Tak powiedział Annie wczoraj wieczorem, kiedy wiedział, że jutro o świcie wyruszą. Niemcy zaatakowali Polskę; Franciszek Polakowski wciąż był mężem, ojcem i pracownikiem banku rolnego, ale teraz na pierwsze miejsce wysunęła się rola oficera. To nie człowiek wybiera, co w danej sytuacji jest najważniejsze, który kostium włożyć i które powinności ustawić na piedestale, tylko los. Ten sam, który mu wypłacił dywidendę w postaci syna. „Widzisz – odparła Anna, gdy o tym rozmawiali – los mniej obliczalny od banku. Raz wypłaci niespodziewaną premię, raz do plajty doprowadzi”. Nie rozplakała się, choć była tego bliska. „Będzie dobrze, Anulka”, przygarnął ją do siebie. Ona pokiwała głową, pieczętując to zdanie-obietnicę.

Pogłaskał ciepły policzek syna. Chłopiec spał z rączkami rozrzuconymi na boki, cicho i równo oddychając. Franciszek się nad nim nachylił. Nic na świecie nie pachnie tak ładnie jak małe dziecko – ani majowy las po deszczu, ani zżęte zboże, ani róże w Niemowiczach czy

perfumy Anny z Paryża. Nic, bo w tym dziecięcym zapachu są czystość i zapowiedź przyszłości.

Odchrząknął. Nie, to jest niedorzeczne, żeby on, dojrzały mężczyzna, który jutro o świcie włoży oficerski mundur, dawał się ponosić takim uczuciom.

Wyprostował się. Jeszcze chwilę stał, trzymając dłoń na wysokim drewnianym oparciu łóżka, a potem przeszedł przez uchylone dwuskrzydłowe drzwi do sypialni.

Anna klęczała przy łóżku i się modliła. Między palcami przesuwała koraliki różańca, a kiedy skończyła, podniosła się z klęczek i podeszła do męża.

– Nie śpisz jeszcze? – zapytał Franciszek.

Widział oczywiście, że daleko jej do snu, ale nie wiedział, jak inaczej zagać rozmowę. Przez tych kilkadziesiąt sekund i kilka metrów udało mu się wrócić do zwyczajowej formy, choć niepokój z tyłu głowy pozostał. I lekko drżący głos.

– Jak widzisz. – Anna uśmiechnęła się blado. Miała mniej wprawy w trzymaniu fasonu. Albo mniej ochoty, by udawać spokój. Albo więcej odwagi, by pokazać prawdziwe uczucia.

– Jutro wczesna pobudka, czas się kłaść – powiedział.

Pokiwała głową.

– Tak, zaraz... Na pewno o niczym nie zapomniałeś? – Spojrzała na skórzaną torbę stojącą pod szafą.

– Przecież nie jadę na wieczność. – Wrócił mu zwyczajowy animusz. – Zresztą żona o mnie zadbała. – Przejechał dłonią po jej długich, gładkich włosach. Anna i córki miały włosy w kolorze

kasztanowym, on i syn – dojrzałego zboża. Coś go znowu ukłuło pod łopatką.

– Modlitewnik?

– Wzięty.

– To jeszcze różaniec.

– Też schowany.

– Nie, weź ten. – Położyła na jego dłoni drewniane koraliki ogrzane ciepłem jej palców.

– To twój przecież – zdziwił się.

I znowu ukłucie. Co się z nim działo?

– Mój, twój. W małżeństwie wszystko wspólne.

Franciszek przez chwilę się wahał. To był różaniec z Ziemi Świętej, Anna przywiozła go, gdy jeszcze nie byli małżeństwem. Pojechała na pielgrzymkę z matką. Wiedział, że jedną z intencji był on – żeby go wichry historii nie zdmuchnęły, i oni – by los pozwolił im się połączyć. Ten różaniec wiele dla niej znaczył. Tysiące dotknięć – za którymi szły prośby i podziękowania – wypolerowały drewno, które teraz było gładkie jak szkło.

– Weź. – Przytuliła się do niego.

W końcu porzuciła twardą postawę i się rozpłakała. Franciszek stał, w jednej dłoni ściskając różaniec, a drugą gładząc żonę po plecach.

– Anulka, no Anulka...

Nie chciał jej opowiadać o tym, co poczuł, nachylając się nad łóżkiem syna. On wyjeżdżał, ona zostawała, oboje potrzebowali teraz siły i opanowania.

– Będzie dobrze, zobaczysz. Przecież my już to znamy, już w tym byliśmy. Wygraliśmy z Niemcami, wygraliśmy z bolszewikami...

– A jak oni teraz wrócą? – Anna podniosła na niego zażawione spojrzenie.

Franciszek nic nie powiedział. To była obawa, która przyszła bardzo szybko. Pierwszy wrzeźnia to była pierwsza tragedia, bardziej spodziewana, bo przecież na wojnę zanosilo się od miesięcy, ale druga – sowiecka – wisiała w powietrzu, oceniając sytuację jeszcze bardziej.

– Oni się nigdy nie pogodzili z tym, że odzyskaliśmy swoje ziemie. Nigdy! Chcą nas zalać swoim komunizmem, chcą z nas zrobić zaplecze do dalszych walk. Bo oni mają apetyt większy niż to ich wielkie imperium! – Anna wybuchła. – Zatrzymają się dopiero tam, gdzie ktoś postawi im tamę!

Franciszek już dawno nie widział jej tak wzburzonej.

– Ja się ich boję! Bardzo, więcej niż Niemców. A teraz, kiedy jedni nas napadli, to drudzy...

„To drudzy już się czają, jak hieny, które obserwują, jak inny drapieżnik szarpie ich ofiarę”, pomyślał Franciszek. Anna była mądrą kobietą. No i znała go jak nikt inny. Nie było sensu dalej robić uników.

– Ania, ja to wiem, rozumiem, ale nie można się dawać lękom. Jedziemy walczyć, prócz taktyki wiara jest potrzebna. O, jak tu.

Franciszek podszedł do stolika nocnego i się schylił.

– Popatrz, co mam. – Wyciągnął w jej stronę dłoń, w której trzymał pocztówkę.

Anna znała tę kartkę. Prezent od Ignacego Zajkowskiego, dobrego kolegi Franciszka, dołożony do zupełnie odmiennych stylistycznie win francuskich. Mroczna, czarno-szara pocztówka z żołnierzem na koniu,

który walczył z potężnym wężem. Niżej podpis: „A życie jego – trud trudów, a tytuł jego – lud ludów. Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy, a imię jego czterdzieści i cztery. Sława! Sława! Sława”. Kartka była na poły humorystyczna; to znaczy nie oryginalnie, bo przecież nikt sobie z Mickiewicza i jego prorocत्व nie myślał żartować, ale dana na ostatnie, właśnie czterdzieste czwarte urodziny Franciszka, była takim lekkim mrugnięciem okiem, wyważeniem między żartem a powagą. W końcu byli Polakami, a Polakom historia nie dawała od siebie odpocząć. Teraz jednak żart się ulotnił, podobnie jak burgundowa zawartość butelek.

– Wypadła, widać, z książki, w której zakładałem nią strony. Schowam do torby. – Zrobił krok w stronę szafy. – Albo nie. – Zatrzymał się nagle. – Nakreślę na niej kilka słów, dla Krzysia. Gdyby... gdyby ta moja nieobecność się przeciągnęła. Panny już całkiem duże, zresztą myślę, że będzie można pisać, korespondencja oczywiście ułomna, wojenna, ale jak zostawię tę kartkę, to zawsze się będzie można do niej odwołać. A potem, jak już wrócę, to ją damy w ramki i będziemy wspominać ten czas. Z ulgą i uśmiechem, jak to robią wygrani.

Szybko przeszedł przez kolejne drzwi, do niewielkiego pokoju będącego jego gabinetem, i zasiadł do biurka ustawionego pod ścianą. Zamoczył pióro w kałamarzu i przez moment trzymał stalówkę nad tekturowym karteluszkiem. Granatowa kropla atramentu skapnęła na czystą do tej pory powierzchnię. „Nie szkodzi”, pomyślał, patrząc na kleksa. Napisał: „Krzysiu! Wyruszyłem walczyć o Ojczyznę. Teraz Ty jesteś jedynym mężczyzną w tym domu. Dbaj – bacząc na własne możliwości – o Mamę, Zosię i Elżunię. Całuję, Twój Tata, Franciszek Polakowski”.

Chuchnął na atrament i kilka razy powachlował pocztówką.



Wrócił do sypialni. Anna siedziała na brzegu łóżka i rozczesywała włosy.

Podszedł bliżej i uklęknął przed nią.

– Na twoje ręce. – Przekazał jej kartkę.

Przeczytała zapisane słowa.

Rozchmurzył ją, to potrafił świetnie. Wsunęła mu dłoń we włosy i zmierzwiła je, jak niesfornemu chłopcu.

– Żeby Krzyś to zrozumiał, kiedy ty będziesz na froncie, to musiałyby być wojna piętnastoletnia. – Na moment się uśmiechnęła, ale zaraz posmutniała. – Trochę żart. Ale miły, prawda?

Objął ją w pasie. Anna zastygła, z kartką w jednej ręce i szczotką do włosów w drugiej.

– Mam cię. W niewoli! – Franciszek zatriumfował.

Lekko się podniósł i delikatnie napał na Annę, tak że się przechyliła i dotknęła plecami wykrochmalonej kołdry.

– Późno już, a jutro wcześniej... – próbowała coś powiedzieć.

– Nie wiadomo, kiedy znowu będziemy razem – przerwał jej Franciszek, kładąc się obok niej.

– Tobie się zawsze zbiera na amory w nieodpowiednich porach. Albo w nieodpowiednich warunkach.

Przypomniała sobie łąkę w Niemowiczach.

Franciszek musiał czytać jej w myślach.

– Gdyby nie tamto, to łóżeczko wciąż stałoby puste. To chyba jednak wiem, co robię?

Wiedział. Anna pomyślała, że jej mąż zawsze wie, co robi. Między innym dlatego się w nim zakochała i dlatego czekała na niego kilka lat.

I teraz też poczeka.

Rozluźniła obie dłonie. Szczotka z cichym łaskotem spadła na dywan przed łóżkiem. Pocztówkę lekko odsunęła od siebie.

Kiedy świtem, po odprowadzeniu Franciszka do drzwi wyjściowych, wróciła jeszcze do łóżka, wsunęła dłoń pod jego poduszkę.

Wyczuła papier. To była ta pocztówka. W prawie doskonałym stanie przetrwała ostatnią noc. Miała tylko jedno delikatne zagięcie, w miejscu, w którym Franciszek się podpisał.

Anna znowu się podniosła. Sięgnęła do szafki nocnej i zdjęła z niej modlitewnik. Wsunęła kartkę między jego strony. Przeżegnała się, pięć razy, za każde z nich. I szósty raz, za Polskę.

## Rozdział 2

*Lida, lato 1939 roku*

„Silni! Zwarci! Gotowi!”, „Silni! Zwarci! Gotowi!”, Jan miał przed oczami plakaty, którymi nie tak dawno sam pomagał obwieszać miasto. Z radia płynęła wtedy piosenka: „Nikt nam nie ruszy nic, nikt nam nie zrobi nic”, po ulicach chodzili żołnierze z różnych formacji, no więc czy mogły być lepsze gwarancje, że biegu ich spokojnego życia nic nie odmieni, mimo pogłosek płynących ze świata? A tymczasem...

– Nie płacz, Alina, będzie, co ma być. – Ojciec na chwilę podniósł wzrok znad skrzyni, w której przewalał rzeczy. – Wrócę, a póki mnie nie będzie, jest Janek. Janek – teraz przeniósł wzrok z roztrzęsionej żony na szesnastoletniego syna – masz dbać o matkę. I żadnych teraz głupot w głowie, pamiętaj.

Jeszcze kilka miesięcy temu wokół tych „głupot” toczyło się ich życie. Janek został relegowany z ludzkiego gimnazjum, jako „nierokujący poprawy w nauce”, i „zesłany” do słonimskiej placówki. Ojcu jednak udało się go przywrócić, wiadomym tylko sobie sposobem. „Żeby ja musiał tak po prośbie, tak poniżej godności munduru...”, Józef Biały zacisnął pięści i zęby. Nosił mundur policjanta, a Janek chciał wojskowy. Tak go piliło do wojaczki, że geometria i łacina wydawały mu się jedynie przeszkodą na tej drodze. Ale teraz, od siedemnastu dni, gdy rozpoczęła się wojna, dawnej ekscytacji wojskiem

towarzyszył lęk. Zwłaszcza dziś, kiedy widział ojca w takiej panice. Nigdy nic go tak nie zdenerwowało – ani Janek, ani procesy, w jakich brał udział, ani wypadki na obławy, ani potyczki z komunistami. A to znaczyło, że stało się coś gorszego od wybuchu wojny, coś...

– Oni tobie nie darują! Nie darują!

I matki takiej Janek nie widział. Przestraszył się strachu rodziców. Już się bał w tym przedziwnym wrześnie, kiedy nie poszedł do wyproszonego gimnazjum, kiedy patrzył na krążące nad domami samoloty, kiedy ogłuszał go świst padających bomb, a on przytulał się do ziemi w sadzie, wdychając jej wczesnojesienny zapach. Bał się, pomagając kopać rowy przeciwlotnicze na skwerze, bał się, choć także czuł podniecenie, kiedy przy dworcu zaczęli się gromadzić mężczyźni niosący tobołki z prowiantem i odzieżą oraz żołnierze w starych mundurach i nowych żółtych butach. Był lęk, ale była i mobilizacja.

Rodzice też przejęci, ale nie tak wprost; ukrywający przed nim swoje dorosłe sprawy, co przecież było jednym z prawideł świata, trochę przykrym, lecz i zwyczajnym, ale teraz, zupełnie nie w ukryciu, bali się. Bali się, i on to widział. I przejmował od nich ten lęk. Im nie ubywało, Jankowi robiło się coraz gorzej.

– Czego nie darują? – zapytał więc, choć wiedział, że są pytania, których nie wolno zadawać.

Tym razem ojciec nic nie powiedział, tylko spojrział na niego. Bez złości, bez zniecierpliwienia, jakoś tak... ciepło, ze współczuciem, co sprawiło, że Jankowi zrobiło się jeszcze smutniej. I jeszcze straszniej, bo takie czułości były zarezerwowane na sytuacje dramatyczne, jak na przykład choroba płuc, która w zeszłym roku omal nie wysłała Janka na drugi świat. Wyszedł z niej mocno wychudzony, a potem jeszcze urósł, tak że naraz całą garderobę trzeba było zmienić. Na twarzy też się zrobił szczuplejszy i poważniejszy. Nagle z chłopięcego Janka zrobił się Jan –

wysoki, szczupły, z bystrym brązowym spojrzeniem, które czasami przysłaniała ciemna grzywka, czesana tak dla fasonu. Czy teraz jego życie, na progu dorosłości, również było zagrożone?

– Rower mi wyszykuj. I swój też. Kawalek mnie odprowadzisz.

Wróciła szorstkość ojca, ale Janek wiedział, że ona maskuje lęk i wzruszenie. Kiwnął głową. Pierwszy chyba raz w życiu pomyślał, że robota jest dobra, bo zajmuje nie tylko ręce, lecz także głowę.

Poszedł do szopy, wyciągnął oba rowery. Przetarł siodełka, sprawdził łańcuchy, nałożył trochę smaru, zakręcił pedałami.

– Józek...! – Odwrócił się na głos matki.

Stała w progu, uczepiona ojca. On początkowo sztywny, jak deski w płocie, ale w końcu ją objął. Coś jej mówił do ucha, lecz tego Janek nie mógł już usłyszeć. W końcu Józef Biały wysupłał się z objęć żony i spojrzał w kierunku syna. Ręką dał mu znać, że będą się zbierać.

Janek podprowadził do furtki najpierw rower ojca, potem swój.

– Do Żyrmun razem pojedziemy, dalej ja już sam. Potem Janek wróci. I ja wrócę, czekaj mnie, Alina. Alinka. – Odchrząknął.

Ojciec już się nie odwrócił, Janek też nie. I bez tego wiedział, że matka płacze. On również walczył, żeby się nie rozbeczeć. Byłby wstyd, zwłaszcza teraz, gdy potrzeba było silnych mężczyzn.

Nigdy nie widział tylu osób na trakcie. Spod skórzanych butów, końskich kopyt, skrzypiących kół wozów i rowerów unosiła się mgła kurzu. Wszyscy, widać, szli na Wilno.

Nie rozmawiał z ojcem, nie było jak. Uważali na wymijanych pieszych, ustępowali wojskowemu wozom.

Przy kościele Janek zobaczył leżące na ziemi brony – postawione na sztorc i powiązane sznurkiem. Spojrzał na ojca.

– Dywersja. – Ojciec odpowiedział na to niezadane pytanie.

– Ale taka? To przecież...

– Każdy się broni, jak umie. Zapamiętaj, że chęci tak samo ważne jak możliwości.

Janek już to słyszał, gdy szło o naukę i szkołę. Wtedy nie brał tego serio, ale teraz – tak.

Dojechali do znajomego ojca, którego żona już czekała na nich z przygotowanym obiadem. Janek niby był głodny, kartofle z omastą i kapustą były bezsprzecznie dobre, ciasto ze śliwkami jeszcze lepsze, a mimo to od czasu do czasu miał wrażenie, że przetyka teksturę lub kamienie.

Po obiedzie ojciec wyprowadził go przed dom. Stali przed wejściem, ogrzewani popołudniowym słońcem.

– Wracaj już do matki. Ja dalej sam pojedę.

– A dokąd?

Janek w końcu się odważył. Jak nie teraz, to kiedy miałby zadać to pytanie?

– Walczyć.

– A tu nie możesz?

– Mogę. Ale tu... – zawahał się – walka trudniejsza. Tutaj tacy jak ja od razu... od razu mogą mieć bardzo pod górkę.

– A tu jacyś gorsi Niemcy przyjdą niż do Wilna? – Janek się zdziwił.

Ojciec patrzył na niego przez chwilę bez słowa.

– Nie Niemcy, tylko Sowieci. Sowieci też nas napadli.

– Sowieci?

Teraz dopiero Janek zaczął łączyć w całość pojedyncze słowa szeptów, które dolatywały do niego przy stole.

– Sowieni. Będą nas wyzwalać od panów.

„Wyzwalanie” nie zabrzmiało prawdziwie. Ojciec bacznie mu się przyglądał, jakby chciał się upewnić, czy Janek zrozumiał ten cudzysłów.

– Nigdy w to nie wierz. Bolszewicy żadnego wyzwolenia nikomu nie przyniosą, rozumiesz?

Janek zrozumiał komunikat. Zrozumiał też, że to siła, która przeraża jego ojca, policjanta uspokajającego mieszkańców, gdy trwały niemieckie naloty.

Poczuł, że dłużej nie da rady utrzymać lęku w ryzach. Zaczął płakać.

– Nie becz. No, nie becz.

Ojciec podszedł do niego i niezgrabnie go przytulił. Mocno, jak nigdy.

– Teraz musisz być dzielny, matkę z tobą zostawiam. I patrz, co jeszcze ci zostawiam.

Ojciec wyciągnął zza paska małego browninga, którego czasem pozwalał mu czyścić.

Janek wysunął ręce przed siebie.

– Nie, tak to nie, bo jakby cię kto rewidował, to nieszczęście gotowe. Tu będzie dobrze.

Ojciec się schylił i przez chwilę mocował z metalowym stelażem siodełka.

– No, trzymaj się, ale uważaj. W ogóle uważaj. I...

Janek wyczuł, że ojciec chce coś jeszcze dodać, ale w końcu ponownie ścisnął go za ramiona i odsunął się o dwa kroki.

– No, jedź, jedź już, bo droga daleka.

Janek wsiadł na rower, ostatni raz spojrzął na ojca i zaczął pedałowac. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Tłum się przeredził, już tylko pojedyncze postaci mijały go na drodze. Mimo to było pyliście, aż w oczy gryzło. Dopiero po chwili się zorientował, że to nie tuman, tylko jego łzy.

Zatrzymał się i przetarł oczy rękawem koszuli.

I wtedy zobaczył coś dziwnego na drodze. W jego stronę, tym razem naprawdę w obłoku kurzu, ktoś jechał. Jakaś większa grupa.

Powoli ruszył w jej kierunku. Zrozumiał, że to konie, ale mniejsze, wychudzone. „Jakie chabety”, pomyślał. Jeźdźcy również byli zabiedzeni. Bure, chyba od brudu, szynele mieli postrzępione, na głowach dziwne spiczaste czapki ozdobione czerwonymi gwiazdami.

Chciał ich minąć, ale jeden, ten, co jechał na czele, zatrzymał go gestem dłoni. Podjechał bliżej i zaczął coś do Janka mówić. Janek zrozumiał, że to rosyjski; uczyć się go nie uczył, ale dokoła dużo było podobnej mowy. *Komandir*, to pojął, i to znaczyło, że mówił do niego ich dowódca.

– Wy otkuda?

Mężczyzna patrzył na niego ciemnymi, skośnymi oczami. Nie zszedł z konia, karabin uwiązany parcianym paskiem wciąż miał przerzucony przez plecy.

– Od znajomych. Do domu jadę. Do matki.

Teraz obcy zrozumiał jego. Bo kto by nie zrozumiał słowa „matka”?



Żołnierz wciąż patrzył na niego, a Janek wciąż nie był pewien, co to spojrzenie znaczy. Powoli więc, jedną rękę podnosząc na znak pokojowych zamiarów, sięgnął do chlebaka przewieszzonego przez ramię.

– To moja legitymacja. Dokumenty – powiedział, wyciągając papiery z gimnazjum. Zdążył je odebrać, nim stało się jasne, że na razie żadnej nauki nie będzie.

Skośnooki nachylił się i wziął od niego papier. Przejrzał, jakby rozumiał, co tam napisane – że Jan Biały to żaden wróg, tylko zwykły polski uczeń.

– Bumaga. – Pokiwał głową, ale większe zainteresowanie przejawiał czerwonym rowerem Janka niż jego papierami.

I w tym momencie Janek przypomniał sobie o pistolecie. Poczuł, że serce zaczyna mu tak walić, że na pewno ten dziwnie wyglądający mężczyzna zaraz je usłyszy. I zorientuje się, że coś jest nie tak.

Nic takiego jednak się nie wydarzyło. *Komandir* jeszcze przez chwilę mu się przyglądał, potem się schylił i oddał mu dokumenty.

Krzyknął coś trudnego do powtórzenia, spiął niechętnego do jazdy konia i grupa ruszyła przed siebie.

Janek odprowadził ich wzrokiem. Dopiero teraz poczuł, że dłonie mu zdrętwiały – tak mocno ścisnął kierownicę. Zaczął poruszać palcami, aż wróciło do nich zwyczajne krążenie.

Wsiadł na rower i ruszył ku domowi.

Ci, których spotkał, musieli być ze Związku Sowieckiego, z Armii Czerwonej, bo przecież mówili po rosyjsku, no i mieli te gwiazdy. To oni pojawili się teraz w Polsce, żeby wyzwalać ją z pańskich rąk. To usłyszał od ojca, ale jednocześnie i sprzeczny komunikat, że to kłamstwo. Z drugiej jednak strony, czy trzeba się ich było bać? I to bardziej niż Niemców? Jan przypomniał sobie te postrzępione ubrania, brezentowe,

rozpadające się buty, karabiny na sznurkach. Czy z takimi samymi żołnierzami ojciec ma walczyć w Wilnie?

Janek pedałowiał, próbując poukładać sobie to wszystko w głowie.

Do ostatniego dnia sierpnia jego życie wyglądało zupełnie inaczej. Ot, zwykła codzienność młodego chłopaka – objazdówki rowerem, gra w piłkę z kolegami, czasem jakieś książki, jak pogoda bardzo zawodziła.

I...

Lekko zwolnił. Chyba przeszarżował z tym tempem. A może to nie o tempo chodziło? W końcu takie nagłe bezdechy już mu się kilka razy trafiły. Pierwszy raz, kiedy ją zobaczył. Zatrzymał się i sięgnął do chlebaka. Były tam, nie zgubił ich. Listy od niej. Wolał je mieć przy sobie, żeby nie wpadły w niepowołane ręce.

Rok temu, na początku wakacji, pojechał z przyjacielem taty, historykiem, na „lekcję w terenie”, do Trokieli. Oglądali razem kurne chaty, takie z paleniskiem w środku, niskie, ciemne i biedne. I sochy, i brony. Wszystko jakby ze skansenu, a wciąż w użyciu. A potem wstąpili do kościoła, gdzie znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Trokielskiej. Pan Kuryłko poszedł się modlić, tak prawdziwie, a Janek, no, jak to młody chłopak. I może dlatego, że modlitwa całkowicie nim nie zawładnęła, zauważył ją. Smukłą, z ciemnymi, brązowobłyszczącymi oczami i takimi samymi włosami, w zielonej sukience, w której było jej bardzo ładnie. Ona była mocno zanurzona w modlitwie, bo, jak się potem dowiedział, ze specjalną intencją stanęła przed Matką Boską, ale kiedy się odwróciła i zauważyła wpatrującego się w nią Janka, wszystko zeszło na dalszy plan.

Wtedy zaledwie parę słów zamienili, ale zgodziła się dać mu swój adres do korespondencji. I napisał do niej, do Łucka, a ona odpisała mu, do Lidy. I znowu, i znowu. Ona jemu o tym, że lubi malarstwo francuskie, poezję i ogród, on jej, że przepada za Sienkiewiczem,

podziwia Legiony Polskie. I tak do początku sierpnia, kiedy zjawiała się w Lidzie, na koloniach letnich.

Raz się z nią wtedy zobaczył, tak na krótko, na ulicy Suwalskiej, w cukierni, gdzie poszła z innymi dziewczętami na zakończenie wyjazdu. Niby towarzyszyła jej jedna z nich, Gabrysia, ale taktownie się oddaliła, by mogli przez kilkanaście minut porozmawiać na osobności. To wystarczyło, żeby oboje upewnili się w swoich uczuciach. Planował, że zacznie od jesieni pracę w fabryce „Unigum”, żeby mieć swoje pieniądze, i gdy stanie się pełnoletni, pojedzie do niej. Wiedział, że jej rodzice są wyższego pochodzenia, ale wierzył, że to do pokonania. U jej rodziców podobno też tak było, a do ślubu doszło.

Dojechał do domu, gdy już zapadł zmierzch. Pchnął drewnianą furtkę i odstawił rower do szopy. Kiedy otwierał drzwi wejściowe, pomyślał, że za plecami zostawia zmieniony, inny już świat.

Co ich w nim czeka?

# Rozdział 3

*Niemowicze, jesień 1939 roku*

– Mamo, a skąd my potem będziemy wiedzieć, co się nadaje do jedzenia, a na co trzeba będzie uważać, żeby zębów nie połamać?

Anna Polakowska wykroiła dwie ostatnie kromki z dużego bochna chleba i spojrzała na Elżbietę.

– Swój system mam. Jak przyjdzie pora, to wam go zdradzę, ale na razie trzeba to dobrze wysuszyć, bo zamiast złotych sucharów będziemy miały pleśń. Zosiu. – Spojrzała na starszą córkę. – Otwórz drzwiczki, jeszcze tę tacę wstawimy.

Zosia wbiła igłę w materiał i odłożyła sukienkę na stół. Spojrzała na pudełko – nawet nie wiedziała, że mama ma tyle biżuterii. Zresztą co innego nosić, a co innego zaszywać te kosztowności w lamówkach albo zapiekać w chlebie; wtedy trzeba dawkować, po jednej sztuce, bo inaczej od razu by się ktoś domyślił. Na początku uważała, raczej miała nadzieję, że może mama trochę przesadza, bo miała nerwy w strzępach; tata poszedł walczyć, a ona została z nimi sama. Niania Galina już wcześniej wróciła do rodziny do Warszawy, ich pomoc, Bronka, wyjechała do swoich gdzieś pod Wilno, więc wszystko było teraz na głowie mamy. Zosia szybko się wdrożyła w nowe obowiązki, ale Ela to wciąż był trzpiot, a Krzyś – maleńtas. Jeszcze pod koniec września

mama postanowiła, że bezpieczniej niż w Łucku będzie im w Niemowiczach. Wrócili więc tutaj i zamieszkali w trzech pokojach majątku, który wcześniej zajmowali, bo tak było oszczędniej. To już jednak nie były te same Niemowicze. Nie chodziło tylko o smutek sytuacji, o lęk, o trudności bytowe, skoro zabrakło służby do pomocy. Zajkowsky wyjechali tuż po wybuchu wojny i przez ten „pusty” czas z majątku poznikały różne przedmioty. „Obcy nie wziął”, krótko skwitowała mama. To Zosię zasmuciło, ale i zatrwożyło – skoro wziął, to może jednak bardziej „obcy” niż „swój”? Może te wcześniejsze oceny sąsiadów były nieprawdziwe? A oni sami – czy nagle się zmienili, czy po prostu wcześniej inaczej się zachowywali?

– Mamo... – Zosia przytknęła metalowe drzwi pieca. – A co właściwie będzie dalej?

Anna Polakowska wytarła dłonie w ścierkę.

– Dalej? – powtórzyła po córce. – A które dalej masz na myśli?

– No, różne dalej. Z nami, z tatą, z Niemowiczami. I z wojną.

Matka usiadła na taborecie obok pieca. Zosia po raz kolejny zdziwiła się temu samemu – nowemu obrazkowi mamy: kuchennej, sprzątającej, krzątającej się. W fartuchu i walonkach. Niby słabszej, a jednak chyba silniejszej.

– Bo mówią... – zaczęła, skoro mama wciąż milcząco na nią patrzyła – że wcale nie jest tak źle. Że oni przyszedli, ale nastawieni przyjaźnie. Żadnych bomb, żadnego strzelania, nie licząc tego co na początku. A teraz nie jak żołnierze się zachowują, tylko biegają od sklepu do sklepu i kupują różności – jedzenie, to jasne, ale i rowery, i buty, a nawet guziki. W pasmanteryjnym to podobno właśnie guzików zabrakło... A jak ktoś, znaczy żołnierz, kupuje guziki, to z tego chyba poważnej wojny nie będzie?

Popatrzyła na matkę.

– A kto tak mówi?

Głos też się matce zmienił. Do tej pory, znaczy w przedwojniu, bywał jednostajnie spokojny na zmianę z radosnym, teraz częściej pojawiały się w nim nowe nuty. Zdumienie, niedowierzanie, podejrzliwość. W tym pytaniu mieszały się wszystkie te emocje.

– No... tak ogólnie. Na ulicy tak można usłyszeć.

– A kiedy ty byłaś ostatnio „na ulicy”?

Zosia pożałowała pytania. Mogła to inaczej przedstawić, w inny sposób zapytać. Przecież nie będzie mamie kłamać, nigdy tego nie robiła, ale jednocześnie, właśnie teraz, poczuła, że ma prawo do swojego życia – bardziej pojedynczego, indywidualnego. To był paradoks – mocno, jak nigdy, trzymali się razem, ale mimo to Zosia czuła, że definitywnie się żegna z dzieciństwem i przechodzi na stronę dorosłości. A dorośli mają swoje, tylko swoje sprawy.

– Na krótko. List wysłać.

Matka pokiwała głową. To było takie kiwanie, które wbrew twierdzącej formie oznaczało brak poparcia.

– I chciałam sprawdzić, czy są może jakieś wiadomości dla nas. Od taty – dodała Zosia szybko.

Twarz Anny Polakowskiej spięła się bólem.

– Ale nie ma, nic. Zupełnie nic. A ja się po prostu zastanawiam... Bo oni, znaczy Sowietci, oprócz tego, że na razie nic złego nikomu nie robią, to jeszcze podobno piszą, że wyciągają nam ręce bratniej pomocy. Tak śmiesznie, z błędami ponoć piszą. I że na swoich sztandarach Armia Czerwona niesie Polsce braterstwo i szczęśliwe życie. Ja wiem, że ty masz obawy co do Sowietów, że ty o nich źle myślisz, ale może...

Zosia rozłożyła ręce w geście niepewności.

Anna Polakowska wstała z taboretu i nachyliła się do pieca. Otworzyła drzwiczki, sięgnęła po pogrzebacz i przez chwilę przesuwała rozżarzone bierwiona. Podniosła się, wyprostowała i odwróciła w stronę córki. Mimo że przez dłuższy moment gorąc buchał jej w twarz, była blada.

– Tak, myślę źle. I sędzę, że niedługo będę myślała jeszcze gorzej. Nie wiem, co się w przyszłości wydarzy, ale zapamiętaj moje słowa – od Sowietów jak najdalej. Im bliżej ciebie oni będą, tym szybciej się odsuwaj.

– Ale dokąd, jak?

Zosia nie знаła takiej matki – stanowczej, zdeterminowanej, opanowanej. I jakoś złowróźbnej.

– Jakkolwiek. Byle dalej.

Anna Polakowska wciąż trzymała w ręku pogrzebacz. Kostki dłoni też jej zbiełwały.

– To co oni zrobią z tatą? I z innymi żołnierzami?

Franciszek Polakowski nie powalczył zbyt długo. Wobec chaosu, który wywołała postępująca od zachodu inwazja niemiecka, Armia Czerwona, mająca znaczną przewagę, szybko i łatwo otoczyła rozproszone oddziały polskie. Żołnierze dostali wybór – złożyć broń albo zginąć. Zosię, zaczytaną w różnych patriotycznych lekturach, wzruszały postawy niezłomne i honorowe, ale jednak bardziej na kartach książek niż w prawdziwym życiu, zwłaszcza wtedy, gdy dotyczyły jej ojca. Zresztą jaki sens byłby ginąć, ciągnąć ze sobą ku śmierci innych żołnierzy, wśród których było przecież wielu rezerwistów. Poddali się, i dobrze, bo jeszcze będą potrzebni Polsce.

– Mamo?

Anna Polakowska wreszcie odłożyła pogrzebacz. Znowu wytarła dłonie w ścierkę.

– Trzeba jutro pranie nastawić, pomożecie z Elżunią. I zrobić porządki w spizarni. Popakować, co niepopakowane, mąkę i kaszę przejrzeć. Resztę ubrań też, może jakiejś naprawy wymagają, to trzeba zawczasu, bo coraz chłodniej się będzie robić. I jeszcze raz pojedziesz do Saren. Trzeba list nadać. Jakbyś powiedziała, co planujesz, wystarczyłoby raz drogę zrobić, a tak to powtórka. Wacław znowu musi wóz szykować. Z domu do urzędu i z powrotem, nigdzie więcej. Rozumiesz?

Zosia pokiwała głową. Mimo trochę oschłego, zadaniowego tonu matki poczuła ekscytację.

– Do kogo piszesz? W sprawie taty? – zapytała.

Anna Polakowska pokręciła głową.

– O ojcu żadnych nowych wieści. Tyle, co ostatnio – że od porucznika w górę od reszty ich oddzielili. Dokąd zabrali – nie wiem. Zresztą to wszystko wieści z drugiej ręki. Chcę sprawdzić, czy w Chotyniczach coś więcej wiedzą. Do stryjostwa napisałam, co u nich słyhać. Może Czesławowi bliżej do jakichś lepszych źródeł. No i pozdrowienia dla Marysi załączyłam. Oraz zapewnienia o swojej modlitwie.

Zosia znała intencję tej modlitwy. Stryjostwo od pięciu lat byli małżeństwem i do dziś nie doczekali się potomstwa. Zosia też się modliła o wsparcie Matki Boskiej, i to pod jej cudownym obrazem w Trokielach, ale widać, nie taki był jeszcze zamysł Boży wobec ciotki. Zosia zaś właśnie wtedy poznała Janka. I była przekonana, że ta znajomość to sprawa Opatrzności. No bo jak inaczej – w takim miejscu...?



Mama, kiedy już się dowiedziała o korespondencji z Janem, nie była zbyt zadowolona, choć przecież sama kiedyś wspominała, jak to ojciec przez wiele lat musiał sobie „zasłużyć” na jej rękę, bo z urodzenia takich zasług nie miał.

– To skończ teraz z tym szyciem, a potem pójdziemy razem do spiżarni. Ja sprawdzę w tym czasie, czy Krzyś się nie obudził.

Matka wyszła z pokoju, a Zosia sięgnęła po odłożoną na stół sukienkę. Zagarnęła materiał dłonią i syknęła – wbiła sobie w palec igłę. Delikatnie wyciągnęła teraz ostry metal z opuszki. Kropla krwi skapnęła na welur. Dobrze, że zajmowała się akurat bordową suknią, to nie będzie śladu.

Patrzyła na tę scenkę i nie mogła w nią uwierzyć.

Przed nią szła para – kobieta była w szlafroku, nowym, trochę za dużym, więc połamami co rusz zamiatała bruk. Do tego na głowie miała toczek, dla odmiany zupełnie elegancki, wyjściowy. Nie to jednak było w tym zestawieniu najdziwniejsze, a dwie sporej wielkości nogi cielejące, które niosła jak maczugi albo trofea. Towarzyszący jej mężczyzna w mundurze, takim, jak to oni chodzili, czyli złachanym i dalekim od wzorów, które znała z innych armii, miał w cholewkach nowych, za dużych i ewidentnie zdobycznych butów pęta kiełbasy. Podobne pakunki upchnął także za parcianym paskiem, w kieszeniach i nawet w rękawie – jednej ręki, bo na drugiej miał przypięte trzy zegarki.

Zosia nie mogła oderwać od nich wzroku. Czuła się jak zahipnotyzowana. To było jednocześnie śmieszne i trochę straszne. Dziwne, jak z cyrku.

Wciąż się zastanawiała, jak ktoś taki może im zagrażać.

Spieszyła się do domu, bo obiecała mamie, że szybko wróci, ale nie chciała wyprzedzać tej pary. Może i śmieszny żołnierz, ale z tych, co

zabrali jej ojca.

Zrobiło się jej smutno. Zwolniła i zatrzymała się przy jednym z budynków mieszkalnych. Ulica Wesoła; ta nazwa nie brzmiała teraz tak pogodnie jak przed wojną. Mimo że nie zmieniło się wiele, przynajmniej z wyglądu, to w powietrzu czuć było grozę.

– No jak to tak? – Z rozmyślań wyrwał ją płaczliwy głos dobiegający z tyłu.

Obejrzała się. Kawałek dalej dostrzegła dwóch mężczyzn. Jeden był w mundurze milicjanta, choć jakimś dziwnym, jakby go sam uszył, drugi to jakiś cywil, starszy człowiek w spodniach i marynarce, za której klapy mundurowy go szarpał.

– Dawaj!

Milicjant popchnął mężczyznę tak mocno, że ten upadł, a potem sięgnął za pas i wyciągnął broń.

Zofia poczuła, że kolana jej miękną, a puls przyspiesza. Dwie kobiety, które zbliżały się w ich kierunku, zniknęły w bramie; młody chłopak przeszedł na drugą stronę ulicy. Wokół tych dwóch nagle zrobiło się pusto. Została tylko Zosia, która bała się ruszyć z miejsca. I nie rozumiała, na co właściwie patrzy.

– Dawaj! – huknął znowu milicjant.

Mężczyzna, teraz klęczący, najpierw uniósł ręce, na znak, że się poddaje, a potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni poszarpanej marynarki. Wyciągnął z niej kilka banknotów, które drżącą dłonią podał milicjantowi. Ten wziął je i wsunął do kieszeni spodni.

– Idi! – Milicjant ruchem głowy nakazał mężczyźnie.

W tej chwili Zosia zrozumiała, że ten w mundurze to Ukrainiec. Nie mogła pojąć, skąd w takim razie ma polski mundur, dlaczego tak go

plami, zachowując się jak złodziej?

Szybko uklękła, udając, że poprawia wiązanie trzewika. Palce jej drżały, cała się trzęsła. Dałaby wszystko, żeby już być w domu.

Milicjant przeszedł obok niej.

– Polaczki – usłyszała.

A tuż po tym odgłos splunięcia.

Jeszcze przez dłuższą chwilę została w przykłęku. Potem się podniosła i rozejrzała. Po milicjancie i tym mężczyźnie nie było już śladu. Na ulicy pojawili się inni ludzie i wszystko wyglądało znowu normalnie.

Wracała do domu odrętwiała. Miała nadzieję, że ten spacer ją rozchmurzy, że przechadzka pomoże trochę usunąć niepokój, którego nie potrafiła się pozbyć. Był taki ładny dzień – złoty i słoneczny, prawdziwe babie lato. „Babie lato”, powtórzyła w myślach. Tak, teraz było prawdziwie „babie”, bo były tu w większości kobiety. Mężczyźni wyruszyli walczyć. To znaczy polscy mężczyźni. Zostali Ukraińcy i Żydzi. Przed oczami stanął jej ten w milicyjnym mundurze. Niby miał pilnować ładu, a zachowywał się jak najeźdźca.

Przyspieszyła kroku. Chciała już dojść do Wacława i pojechać do domu. Kiedy doszła do miejsca, w którym powinna zejść z głównej ulicy w boczną, zobaczyła, że na ziemi leży jakaś kartka zadrukowana tekstem. Były na niej ślady kół, które naniosły błoto i mocno ją pogięły, ale treść dawało się odczytać. Schyliła się po nią. „Rząd polski wcionął Was w awanturystyczną wojnę. Ministrzy i generałowie schwycili nagrabione złoto i tchórzliwie uciekli, zostawiając lud Polski na wolę losu. Potężny Związek Radziecki was nie ostawił, da braterską pomoc. Idziemy do was jako bracia po klasę, wyzwolenicy od ucisku obszarników i kapitalistów. A wy nie przelewajcie krew za obce interesy.

Wam kazali uciskać drugie – Ukraińców i Białorusinów. Naród uciskający drugi naród nie może być swobodny. Przechodźcie na stronę Armii Czerwonej, tak zabezpieczycie dobre życie”.

Zosia stała, trzymając w ręku tę pogniecioną ulotkę. Słowa, niby uspokajające, nie brzmiały tak optymistycznie jak te, które usłyszała wczoraj. Różne migawki z ostatnich dni ułożyły się w jej głowie w jeden spójny obraz: lęk mamy przed Sowietami, zagrabione z majątku przedmioty, zastawianie na noc drzwi, ten ukraiński milicjant zachowujący się jak okupant, jakby był pewien, że żadna kara go za to nie spotka, tchórzliwi ministrowie i źli obszarnicy oraz kapitaliści, czyli Polacy.

Nagle poczuła się tak, jakby już tutaj nie przynależała, jakby ci, którzy do tej pory byli sąsiadami, raptem stali się jej wrogami.

Zmięła kartkę i ze złością rzuciła ją do rowu, a potem puściła się pędem w kierunku wozu. Niech jak najszybciej zawiezie ją do domu. Póki jeszcze ma dom.

\* \* \*

*Lida, jesień 1939 roku*

– Poprosił, żebym dał mu się przejechać. A później wsiadł i tak sztywno pedałowal, jakby na koniu jechał. Jakby nigdy na rowerze nie siedział. A to *kamandir*, czyli najlepszy z nich. To jak on roweru nie zna, to co dopiero oni.

Janek usiadł do stołu i przysunął sobie miskę zupy, którą przygotowała mu matka.

Zwyczajna kartoflanka, a smakowała tak dobrze.

– Oni to są w ogóle jakby z innego świata. – Na chwilę przerwał jedzenie. – Na przykład kupują takie rzeczy, co u nas by nikt nie myślał, że z tego można zrobić handel. Te pudełka po tytoniu fajkowym, co mi

je tata dał. Takie już pogięte, farba odprysła, bo po kieszeniach je przecież nosiłem, kości w nich miałem. A oni je wzięli ode mnie! – Uśmiechnął się promiennie do matki. – Za ruble, ale ruble teraz u nas do płacenia jak złoty.

To ostatnie spostrzeżenie sprawiło, że trochę spochmurniał.

Matka siedziała naprzeciwko niego. W kuchennym fartuchu, z rękoma na podołku.

– No, prawdę mówisz, zaraz u nas wszystko będzie sowieckie. Człowiek tylko polski, choć to może niedługo. – Smutno pokiwała głową.

– Stało się coś? – Jan oparł łyżkę o brzeg talerza. – Coś z tatą? Jakies nowe wieści?

– Nie. Nic nowego, tamto tylko.

Pod koniec października dostali informację, że Józef Biały został internowany w obozie na Litwie. Tyle, bez żadnych szczegółów. No, z jednym – że ojciec cały i podobno zdrów. Jana to uspokoiło; to, co widział w mieście, też w jakiś sposób niosło nadzieję – ci, co ich najechali, to byli ludzie zaniedbani, zapuszczeni, brudni. Nawet się nie kryli z tym, że to, co widzą w „pańskiej” Polsce, ich zdumiewa, bo u siebie tego nie zaznali. I oni mieliby ich pokonać...?

– Za to są wieści z okolic. Byłam dziś na targu i w sklepie. Ludzie mówią... – Alina Biały urwała i spojrzała na syna. – Ty już jesteś duży. We wakacje to jeszcze patrzyłam na ciebie jak na chłopaczka, i to takiego, co mu tylko głupoty w głowie.

Jan lekko poczerwieniał. Zrobiło mu się wstyd, że tak doświadczał rodziców. Nie specjalnie przecież, jakoś samo się to wszystko działo – ten świat, który nie pasował do młodych chłopców mających swoje marzenia. Teraz świat był jeszcze bardziej nieprzychylny chłopięcym

pragnieniom. Z wyjątkiem jednego – tego, by móc być żołnierzem, bronić ojczyzny.

– Nie dla przykrości to mówię, tak po prostu... Jesteś duży i musisz szybciej do całkowitej dorosłości dojrzeć. – Poklepała go po dłoni. – A ludzie...

Powoli wstała od stołu i wyjrzała przez okno. Jesień ogołociła już drzewa ze wszystkich liści. Było zimno i pochmurno. Listopad, jeden z najprzykrzejszych miesięcy w roku, przykrył wilgotną szarością całe miasto.

– Chodziłam dziś trochę – odwróciła się do syna – i zorientowałam się, że dokoła słyszę prawie sam ruski albo ukraiński. Polskiego mało. Milicja... Wcześniej to wiesz, przecież twój ojciec mundur z honorem nosił. – Głos jej zadrżał. – A teraz... Biegają tacy młodzi żydkowie z czerwonymi opaskami na rękawach – ordynarni, zaczepni, jakby nagle poczuli się panami. Gdzie im do twojego ojca, ta czerwona policja to wstyd, hańba! – Ścisnęła mocniej ścierkę, którą trzymała w dłoni. – Co to z niektórych wyłazi, kiedy czasy się zmieniają... To jeszcze nie najgorsze, bo mówi się...

Wróciła do stołu i znowu usiadła naprzeciwko syna.

– Podobno już się zaczęły aresztowania rodzin wojskowych i urzędniczych. – Ściszyła głos, jakby ktoś ich podsłuchiwał. – Mają ich zabierać i wywozić dokądś. Zresztą nie tylko ich, bo i na wsiach ponoć buszują i majątki grabią. Kułactwo tępią, tak mówią.

Jan powoli jadł zupę. Z każdą kolejną łyżką tracił apetyt.

– Ale nas to chyba nie obejmie? My to przecież nikt, szaraki takie?

Byli szarzy; ojca brakło, została tylko jego pensja, szczęśliwie na początku wojny za trzy miesiące z góry wypłacona, więc jeszcze przez

chwilę mieli za co kupić chleb, ale jak to się skończy, to będą musieli jakiejś pracy poszukać – oboje. Gdzie im było do bogatych?

– Może i szaraki, ale jak się z tamtymi uporają, to i po nas mogą przyjść. I nigdzie się nie schowasz. Myśleliśmy, że po tamtej stronie Bugu lepiej, a do nas uciekają ci, co pod okupacją niemiecką są. Ze wsi biegną do miasta, z miasta – na wieś. I nigdzie schronienia. Nigdzie. – Alina Biały bezradnie rozłożyła ręce. – No nic, zjedz do końca, jedzenie ważne. Potem mi pomożesz wodę na pranie nagrzać.

Wstała od stołu i poszła dołożyć drewna do pieca pod kuchnią.

Jan machinalnie poruszał ręką i ustami. Taki był głodny, jak tu szedł, a teraz... Głupio się poczuł, że on się zajmuje swoimi sprawami, jeździ sobie dla przyjemności, a obok się dzieje takie życie.

Był dziś na poczcie, żeby sprawdzić, czy Zosia może znowu napisała. Nie napisała. Najpierw zrobiło mu się zwyczajnie przykro, że nie miała czasu dla niego, może on nie dość ważny dla niej, bo ona przecież „panienka z dobrego domu”, a teraz, po tej rozmowie z matką, do przykrości dołączył strach. Polakowscy to majątni ludzie, ojciec Zosi – oficer. Oni w pierwszej kolejności będą kłuć Sowietów w oczy. Ich ojciec też niby w jakimś obozie, ponoć bezpieczny, tyle mu ostatnim razem napisała, ale one zostały w Niemowiczach same, bez mężczyzny. Co je spotka ze strony tych może i trochę śmiesznych żołnierzy, kiedy do głosu dojdzie ich prawdziwa natura?

Ostatnie, zimne już kartofle przełykał z trudem.

\* \* \*

*Starobielsk, jesień 1939 roku*

– „Jezus zaczął iść z Jairem do jego domu, lecz zatrzymał się, by uzdrowić jakąś kobietę. Kiedy rozmawiał z nią, ktoś przyszedł, by powiedzieć Jairowi, że już jest za późno – jego córka nie żyje. Jezus to

usłyszał. Powiedział Jairowi, by nie obawiał się, tylko Mu zawierzył. Następnie Jezus poszedł z Jairem do jego domu. Dom był pełen ludzi, którzy opłakiwali śmierć dziewczynki. Jezus powiedział im, że dziewczynka nie umarła, lecz śpi”.

Franciszek Polakowski rozejrzał się po sali. Na twarzach jego towarzyszy malowało się takie samo wzruszenie, jakie on odczuwał. Jakby nagle zniknęły szarość i zwątpienie, które już zdążyły się na nich zadomowić.

– Nie umarła, lecz śpi – powtórzył ksiądz Aleksandrowicz.

Takie słowa, przeczytane jedenastego listopada, w Święto Niepodległości, były jak bandaż na ich zranione dusze. Wtedy, w osiemnastym roku, Polska wyszła z niewoli. Teraz, po tak krótkim czasie, znowu była w potrzasku. A on, oni wszyscy, synowie armii, których ich ojczyzna tak potrzebowała, by walczyć z najeźdźcą, byli tu przetrzymywani. Przygnębienie, brak wiadomości z kraju, warunki, w jakich się znaleźli... Napięcie czasem wzrastało tak, że dochodziło do brutalnych sporów. Dobrze, że potem przychodziły namysł i opanowanie, a po nich świadomość, że o to właśnie chodziło Sowiecom – żeby ich poróżnić. Szukali więc utraconej solidarności; jednoczyli ich też ci, co nieśli Słowo Boże. Z różnych stron, lecz od tego samego Stwórcy przecież: ksiądz Aleksandrowicz, pastor Potocki, rabin Steinsberg, ich towarzysze niedoli.

Słowa przeczytane na dzisiejszym nabożeństwie były im tak bardzo potrzebne! I samo świętowanie także. Nikt z nich nie dopuszczał do siebie myśli, że dziś mógłby być zwyczajny dzień. Franciszek spojrzął na duży, zбитy z ciemnych desek krzyż, powieszony przez porucznika Kwolka. Stali w „Cyrku” – lub „Szanghaju” – różnie na nią mówiono – największej sali obozu.



– „Ludzie Go wyśmiali. Byli pewni, że dziewczynka umarła. Zbawiciel usunął z domu wszystkich, z wyjątkiem swoich uczniów, Jaira i jego żony. Poszli do pokoju, gdzie leżała dziewczynka. Jezus wziął ją za rękę. Powiedział do niej, by wstała. A ona wstała i chodziła”.

– Wstała i chodziła – wyszeptał te słowa stojący obok Franciszka Polakowskiego porucznik Antoni Skwarczyński.

Franciszek też dał się ponieść nadziei. Nie wyzbył się jej, bo wiedział, że stracić ją, to już przegrać, ale ona odpływała falami i co prawda wracała odbita, ale słabsza. Dziś się wzmocniła.

Nabożeństwo dobiegło końca; tylko kwadrans, tyle się udało, wbrew okolicznościom, przeprowadzić, ale jaka była w nim moc!

– Teraz będzie akademia. Nasza akademia. Prawdziwe święto, nie uważasz? – Z rozmyślań wyrwał go głos Skwarczyńskiego. – Jak się Polak uprze, to nawet sowiecka siła go nie pokona. – Uśmiechnął się.

Franciszek pokiwał głową. Tak, takie chwile były jak powrót z odmętów rozpacz i odrętwienia do życia.

Miejsce księdza Aleksandrowicza zajął mody podporucznik, którego nazwiska Polakowski nie pamiętał.

– Artur Oppman, *List z Sybiru* – zaczął drżącym głosem.

Polakowski znał ten utwór, zresztą pewnie wszyscy go znali. Młody chłopak pisał do matki, zboleły, zrozpaczony, oderwany od kraju i bliskich. Polakowski pomyślał, że i tu jest pociecha, bo przecież mogli ich wywieźć właśnie tam, za Ural, gdzie wysyłano tych, co w powstaniach walczyli o wolną ojczyznę. I gdzie często kończyli życie. A on wciąż dostawał jedzenie, liche, ale jednak, spać miał gdzie, choć w towarzystwie pluskiew, nikt ich nie torturował, no, nie licząc przesłuchań, które potrafiły i trzy dni się ciągnąć, mieszkali na terenie dawnego klasztoru, a nie pod gołym niebem albo w lichych barakach.

Zresztą to przecież nie może trwać w nieskończoność, Sowoci nie mają umocowań prawnych, by ich tak przetrzymywać.

Sowoci... Wsunął dłoń pod koszulę. Nachylił się i wyciągnął różaniec – tyle tylko, by poczuć jego zapach – drzewo sandałowe zmieszane z nutą perfum Anny. Przymknął oczy. Wciąż potrafił przywołać jej obraz. Później wyobraził sobie Zosię, Elę i Krzysia. Przesuwał palce po koralikach – były takie gładkie, jak ich życie przed wrześniem. Natrafił na krzyż z figurką Jezusa – jaka zmiana: chropowatość, twardość, ból. Teraz to przeżywał, ale to była próba, z której wyjdzie zwycięski. Pamiętał zaciętrzewienie, ba!, nienawiść, jaką Anna żywiła wobec Sowietów, ale on nie z takich opresji się wywikływał.

– „...niech Boża opieka będzie nad wami! – doleciały do niego słowa podporucznika. – Pozdrów każdego człowieka, mur każdy, wszystkich, wszystko! Pozdrów, jak od brata! Mamo! Ja piszę do was, jak z tamtego świata, bo, jak stamtąd – nie wrócę! Ach, jakie wrą wojny w mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być spokojny! Ale kiedy pomyślę: Nigdy! nigdy! nigdy!”.

Franciszek Polakowski pomyślał zaś, że gdyby ich wywieźli za Ural, ich położenie byłoby o wiele tragiczniejsze, ale oni znaleźli się dużo bliżej Polski. Sybir brzmiał jak wyrok, a w Starobielsku była nadzieja.

# Rozdział 4

*Niemowicze, zima 1939 roku*

– Czy już jesteście gotowe na aniołka?

Zosia i Elżbieta pisnęły radośnie i rzuciły się w kierunku ojca. Obie w swoich najlepszych aksamitnych sukienkach, z wypiekami na twarzach.

– Którą by tu wybrać? No, którą?

Franciszek Polakowski udawał, że się namyśla, patrząc to na starszą, to na młodszą córkę.

– Zatem w tym roku aniołka zawiesi...

Przymknął oczy, zakręcił się, trzymając wyciągniętą przed siebie rękę, która miała wskazać zwyciężczynię. Pokój zawirował mu przed oczami – zieleń drzewka, czerwień i złoto ozdób, biel obrusu.

– Ty! I ty! – huknął, zatrzymując się, a potem poderwał z ziemi obie córki – jedną prawym, drugą lewym ramieniem.

Dziewczynki się rozchichotały, a chwilę później, zgodnie, rączka w rączkę, zawiesiły na szczycie dorodnego świerku aniołka w białej szacie.

Franciszek Polakowski z uznaniem przyjrzał się drzewku.

– No, prawie, prawie. Brakuje tylko jeszcze lampek. Lećcie do okna, sprawdzić, czy już można.

Postawił je na dywanie, a one pognały, by spojrzeć w granatowe wigilijne niebo.

Franciszek zaś patrzył na swoją żonę.

– Twoje oczy tak już błyszczą jak te świece, które zaraz zapalimy. – Uśmiechnął się do niej.

– To z radości. Bo mam wszystko, czyli was.

Anna czuła, że się rozkleja. Co roku obiecywała sobie, że powściągnie to wzruszenie, zatrzyma łzy, i co roku się nie udawało. A jak się miało udać, skoro los przywalał ją takim, prawie że niedającym się unieść szczęściem?

– Widzę ją, już jest! – krzyknęła rozradowana Elżbieta.

– Zapalmy już! Zapalmy! – wtórowała jej Zosia.

Anna przymknęła oczy. Otworzy je, kiedy cała choinka już rozbłyśnie. Tak lubiła najbardziej – jedno spojrzenie na drzewko, które wyglądało jeszcze tak jak wczoraj w lesie, gdy pojechali po nie saniami, zielono i naturalnie, no, prawda, już z ozdobami z papieru i celofanu, a potem drugie, kiedy wszystkie świece zostały zapalone i pojawiała się świetlista magia.

– Już. Mamo, już! – usłyszała głos Zosi, a później poczuła delikatne dotknięcie córki na ramieniu.

Otworzyła oczy. Pojedynczy płomień oświetlał gałąź jedliny otulonej anielskim włosiem. Zamruła; pod jej powiekami zebrała się wilgoć. Odchrząknęła.

– Ładnie, bardzo ładnie. Czuć, że to święta.

Delikatnie ścisnęła róg obrusa. Nie chciała, nie mogła się rozplakać. Jaka ironia w tym była: żeby tak zawsze łąć łązy w ten dzień – najpierw z radości, a teraz ze smutku.

Siedzieli w kuchni, bo to było najcieplejsze pomieszczenie. W pozostałych panowała temperatura „jak w psiarni”, choć Jastrząb, jedyny pies, jaki został w domu, leżał przy piecu. Był stół z białym obrusem, pod nim garść siana, barszcz, pierogi i kutia. Chleb i kompot.

Anna się zastanawiała, czy córki wspominają teraz zeszłoroczne, tak odmienne święta. Ona nie potrafiła przegnać tych obrazów; nie umiała też odgonić natrętnego wspomnienia lęku, który od jakiegoś czasu jej towarzyszył. Zaczęło się niedaleko stąd, na łące, na której począł się Krzyś. To wtedy pomyślała, że nie można kusić losu, mając za dużo. A potem ten niepokój zamieszkał w niej na stałe. Bała się, że „zarazi” nim dziecko, próbowała sobie wytłumaczyć, że to bez sensu, bo martwić się można wtedy, gdy już jest powód do zmartwienia, a nie na zaś. Teraz już nie było „na zaś”. Teraz było akurat.

Poczuła, że córki się w nią wpatrują. No tak, wigilijną modlitwę zawsze Franciszek odmawiał. Podniosła się, wciąż przytulając do siebie podsypiającego już Krzysia. Córki też wstały. Sięgnęła po leżącą na stole Biblię, żeby przeczytać jej fragment, ale się rozmyśliła.

– Słowa z Pisma zawsze czytał wasz ojciec, taka jest tradycja. Nie zmienię jej; poczekamy, aż tata wróci, i wtedy wszystko będzie znowu tak, jak było. A teraz po prostu się pomódlmy. Najpierw dziękujemy za to, co mamy.

Zauważyła spojrzenie córek; nieprzesadne, po prostu odruchowo rozejrzały się po kuchni.

– Mamo... – zaczęła Zosia, która najwyraźniej zrozumiała pewną niestosowność tego odruchu i teraz chciała za niego przeprosić, ale Anna dała znak ręką, żeby nie kończyła. Właśnie w tym momencie przyszło jej

do głowy, że lichota ich położenia może przynieść jakąś odmianę. Przecież teraz nie mieli już wszystkiego, już nie było tak dobrze, że aż strach, że zaraz się skończy – bo już się skończyło. Teraz to mogło już tylko iść ku lepszemu. Poczwała, że wstępuje w nią nowa wiara.

– I poprośmy rozważnie, chcąc mało, tylko tego, co najważniejsze – żeby tata wrócił. Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Zawtórowały jej głosy córek.

Czuła, że pot wystąpił jej na czoło. Nie potrafiła przeciągnąć igły. Dobrą wzięła, kuśnierską, z odpowiednio ostrym szpicem, ale szło jej jako tako tylko w tych miejscach, gdzie wcześniej był szew. Tam, gdzie igła po raz pierwszy musiała się przebić przez skórę, mózół był okropny, mimo że mocno napierała na nią metalowym naparstkiem.

Ela wyrosła ze swojego kozucha, rękawy zrobiły się przyciasne i o mankiet za krótkie. Normalnie obstałoby córkom nową garderobę u kuśnierza, ale teraz każdy banknot oglądała przed wydaniem dwa razy. Franciszek zostawił im trochę oszczędności, ale mimo że bardzo wierzyła w szybki powrót męża do domu, to gospodarowała tak, jakby nieprędko miało się to zdarzyć.

– Mamo, ktoś puka, pójdę otworzyć. – Usłyszała głos młodszej córki.

– Nie! – zaprotestowała, trochę zbyt gwałtownie. Nie chciała straszyć dziewcząt, więc nie opowiadała im o tym, co się działo ostatnio. Teraz była ich jedyną łączniczką ze światem. Nie zgadzała się, by któraś z córek samodzielnie jechała do miasta, nie po tym, co sama widziała lub o czym usłyszała. Wojna rozzuchwiała tych, którym przed jej wybuchem powodziło się gorzej. Jeszcze przed zjawieniem się Armii Czerwonej Ukraińcy splądrowali magazyny, przekonani o nadchodzącej bezkarności. Zaczęło się manifestowanie antypatii wobec tych, którym w „dawnych czasach” żyło się dostatnio, zwłaszcza wobec Polaków, którzy mieli „białe, nieskalane pracą dłonie”. Polakowscy wpisywali się

w tę charakterystykę. Anna cieszyła się, że zamieniła Łuck na Niemowicze, bo tu żyli trochę na uboczu, co miało i minusy – samotna kobieta z trojgiem dzieci, bez męskiego wsparcia... Nie groziły im jednak takie napaści jak niedawno w mieście – Ukraińiec otworzył ogień do ludzi stojących w kolejce po chleb. Ot tak, po prostu. Została ranna jedna osoba, podobno dziecko. Zdarzały się i napady w domach, a „zwykle” kradzieże czy wymuszenia były prawie na porządku dziennym. Anna już po wysłaniu pierwszego listu do Chotyńicz pożałowała, że od razu nie zapytała szwagra o możliwość przyjazdu do nich. W ich towarzystwie czułaby się znacznie bezpieczniej. No i Czesław wciąż nie doczekał się potomstwa, więc tym bardziej zapewne poczuwał się do opieki nad dziećmi starszego brata. Wciąż jednak nie było od nich odpowiedzi, co mogło oznaczać, że...

Otrząsnęła się.

– Ja pójdę.

Odłożyła kożuch na krzesło obok i przeszła do sieni.

Pukanie się powtórzyło, dość gwałtownie. Anna poczuła skurcz w okolicy serca. Widziała, że Ela ją obserwuje. Nie chciała dokładać córce nerwów, dzieci i tak już w przyspieszony sposób dorastały, nawet Krzyś, który przecież nie mógł niczego rozumieć, ale chłonał atmosferę domu i nastroje jego mieszkanek. Zaczął się wybudzać w nocy, popłakiwać, choć nic nie wskazywało na to, by jego ciało było chore.

– Idź do kuchni – powiedziała, odwracając się w stronę Eli.

Wzięła głębszy oddech i nacisnęła klamkę.

Za drzwiami, osypana śniegiem, który ostatniego dnia roku postanowił solidnie przykryć okolicę, w chuście nachodzącej na twarz, stała jakaś kobieta. Anna po chwili wahania rozpoznała w niej żonę

listonosza. „Zarębina”, pomyślała, ale imienia nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Dzień dobry, niech pani wejdzie. – Przesunęła się, robiąc miejsce. Podmuch wiatru wpędził do przedpokoju zamieć, ale ona nie poczuła chłodu, tylko ulgę. Nie znała dobrze tej kobiety, kilka razy, przypadkiem, spotkała ją przed ich wyjazdem do Łucka. Wymieniły jakieś grzeczności i na tym się skończyło, bo i o czym by miały rozmawiać? Co teraz sprowadzało ją do majątku?

– Nie, dziękuję, czasu nie mam. Oddać tylko coś chciałam i zaraz wracam. Sanie czekają. Mąż chory, zaniemógł, leży i poczta też leży. Wcześniej bym przyniosła, bo na pewno czekacie na wieści, ale tyle tego... Pomagać nie ma komu, a on się boi, że pracę straci, i jak my się tu utrzymamy...? – Kobieta pokręciła głową. Anna wpatrywała się w nieduży jutowy worek, który żona listonosza ścisnęła pod pachą. Żal jej było Zaręby, oczywiście, ale bardziej interesowała ją korespondencja. Od kogo? Jakie wieści przynosząca? Annę znowu przeszył dreszcz.

Zarębina rozsunęła sznurek i wyjęła z worka pakiecik listów i kartek. Zaczęła je przeglądać.

– A córki już zdrowe? – zagadnęła, przekładając korespondencję.

– Nie... jeszcze nie. Rekonwalescencja potrwa – odparła Anna.

Zosia i Ela krótko chodziły do nowej szkoły. Już w październiku zawisły w niej portrety Stalina i Lenina, do tego wprowadzono obowiązkowy rosyjski. Córki wracały z zajęć coraz bardziej oszołomione „prawdami”, jakie im tam podawano, ale na szczęście na początku grudnia obie się przeziębily i zostały w domu. Potem to przeziębienie przeszło w zapalenie oskrzeli – taką wersję Anna podtrzymywała, bo w rzeczywistości dziewczynkom nic już nie dolegało. Siedziały w domu i uczyły się z polskich książek.



– No tak, tak. O, mam, to dla was.

Anna skrzywiła się na to „dla was”. Takie protekcjonalno-ludowe, sowieckie. „Szybko poszło”, pomyślała.

– Dziękuję. – Wyciągnęła rękę po kopertę.

W tym samym momencie w progu pojawiła się Zosia, niosąca szczapy z drewna. Różowa, uśmiechnięta, rozruszana pracą na mrozie. Towarzyszył jej Jastrząb, który nieufnie warknął na widok nieznajomej.

– Do domu, już. – Anna machinalnie pogłaskała go po łbie.

Pies hycnął w stronę kuchni.

– Dzień dobry. – Zosia przywitała się pogodnie.

– Dzień dobry. – Zarębina przeniosła na nią wzrok. – Nierozsądnie w tym stanie tak się forsować.

Zosia patrzyła nierozumiejąco.

– Prawda, ale ktoś musi. Mnie sił brak, to starszą córkę proszę. Zosiu, zanieś drewno do kuchni i wracaj do łóżka. Zaraz ci herbaty zrobię.

Zosia najwyraźniej się domyśliła, o co chodzi matce, bo już mniej energicznie poszła do kuchni. Nawet zakasłała po drodze.

– Dziękuję bardzo, naprawdę. – Mama wyjęła z rąk Zarębiny list. Ze zdenerwowania litery zaczęły się jej rozmywać przed oczami. – Dobrego nowego roku. I męża proszę pozdrowić.

Chciała już zostać sama i jak najprędzej zobaczyć, jakie wieści do niej dotarły.

– Dobrego, dobrego – powtórzyła kobieta. – Choć o to trudno będzie. Leki drogie, wszystko drogie.

Anna współczująco pokiwała głową.

– A wam może coś zostało, choroba podobna, o oddech chodzi, to może by mojemu Władkowi pomogły, bo córki już prawie wydobrzały, jak widzę, to i leków nie potrzebują pewnie, prawda?

Anna w pierwszej chwili nie zrozumiała, ale to właśnie była chwila. Nowe czasy niewątpliwie rozwinęły w niej nową umiejętność – słyszenia tego, co nie zostało wprost powiedziane.

– Niestety, choroba niby to odpuszcza, a potem wraca. Ale mogę jakoś inaczej wesprzeć, przecież trzeba się dzielić z bliźnim. Proszę zaczekać.

Przeszła korytarzem do kuchni, położyła kopertę na stole, podeszła do kredensu i wyjęła z niego puszkę po herbacie. Wyciągnęła z niej dwa banknoty i odprowadzona spojrzeniami córek wróciła do sieni.

– Na zdrowie. – Podała Zarębinie pieniądze.

– No, jak Bóg zechce. – Kobieta otaksowała wartość podarunku i westchnęła.

„Boga w to nie mieszaj”, pomyślała Anna, zamykając za nią drzwi. Czowała się upokorzona i bezsilna. Przecież by pomogła, jest chrześcijanką, dobrą osobą, czy trzeba było się uciekać do tak ordynarnego szantażu?

„Gdyby Franciszek tu był”, pomyślała, z trudem hamując łzy.

Franciszek.

Prędko wróciła do kuchni. Ela siedziała przy stole, a Zosia zabawiała Krzysia usadzonego na wełnianym kocu rozłożonym na deskach opodal pieca. Koperta leżała nietknięta.

– Wszystko dobrze? – zapytała Zosia.

– Tak, dobrze.

Anna przelotnie tylko spojrzała na córkę. Sięgnęła po kremową kopertę. Przód był cały zapisany, różnymi charakterami pisma. Rozpoznała i litery chyba kreślone przez Franciszka, a to znaczyło, że jej mąż najprawdopodobniej żyje. Do jej oczu napłynęły łzy. Szybko otarła je wierzchem dłoni. Adres nadawcy był poczyniony obcą ręką, bukwami. „Starobielsk – przeczytała w myślach – obłast woroszyłowgradzka”. Nie wiedziała, gdzie to jest – tyle tylko, że gdzieś w Związku Sowieckim. Pierwszy adres odbiorczyni, czyli jej, ten łucki, został przekreślony; inną ręką dopisano ich dane w Niemowiczach, przekierowując korespondencję do miejsca, w którym teraz były. Na kopercie widniała data nadania – drugi grudnia.

– Zosiu, podaj nożyk – poprosiła córkę, z trudem opanowując drżenie głosu. – Nie, tamtego do papieru nie szukaj, jaki bądź weź, kuchenny.

Przejęła od córki mały kozik do obierania kartofli. Ostrożnie przecięła zagięcie koperty i wyciągnęła gęsto zapisaną kartkę.

*Najdroższa Aniu!*

*Korzystam ze szczęśliwej możliwości, żeby do Was napisać. Od razu na wstępie informuję, że przysługuje nam prawo jeden list w miesiącu posłać i jeden otrzymać, tak zarządzenie ustanawia. Gdzie się znajduję, zorientuje mój adres. Od siebie dodam, że to na południu Rosji.*

*Mieszkam z wielu kolegami w dawnym klasztornym terenie, gdzie cerkwie i budynki. Na razie zdrowie mi nie dokucza. Przydałaby się zmiana bielizny – ciepła i mocna. I rękawice oraz wysokie buty. Jedzenia nie przysyłaj, tego mi tu nie brak – jest kasza na śniadanie, potem zupa i jeszcze chleb, kawa zbożowa, zresztą Wam na pewno bardziej potrzebne. Po tym wstępie zapytuję, co u Was słychać? Jak sobie dajecie radę? Jak Ty sobie*

*radzisz, Najdroższa Moja? Jak Córki i Krzysiu? Zdrowie? W kwestii pieniężnej wszystko dobrze? Jak już się wyzbędziesz gotówki, sprzedawaj, co można, by Was niedostatek i choroba nie dosięgnęły. Nie krępuj się ceną, bierz, ile dają – pozostać przy życiu, to jest najważniejsze. Trzymajcie się razem; powiadom też, proszę, Czesława i Marię, że brat i szwagier zdrów.*

*Wciąż mi się śnicie, to namiastka prawdziwej obecności. Bez tego byłoby źle, bo człowiekowi w trudnym położeniu potrzeba myśli, że ktoś gdzieś na niego czeka. Póki co Pan Bóg łaskawy i może los da, że zobaczymy się prędko.*

*W myślach zasylam Wam już opłatek, może zdąży dojść, nim zawieszicie Aniołka?*

*Całuję Was mocno  
Wasz na zawsze Franciszek i Ojciec*

## Rozdział 5

*Szczuczyn, zima 1939 roku*

Stał trochę z boku, pod drzewem. Palił. Gdyby go ojciec zobaczył, toby mu dał. Skrzywił się. Ojciec był ciągle z niego niezadowolony. Może by było inaczej, gdyby Marian poszedł w jego ślady i uprawiał ziemię. „Ogrodnikiem jestem”, uparcie powtarzał ojciec, że to niby awans z rolnika, tego, co to ciężko bronuje, plewi i sieje. Zenon Czernik nie był chłopem, tylko był ogrodnikiem. Marian jednak wiedział swoje; gdyby nie szczęśliwy traf, że owdowiały dziadek, ojciec jego matki, niedługo po żonie też zachorował i prędko umarł, i gdyby jedyna córka nie spieniżyła gospodarstwa po nim, to Zenon Czernik dalej by schylał plecy na mazowieckich piaskach i obrabiał cudze pola. Traf jednak chciał, że tak się sprawy potoczyły. Potem inny traf ułożył, że w Różance, niedaleko Szczuczyna, było do kupienia kilkumorgowe gospodarstwo z sadem, od jakiegoś pociotka. I ten sad tak ojca rozpałił. A może też chęć, żeby opuścić rodzinne okolice? Tego by ojciec nie przyznał, nigdy, skoro sam Mariana na krótkiej smyczy chciał trzymać, ciągle tylko o ojcowiznie i powinnościach synowskich mówiąc, ale prawda była taka, że Czernik senior zaczął w Różance nowe życie, jakby tamtego, tak lichego, nie było. I uparł się, żeby jego syn takim samym życiem żył. Tymczasem Mariana nie ciągnęło do ziemi, nic a nic. Nie był podobny do dziadka ani do ojca, nawet fizycznie. Oni niscy, on –

wysoki. Oni masywni, jak konie pociągowe, on muskularny jak koń, co w zawodach biega. Łączyły ich dość jasne, gęste i sztywne włosy; w przypadku ojca i dziadka wзираło spod nich zmacone niebieskie spojrzenie, a Marian patrzył na świat szarymi oczami. „Jak chmurne niebo”, mówiła matka, że niby taki jest krnąbrny; a on po prostu miał swoje zdanie. Oni nie mieli wyboru, w ich żyłach płynęła krew z dużą domieszką ziemi, ale widać u Mariana już tylko trochę jej zostało, wypłukała się jakoś. Tyle jej było, że Marian dał radę wytrzymać w szkole rolniczej, do której posłał go ojciec. „Blisko, nauka we dworze, wszystko dobrze się składa. A potem przyjdiesz do mnie i u mnie będziesz pomagał. Ja cię nauczę tego, czego by na zajęciach zabrakło. I będziesz miał porządne życie”.

Marian chciał mieć ciekawe życie. Inne niż ojciec. Porządne w ogóle na tej liście wyobrażeń o przyszłości nie występowało. „W kogo ty się wrodziłeś?” – pytał czasem ojciec, przed pasem albo po pasie. Marian zagryzał zęby i nie odpowiadał.

Ostatni raz się zaciągnął i rzucił niedopałek na ziemię. Zdusił go butem, choć na takim mrozie nie było potrzeby. Przyzwyczajenie jednak robiło swoje. Rozejrzał się; „Planciki” to było najbiedniejsze miejsce w Szczuczynie, ale można tu było różne interesy robić: coś kupić, coś sprzedać, i jakoś szło. Marian myślał o handlu; może nie tak konkretnie jeszcze, ale na pewno nie chciał żyć z uprawy ziemi, choćby i drzewa na niej rosły. Z ulgą przyjął fakt, że po wybuchu wojny szkoła przestała działać. Takiej edukacji mu już było dość – teraz przyszedł czas na naukę pobieraną prosto z życia. W Różance nie miał czego szukać, ale zaledwie parę kilometrów dalej już był inny świat. Trudność, że w trzech czwartych zajęty przez Żydów, a oni przecież tylko ze sobą pracowali, ale ta ćwiartka, która zostawała, też dawała jakieś możliwości. Marian zaczął od pracy dla Cholewy, garbarza, ale kiedy przyjechał do niego kuzyn, gnany wojenną pożogą, trzeba było to miejsce w warsztacie

zwolnić. Marian zwolnił, nawet bez smutku, bo pieniądze były małe, a ból głowy od tych wszystkich roztworów – duży. Poszedł do fabryki wody mineralnej, choć wolałby do browaru. Nie wybrzydzał jednak, bo to przecież był dopiero początek. Matka ręce załamywała, że co to będzie, nie dość, że wojna, to jeszcze nagle, nie przemieszczając się, z Polski znaleźli się w Sowietach. Marian patrzył na to z pewnym lękiem, ale póki co nic złego mu się nie przytrafiło. Gdyby jednak trzeba było iść walczyć, to on by poszedł, bez wahania. Mógł ojciec na niego wyrzekać, że z nauką na bakier, że chuligani, ale jednego mu nie mógł zarzucić – Marian był patriotą. Dla ojczyzny zrobiłby wszystko, bo ją kochał. Chciałby kochać i jakąś dziewczynę, ale na razie nic z tego nie wychodziło. Żadna z tutejszych aż tak mu się nie podobała. Wszystkie były jakieś takie pospolite, a te, co nie były, zachowywały się jak zakonnice. I co z tego, że może ładna, jak zawsze spłoszona?

Potań rękę, postawił kołnierz. Zimno było okrutnie, ale nie był babą, żeby się mazgać. Na pociąg nie będzie czekał, bo nie wiadomo, kiedy przyjedzie, no i to kosztuje. Rower nie kosztował, bo już go miał i sam mógł decydować, kiedy wyruszyć. Ze czterdzieści minut, może ciut dłużej, i będzie w domu. Matka da zupy, chlebem doje. A co będzie potem, to się zobaczy.

Oparł ręce o kierownicę, sprawnie przerzucił nogę przez ramę. Kilka pierwszych obrotów kół było trudne, bo guma ślizgała się po ubitym śniegu; gdyby teraz zwolnił, zaraz by się wywrócił. Sztuka polegała na tym, żeby się nie przestraszyć, tylko wciąż pedałowując, balansować ciałem. Marian to potrafił.

Po chwili był małym punkcikiem na białym tle.

\* \* \*

*Hancewicze, zima 1940 roku*

– Więc to taki awans. – Anna Polakowska pokiwała głową.

Wciąż jeszcze miała migrenę. Podróż sporo ją kosztowała – nerwów, pieniędzy, czasu. Na domiar złego jeden duży kufer „się zagubił”, a ona nie wiedziała, czy to „zagubienie” w starym stylu i jeszcze zobaczy te wszystkie przedmioty, które tak pieczołowicie pakowała razem z córkami, czy może to już był nowy styl „zagubienia” i część ich dobytku po prostu zmieniła właściciela. No i jeszcze strach, czy informacja o nowym adresie spełni swoje zadanie. Jan Zaręba już wrócił do pracy, to jemu Anna przekazała kartkę z nowymi zamiarami w Hancewiczach, gdzie teraz mieszkali Maria i Czesław. Odbędzie się to w towarzystwie żony, która się przywitała, z daleka, ale nie odeszła. Anna nie miała pojęcia, czy i w ogóle Zarębina streściła mężowi przebieg ich ostatniej rozmowy. I czy Zaręba wiedział o finansowym „wsparciu”, jakiego Anna im udzieliła. Nie mogła przecież o to zapytać, zwłaszcza w takiej sytuacji. Zapytała więc o samopoczucie i kiedy usłyszała, że jeszcze nie najlepsze, ponownie zaproponowała, że wspomocze rekonwalescencję. Zaręba nie oponował, a Anna wciąż się zastanawiała, czy to był gest samarytanki, czy po prostu kupienie sobie przychylności i odsunięcie ryzyka, że już żadnego listu od męża nie przeczyta. Trudno się było oszukiwać, że to ta pierwsza okoliczność. Zła była na siebie, że ulega takim ordynarnym sytuacjom, ale czy miała wybór? Kto by to przypuścił, że z ludzi mogą takie brzydkie cechy wyjść. Z drugiej strony – kiedy miały się objawiać? Gdy było względnie dobrze?

A ryzyko tak czy owak wzrastało.

Kilka dni po przesyłce ze Starobielska Anna, przełamując niechęć, weszła na pocztę. Musiała przecież nadać paczkę do męża, do której, prócz tego, o co Franciszek prosił, dołożyła obrazki od córek i list od siebie. Chorującego wtedy Zarębę zastępowała nie żona, a jakiś mężczyzna, którego nie знаła. Podobno tymczasowo, co się okazało prawdą. Grunt, że Zarębiny nie spotkała. Był nawet miły i, co



najważniejsze, wyszukał jej list od Marii. Anna od razu na ulicy przedarła kopertę, żeby sprawdzić, co szwagierka pisze. A pisała optymistycznie – że Czesław dostał awans i że z Chotynicz, gdzie był adiunktem leśnym, przenieśli się do Hancewiczów, bo tam czekała na niego praca specjalisty od upraw.

Anna uczepiła się tej myśli jak koła ratunkowego. Miała poczucie, że tu, w Niemowiczach, toną. Ich położenie było bezpieczniejsze niż w Łucku, ale tylko na początku. Może i żołnierze, którzy się u nich pojawili, nie wyglądali tak, jakby służyli w potężnej armii i w ogóle jakby przyjechali z mocarnego kraju, bo skoro napawali się polskim dobrobytem, znaczyło, że ten ichniejszy nie taki cudowny, ale niedługo po nich pojawiło się NKWD. Sowiecka tajna policja była dobrze zorganizowana – wiedziała, kto, co, dlaczego. I jak to ukrócić. To na pewno oni stali za przetrzymywaniem Franciszka, a teraz wyszukiwali rodziny oficerów. I, jak wieść niosła, mieli plan, żeby wywieźć je w głąb Związku Radzieckiego. Gdyby Polakowscy się stąd przenieśli, kupiliby sobie trochę czasu. No i mieliby oparcie w rodzinie. Annę trochę niepokoił ten „awans”, bo niby dlaczego miałyby spotkać Polaka, ale zagłuszała wątpliwości pragmatyką – przecież nie mogą wszystkich usunąć, bo kto będzie dla nich pracował? Jakichś polskich fachowców muszą zostawić. Czesław był specjalistą, a tych potrzebowali, przynajmniej dopóki nie przygotują swoich. Znowu poszła na pocztę, podała, tym razem już Zarębie, nowy adres do korespondencji, przygotowała ubrania z pozaszywaną biżuterią, bieliznę, suchary ze złotem, i te zwyczajne, do jedzenia, trochę słoniny, cukru, herbaty, kaszy, ziemniaki, dwa rondle, kilka kubków, talerzy i sztućców, kilka książek, mydło, paczuszkę zdjęć i listów. Trzy skrzynie – jak się okazało, w tyle może spakować swój dobytek całkiem majątna nie tak dawno czterdziestojednoletnia kobieta z trojgiem dzieci.

Teraz się wyjaśniło, jaki to był „awans”.

– No bo jak inaczej miałam ci to napisać? – Maria nachyliła się ku Annie.

Szeptała, mimo że były same w pokoju. Dziewczynki i Krzyś już spały, Czesław jeszcze nie wrócił do domu.

– Korespondencja jest teraz podobno sprawdzana. Gdyby tak było rzeczywiście, to dla nas lepiej, bo może to by na jakiś czas uśpiło ich czujność, zanim by odkryli, jak jest naprawdę.

A naprawdę było tak, że Maria i Czesław zupełnym przypadkiem uniknęli aresztowania. Mieszkali w Chotyniczach, w majątku, w którym i Anna początkowo chciała znaleźć schronienie. Położony w lesie, na uboczu, przez kilka lat był ich przyjemną ostoją, do której Anna czasem zabierała dzieci. Wydawał się dobry, lepszy niż Niemowicze.

Złudzenie. Majątek to majątek, a wiadomo, że każdy, kto takim dysponuje, ba!, ma choćby kawałek gruntu, spłachetko jakieś, jest wrogiem klasowym. A ten, co mieszka jak burżuazja, to już w szczególności. Rozeszło się, że NKWD upatrzyło sobie Chotynicze. Czesław był w tym czasie w delegacji; Maria przebrała się za służącą i niewydana przez prawdziwą służbę uniknęła wywózki. Majątek został splądrowany, „wybebeszony”, jak to powiedziała. Czesław wrócił i oboje, na piechotę, z dobytkiem w kilku tobołkach, przenieśli się do Hancewiczów. To już stąd Maria odpisała szwagierce, ze strachu zatajając prawdę.

Anna próbowała ukryć swoje rozczarowanie. Warunki bytowe, jakie zastała, to było jedno – mieszkali teraz w wynajmowanych pokojach, w domach stojących naprzeciwko siebie, po dwóch stronach ulicy. To by zniosła, po kawałku przecież oddawała tamto życie – ciepłe i dostatnie, akceptując nowe braki. Degradacji materialnej towarzyszył jednak strach. Wcześniej był przeczuwany, teraz nabierał bardzo realnych kształtów.

– Oni już tu suną. Co rusz dochodzą nas wieści, że to jakaś większa sprawa. – Maria nerwowo ścisnęła w dłoni chusteczkę. – Plądrowanie, rabunki, pal sześć, niech się nachapia! – Aż się podniosła zza stołu. – Ale oni ludzi biorą na zesłanie. Tutaj mają zostać tylko ci, którzy nie są dla nich zagrożeniem. Najbiedniejsi, najmniej wykształceni. Ulepią sobie z nich nowych obywateli. Wezmą ich strachem, głodem albo obietnicami, że teraz będzie im lepiej. Dla takich jak my nie będzie miejsca. Nie będzie, rozumiesz?

Maria się rozszlochała. Anna, mimo że sama potrzebowała wsparcia, przysunęła się do szwagierki. Objęła ją ramieniem.

– Jakoś się ułoży – przekonywała je obie – zobaczysz. Wszystkich nas nie mogą wywieźć. My teraz jak szaraki biedni. Ja z dziećmi, po co im taki kłopot? Ty... – nie chciała przypominać szwagierce o bolesnym braku potomstwa – słaba, w złej kondycji – jak byś się im miała przydać? No, napij się herbaty, herbata jest dobra na wszystko.

Podsunęła Marii filiżankę z letnim już naparem.

– I zjedz coś. Błada jesteś, zmizerowana.

Sięgnęła po kawałek pumpernika i cienko posmarowała go masłem.

– Proszę. – Przesunęła talerzyk w jej stronę.

Maria podniosła chleb i wzięła pierwszy kęs. Po chwili zasłoniła sobie usta ręką.

– Przepraszam – powiedziała, wstając od stołu. – Nie mogę... źle się czuję... muszę...

Przeszła przez pokój, niedługo później Anna usłyszała zgrzyt drzwi wejściowych, a potem kolejnych, chyba do wychodka.

Oparła się rękoma o stół. Miała nadzieję, że tu razem będą nieść lęki i trudy, tymczasem wyglądało na to, że trzeba się będzie zająć Marią,

która nie dawała sobie rady z rzeczywistością. Anna знаła ten mechanizm – nerwy potrafiły się manifestować „zwykłymi” chorobami.

– Boże. – Westchnęła. – Co nas wszystkich czeka?

Podłoga skrzypnęła. Anna się odwróciła, ale tym razem odgłos dobiegał z wnęki, gdzie było ustawione duże łóżko, na którym spały dzieci. W jej stronę szła Zosia.

– Stało się coś? – zapytała zaspana.

– Nie. – Anna szybko się podniosła i poprawiła włosy. – Stryjenka źle się poczuła, pewnie niestrawność. Trudniej teraz o świeże produkty, masło, zdaje się, zjełczało.

Sama się zdziwiła gładkości swojego głosu.

– Ale to na pewno nic z wujkiem? Albo z tatą? Albo w ogóle coś złego?

– Na pewno. – Podeszła do córki i ją przytuliła. – Idź spać, za nami trudne dni.

Zosia pokiwała głową. Zrobiła kilka kroków, ale jeszcze się odwróciła.

– A przed nami? Co przed nami?

Teraz skrzypnięcie dobiegło z drugiej strony i w pokoju pojawiła się ciotka. Annie ulżyło, że nie będzie musiała odpowiadać na pytanie córki.

– Widzisz, mamusiu, nie jest tak źle. – Elżbieta z uśmiechem wyciągnęła z kufra gałgankowego misia i podała go bratu.

Krzyś już całkiem zgrabnie po niego podbiegł. Późno zaczął chodzić, Anna nawet się martwiła, czy do lekarza nie trzeba, choć raczej obstawiała, że to warunki fizyczne za tym stoją – jej syn wyglądał jak pączek w maśle. Wtedy ją to raczej martwiło, mimo zachwyków, że „zdrowiutki”, ale teraz myślała, że to wcale nie było takie złe – taki

noszony na sobie „zapas”. Jeszcze mieli co jeść, pal szyć, że nijak to nie przypominało ich przedwojennej kuchni, grunt, że starczało produktów i na produkty. Teraz to mogło się skończyć – ich konto w banku zostało przejęte na rzecz sowieckiego skarbu. Anna pluła sobie w brodę, że nie wybrała wszystkich oszczędności, ale przecież pieniądze miały być bezpieczne – „jak w banku”.

– Prawda. – Mimo wszystko uśmiechnęła się do córki.

Trzymanie fasonu sporo ją kosztowało, ale tak było trzeba. Beztroska i radość to przywilej młodego wieku. Ona, kiedy miała tyle lat co Zosia, myślała tylko o Franciszku. A on był daleko, bo wraz z wybuchem wojny trafił do armii austriackiej. Jedyne plus był taki, że ze szkoły oficerskiej wyszedł w stopniu porucznika. Potem, już w polskim wojsku, został kapitanem. Wraz z nowymi odznaczeniami na pagonach rosła akceptacja ojca dla ukochanego Anny. Tak się wtedy cieszyła z jego wojskowych awansów! Bo i potem przecież były miłe tego konsekwencje – choćby i stanowisko w Sarnach, do których jeździł dzielić i doglądać ziemi. A teraz... Wracała myślami do listu od męża. Przeczytała go tyle razy, że mogłaby go cytować obudzona nocą. Dawał nadzieję, był nawet dość pogodny, ale po pierwsze, Franciszek nie chciałby jej martwić, a po drugie, na pewno mieli cenzurę, więc nie mógł być z nią do końca szczery. Ile zataił? Przez ile powinna podzielić ten uspokajający ton, żeby otrzymać prawdziwy obraz?

– Och, no to jednak nie jesteśmy na straconej pozycji!

Do pokoju weszła Zosia. Patrzyła na odzyskany kufer i cieszyła się, podobnie jak siostra.

– Jest jeszcze uczciwość w narodzie.

Anna pokiwała głową. Fakt, uczciwość z narodu jeszcze nie wyparowała, no, Zarebów wyłączywszy, ale za to naród zniknął. Nigdy wcześniej nie czuła takiej obcości; żyli obok siebie, mówili różnymi

językami, bratania się może nie było, ale i nie było nienawiści. Choć, teraz widziała to wyraźniej niż przedtem, poczucie krzywdy w narodzie ukraińskim mogło być – u tych szarych ludzi, co po prostu chcieli zwyczajnie żyć, a potem płacili swoim cierpieniem za to, co robił OUN. Endecy dokładali swoje. Franciszek był za Piłsudskim, Anna za mężem, więc też była za prawami i równością. W teorii, bo praktyka była daleko od niej – w innych sferach żyli. Może powinna się teraz wstydzić tego braku zainteresowania, ale wtedy by jej to do głowy nie przyszło – nie było takiego zwyczaju, inaczej się to toczyło.

– Jak u stryjenki? – Wróciła z tych rozmyślań do terażniejszości.

– No – Zosia spojrzała przez okno, na drugą stronę ulicy – chyba jeszcze nie najlepiej.

Anna posłała córkę do szwagierki, żeby sprawdzić jej samopoczucie. Od czasu ich przyjazdu tutaj Maria chorowała. Anna sądziła, że to wycieńczenie psychiczne; Maria była słabego zdrowia, prawda, ale i kondycja jej ducha nigdy nie była zbyt mocna. Dobrali się pod tym względem z Czesławem, choć młodszy brat Franciszka niedobry zdrowotnie – w dzieciństwie dużo chorował, chyba tylko opatrności zawdzięczał zachowanie przy życiu – nadrabiał nieustającą pracą nad psyche.

– Wciąż taka słaba.

Zosia usiadła przy stole. Zaczęła mówić ciszej. Anna chciała ją chronić przed smutkiem świata, Zosia tej samej ochrony chciała udzielić młodszemu rodzeństwu.

– Mnie się wydaje, że to z nerwów. I z tego, że stryj tak dużo poza domem. Może gdyby stryjenka miała się czym, kim zająć... Kobieta przecież do tego jest stworzona.

Zosia lekko się zaczerwieniła.

„A jednak i tak mi wydorosłała”, pomyślała Anna.

– Smutno, że te prośby, które i ja zanosiałam, nie zostały wysłuchane – powiedziała.

– Bogu trzeba zawierzyć. – Anna westchnęła.

Każdego dnia to robiła.

– A... – zawahała się – ten chłopiec, Janek, to wiesz, co z nim teraz?

Przełamała się. Nie była przychylnie nastawiona do tej znajomości, prawda, ale to dlatego, że chciała dobrego, najlepszego życia dla swoich dzieci. Na poziomie. Franciszek... Ale to była inna historia. Wtedy tak myślała, a teraz było jej trochę głupio, że tak napadła na Zosię z powodu wizyty na pocztę; to już nie wynikało z niechęci do tego chłopca, a z lęku o córkę wobec zmieniających się warunków. „Kobieta jest do tego stworzona”, raz jeszcze obróciła to zdanie w głowie. Zosia przeistaczała się z panienki w młodą kobietę, coraz bardziej będzie się wychylać ku światu. Anna tego nie powstrzyma, musi jej pomóc przez to przejść, choćby i nie wszystko było po jej myśli. Zresztą czy jej myśli były tu najważniejsze?

– Janek? – zdumiała się Zosia. – Ja, no... Nie wiem, ostatni raz na jesieni napisałam, potem już nie mogłam... nie było jak... a teraz to on nie wie, że my tutaj... – Poplątała się zupełnie.

– Myślę, że krótką informację możesz mu posłać. Z obecnym adresem.

Anna delikatnie pogłaskała dłoń córki.

– A my tu długo zostaniemy? – Zosia z trudem hamowała zdumienie.

– Tak myślę. Wydaje się, że to był dobry pomysł. Nawet kufer do nas dotarł. Może to znak?

Zaklinała rzeczywistość i wiedziała o tym. Na razie nic złego ich tutaj nie dotknęło, ale pętla będzie się zaciskać, chyba że nastąpiłaby jakaś zmiana na froncie, a na to się nie zanosilo.

Uciekała z dziećmi, byle dalej od Hancewiczów, od Sowietów, od wojny. Przez las, dziki i mroczny, niby dający ochronę, ale przecież ich znajdą nawet między najgęstszymi drzewami. Mimo wszystko muszą się gdzieś schować, kupić sobie czas. A tak się łudziła, że Hancewicze zostaną ich domem choć na trochę... Przyspieszyła kroku, mocniej przyciskając Krzysia do siebie.

– Nie dam rady, kolka mnie schwyciła. – Ela się zatrzymała i złapała pod żebrami. – Nie możemy trochę odpocząć?

Anna nerwowo się rozejrzała.

– Tam coś jest, chyba jakiś budynek. – Zosia wskazała na ciemny kontur przed nimi, przypominający dom.

– Jeszcze trochę, no, jeszcze trochę. Poradzisz sobie. – Anna lekko popchnęła córkę.

Wstąpiła w nie nowa nadzieja.

Ciemna, prostokątna plama faktycznie okazała się domem – starym i pustym, choć w piecu jeszcze dogasał ogień. O niedawnej bytności jakichś ludzi świadczyły łóżka z pościelą; poza tym nie było tu nic. Nikt też nie zamknął drzwi, zupełnie jakby zamierzał już tutaj nie wracać. Anna szybko zatrzasnęła za nimi, założyła solidny skobel i dodatkowo zastawiła drzwi krzesłem, które stało obok wejścia. „Rozklekotane, ale trochę wytrzyma”, pomyślała.

W środku było siermiężnie, ale nawet dość czysto, na ile to można było ocenić w świetle księżyca. I co najważniejsze, sucho. Na zewnątrz wzmógł się wiatr, chyba zaczął padać śnieg.



Anna odetchnęła. A więc udało się im, przynajmniej na razie. Teraz się prześpią, a jutro się zobaczy. Najważniejsze, że w tej chwili są bezpieczni.

– Możecie... – zaczęła, ale urwała.

Córki, w ubraniach, zrzuciwszy tylko kożuchy, położyły się do łóżka. Między siebie wzięły Krzysia. Anna patrzyła na nie z ulgą, ale i zazdrością – tylko młodzi tak łatwo i szybko zasypiają. Ona pewnie oka nie zmruży, a przecież jutro musi mieć siłę, bo trzeba coś dalej postanowić.

Myliła się. Nawet się nie zastanawiała, kto wcześniej tu leżał; przyłożyła głowę do obcej poduszki, nakryła się kołdrą pachnącą pierzem, ledwo zdążyła pomyśleć, kto zostawia po sobie taki dobytek, i poczuła, że zaczyna ją ogarniać senność. Szalejąca już teraz wichura w niczym jej nie przeszkadzała. Świsty wiatru pogłębiały jej kolejne oddechy.

Przebudziła się dopiero wtedy, gdy zaczęły walić pioruny. Nie bała się ich, tylko się im dziwiła – jak to, burza zimą? Cóż to za anomalie? Znowu grzmotnęło. Podniosła głowę. Kolejne uderzenie, bardzo blisko, aż zatrzeszczały ściany. Przestraszyła się, że jeśli ich piorun dosięgnie, to się spalą.

– Otkroj!

Myślała, że się jej przesłyszało, że to może zmęczona głowa atakuje ją swoimi lękami, ale głos się powtórzył, teraz donośniej.

– Otkroj!

I do tego następny piorun, tak mocny, aż podskoczyła.

– Otkroj!

Poderwała się z łóżka. Było ciemno, ale nie tak bardzo jak poprzednio, bo z zewnątrz wpadało słabe światło latarni. „Jakiej latarni, przecież my jesteśmy...”, tyle zdążyła pomyśleć, bo usłyszała rumor, hałas, krzyki – donośne, obce i płaczliwe, ich gospodyni.

Nie, nie byli w żadnym lesie, donikąd nie uciekli. Znajdowali się w swoim pokoju w Hancewiczach. Drzwi się z łoskotem otworzyły i Anna zobaczyła w progu kilka męskich sylwetek – niskich, krępych, w burych mundurach. Na ich czapkach widniały czerwone gwiazdy. Bez słowa rozeszli się po pokoju i zaczęli go plądrować. Annę, początkowo odrętwiałą, do przytomności przywrócił płacz przestraszonego Krzysia. Na sztywnych nogach podeszła do łóżka i podniosła syna.

– Ci... cichutko, nie płacz – wyszeptała mu do ucha.

Zosia i Ela, też już całkowicie rozbudzone, do tego zawstydzone, że są w koszulach nocnych, podeszły do matki. Obcy sprawiali wrażenie, jakby domownicy ich nie interesowali – otworzyli szafę, wyrzucili jej zawartość na podłogę i rozwlekali ją po pokoju. Bagnetami kłuli materace, sprawdzając, czy nie ma w nich nic pochowanego. Jeden z nich ściągnął książkę leżącą przy łóżku Anny i przekartkował ją; schylił się, żeby zobaczyć, co z niej wypadło, ale kiedy zobaczył, że to nie koperta z pieniędzmi, stracił zainteresowanie i rzucił nią o ścianę.

Anna się trzęsała; Krzys wciąż jeszcze chlipał, ale ciszej. Córki były przerażone.

– Mamusiu – wyszeptała Ela, przytulając się do Anny – co oni z nami zrobią?

– Oni... – zaczęła Anna. A potem jakimś nadludzkim wysiłkiem się zmusztrowała. Przecież ćwiczyła tę sytuację w wyobraźni, przygotowywała się na ten moment. Nadzieja, że ona się nie zdarzy, biegła równoległe do tych przygotowań. I jedno wciąż sobie powtarzała – gdy nadejdzie zło, nie wolno wybiegać myślami

w przyszłość, bo to, co się tam zobaczy, może tak zatrwożyć, że sparaliżuje. Cofać się pamięcią też nie wolno, ponieważ to rozczuli i osłabi. Wszystkie siły trzeba zebrać na działanie w tej chwili, która właśnie płynie.

– Posłuchajcie – szepnęła do córek, cicho, ale wystarczająco dobitnie, żeby mieć pewność, że usłyszą i zrozumieją – musicie być opanowane i kulturalne. Odpowiadajcie grzecznie i spokojnie, że nie wiecie, nie rozumiecie. O nic nie pytajcie, nie dyskutujcie, nie płaczcie i nie krzyczcie. Zrozumiałyście?

Zosia i Ela pokiwały głowami. Bały się podnieść wzrok na intruzów. Anna przyglądała się im ukradkiem, głaszcząc ciepłe i wciąż lekko drżące plecy synka. Wiedziała, że to tylko szeregowi żołnierze, dostali rozkaz przeszukania pokoju i zabrania broni lub złota, jeśliby znaleźli. Nie znaleźli, więc bez słowa wyszli.

– Czy oni wrócą? – zapytała cicho Zosia.

– Wrócą – odparła Anna.

„Sowieci zawsze wracają, nigdy nie odpuszczają”, pomyślała.

I rzeczywiście, po kilku minutach w progu pokoju stanął mężczyzna, którego wcześniej tu nie widziała. Wyższy, inaczej ubrany – w szaroniebieskim mundurze, z czerwonymi lampasami. Tylko czerwone gwiazdy nad czołem były takie same.

– Kaka wasza familja? – zapytał, patrząc na Annę.

– Nie rozumiem – odparła, choć przecież była wystarczająco osłuchana z rosyjskim, żeby poprowadzić zdecydowanie trudniejszy dialog.

– Nicziewo. Wyuczities. – Uśmiechnął się.

Annę zmroził ten uśmiech; kąciki ust podjechały mu do góry, ale oczy pozostały niewzruszone.

– Wasze nazwisko?

– Polakowska.

– Polakowska. – Pokiwał głową. – Nu, wy Polaki, biez oszybki. A mężu jak?

– Polakowski, Franciszek Polakowski.

– On kapitan Wojska Polskiego?

– Tak.

– On kapitan i ja kapitan. Ja pracuję dla swojego kraju, a on... – zawiesił głos.

Anna poczuła ból w piersiach. Tamten grudniowy list był jedynym, jaki dostała od męża. Tak często się przenosili, że może kolejny po prostu nie zdążył do nich dotrzeć, bo wędrował między urzędami pocztowymi. No i Franciszek uprzedził, że wolno im pisać tylko raz na miesiąc. Albo... nie, nie, odrzuciła od siebie tę myśl. Jej mąż żył, to była jedynie taka taktyka, żeby ją wytrącić z równowagi, od razu ustawić na przegranej pozycji.

– Mąż w mundurze – odparła.

Sowiecki kapitan przyjrzał się jej i znowu uśmiechnął.

– To dalsze. U was jest troje dzieci – przeniósł wzrok na papiery, które trzymał w ręku – Zofia, lat siedemnaście, Elżbieta, lat czternaście, Krzysztof – rok.

– Tak – potwierdziła Anna.

– Wy pójdziecie z nami.

A jednak nie udało się jej opanować.

– My? Dokąd? Dlaczego?

– Dlaczego? Wy wrogi ludu. Wsie burzuje i pany będą zabrani. Wsie.

Anna zauważyła, że ta rozmowa sprawia mu dużą satysfakcję. „Czekali, żeby nas upokorzyć – pomyślała – ci okrutnicy, ta dzicz. Jak oni nas nienawidzą”.

– Dokąd nas zabiorą? – zapytała Ela.

Pytanie było skierowane do matki, ale to kapitan na nie odpowiedział:

– Wy pojedziecie do naszego kraju. Krasiwego, wielkiego kraju.

Znowu się uśmiechnął. Anna zadrżała. Wiedziała, że bawi się nimi, ich strachem. A oni są bezradni. Jedyne, co mają, to godność i nadzieja. Pomyślała, że na Wschodzie ta waluta może im nie wystarczyć.

– Adin czas. Godzina na spakowanie. Broni i knig nie lzia.

– Książek nie wolno? – Ela, niepomna tego, co Anna im powiedziała, spojrzała na kapitana.

– Nie wolno. Wy wsio połączicie od nas. Dostaniecie. Wsio! – Kapitan uderzył się otwartą dłonią po udzie. – U nas wsio jest!

Po tym wybuchu odwrócił się do nich plecami i wyszedł z pokoju.

Anna jeszcze przez chwilę uspokajała oddech, a potem powiedziała:

– Elu, Zosiu, żadnych już pytań. Bierzemy wszystko. Wszystko, co można. Każde ubranie – popatrzyła na nie znacząco – każdego suchara. Rozumiecie?

Pokiwały głowami.

Odłożyła śpiącego syna do łóżka i bezradnie rozejrzała się po pokoju. To, co spakują, muszą zdołać same unieść, a przecież jeszcze jest Krzyś.

– Wsio bieritie – usłyszała.

Wzdrygnęła się. Nie zauważyła, kiedy jeden z tych szeregowych żołnierzy wrócił do pokoju i podszedł do niej. Miał tatarskie rysy – ciemne oczy, ostro „wycięte” powieki, szeroki nos, wystające kości policzkowe.

– Wsio bieritie – powtórzył, patrząc na nią, a potem przeniósł wzrok na śpiącego Krzysia. Twarz mu złagodniała.

Nie był agresywny, wręcz przeciwnie. Anna zrozumiała, co chce jej przekazać – tam, dokąd jada, w tym wielkim kraju, nic nie będzie na nich czekać.

Tatar podszedł do drugiego łóżka i wprawnym ruchem zawinął pościel w tobołek. Otworzył bielizniarkę i wyciągnął z niej prześcieradło. Anna nie oponowała, że to nie ich, tylko gospodyni. Trudno, wybaczy zesłanym.

Sama też zaczęła się pakować. Machinalnie, jakby jej ktoś odciął uczucia. Dziewczynki działały podobnie. Po półgodzinie były gotowe. Ich tatarski pomocnik gdzieś zniknął, więc szybko się przebrały. Anna delikatnie przeniosła syna na uprzątnięte już łóżko, żeby zawinąć drugą pościel. Kiedy ją podnosiła, jedna poduszka spadła na ziemię. Anna schyliła się po nią i zauważyła, że pod łóżkiem coś bieleje. Wsunęła dłoń; to była ta urodzinowa pocztówka, którą Franciszek zostawił Krzysiewi. Musiała wypaść, gdy ten ruski kapitan przetrząsał modlitewnik. Zajrzała głębiej; był tam, głęboko, po tym rzucie o ścianę. Sięgnęła po niego. Jeden róg miał zagięty. Przez chwilę się namyślała, ale postanowiła nie ulec – tę jedną, najważniejszą książkę zabierze.

– Gdzie przybornik? – zapytała.

Zosia rozejrzała się i wskazała jeden z mniejszych tobołków.

– Podaj.

Córka sprawnie rozwiązała supeł i wyjęła płócienne zawiniątko.

– A ołówek?

Zosia z tego samego tobołka wyciągnęła drewniany piórnik; otworzyła go i wręczyła matce ołówek – mocno już spisany i niezatemperowany.

– Nie szkodzi. – Anna wyłapała jej spojrzenie.

Otworzyła modlitewnik na ostatniej stronie i napisała: „Hancewicze, 10 lutego 1940 r. Boże, miej nas w opiece, żebyśmy wrócili na polską ziemię”. Włożyła kartkę i zamknęła okładkę. A potem przecięła róg poduszki i przez tak zrobiony otwór wsunęła do niej granatową książeczkę. Szybko zaszyła poły materiału.

– Ale... – Zosia chciała coś powiedzieć.

– Słowo Boże. To nas obroni. – Anna ucięła dyskusję.

Teraz nie mieli czasu na niepewność i lży. Należało działać. Mimo że w pokoju było chłodnawo, nie czuła zimna. Wręcz przeciwnie, była rozgrzana, na czoło wystąpiły jej krople potu. Spojrzała w lustro. Była już ubrana, ale wciąż nieuczesa. I właśnie wtedy, gdy w lekko mętnej tafli lustra szukała odpowiedniego miejsca, żeby wsunąć grzebień i upiąć włosy, dojrzała obrazek z ulicy – rozświetloną plamę i jakieś cienie.

Odwróciła się i podeszła do okna. Z domu naprzeciwko wychodzili żołnierze, za nimi ten ich kapitan. A potem – Maria i Czesław.

Przez głowę Anny przebiegły jednocześnie dwie sprzeczne myśli: ależ szkoda, że ich też to spotyka; dobrze, że nie zostaną sama z dziewczynkami w tym nieszczęściu.

Tylko przez chwilę poczuła wstyd; przecież i tak by ich zabrali, od razu wiedziała, że to odroczone wyrok, mimo że nie mówiła tego szwagierce. Są rodziną, dadzą sobie wsparcie.

– Idi siuda! – Usłyszała krzyk gdzieś blisko, z korytarza w ich domu.

Szybko skończyła upinać włosy, podeszła do synka, zawinęła go w płaszczyk, włożyła na jego bose stopy skarpety i buciki, a potem jeszcze omotała go wełnianym kocem.

Znowu zobaczyła tego Tatarzyna. Bez słowa wynosił przygotowane tobołki.

– Chodźmy – powiedziała do córek.

Na ulicy podeszła do sań, którymi mieli jechać. Maria już w nich siedziała. Widać było, że płakała. W świetle ulicznych latarni wyglądała na jeszcze bledszą niż ostatnio.

– Sadies! – krzyknął na nią jakiś żołnierz.

Dziewczynki umiejscowiły się z tyłu, ona na drewnianej ławeczce, obok szwagierki.

– Maryś – powiedziała do niej. – Nie martw się, jakoś to będzie. Zobaczysz – dodała, bo Maria wciąż milczała. – Będziemy razem, w rodzinie jest siła.

Maria wreszcie na nią spojrzała.

– No, zobaczysz. – Anna naprędce szukała prostych słów, którymi mogłaby ją pocieszyć. – I w modlitwie jest siła.

– Jest. – Maria się zgodziła.

– Właśnie! Jak sześcioro Polakowskich naraz będzie się modlić, bo przecież Krzyś już umie rączki złożyć, to Bóg wspomóż. Wysłucha.

– Już wysłuchał. – Maria patrzyła teraz wprost na nią.

Anna nie potrafiła rozeznaczyć, co tkwi w jej spojrzeniu, takie było dziwne – ni to radość, ni to lęk.

– Jestem w ciąży.



Sanie ruszyły, wioząc na dworzec siedmioro skazanych.

## Rozdział 6

*Różanka, zima 1940 roku*

– Nie rycz! – Zenon Czernik wrzasnął na żonę.

Krystyna Czernikowa na chwilę ucichła; słycać było tylko boleściwe posapywanie, jakby wtłaczała w siebie kolejne porcje smutku.

Marian pomyślał, że matka długo tak nie wytrzyma; to jak w balon dmuchać coraz więcej powietrza – w końcu wybuchnie. I matka też pękła – zaczęła zawodzić i szlochać jeszcze głośniejsze niż poprzednio.

– Nie rycz, no.

Powiedziane niby to samo, ale nie tak samo. Zenon Czernik odszedł od okna i stanął przy krześle, na którym siedziała jego żona; to znaczy częściowo siedziała, bo tułów oparła o drewniany stół, tak że prawie nie było widać jej twarzy; schowała ją w ramionach.

Położył dłoń na jej plecach. Marian patrzył, jak grube palce ojca niezgrabnie prześlizgują się po wełnianym serdaku. Nie tylko ruchy ojca były niezgrabne – słowa także.

– Będzie, co ma być, nic na to nie poradzimy – powiedział.

Kobieta uniosła głowę. Twarz miała zaczerwienioną i opuchniętą.

– Gdybyśmy nie jechali od ojców... – zaczęła.

– A ty myślisz, że tam wojny nie ma? Że tam to jakaś inna Polska? – Zenon Czernik znowu się zdenerwował.

– A żebyś wiedział, że inna! Lepsza, bo z Niemcami tylko. Oni to kulturalny naród przynajmniej, nie to co ta swołocz! – Poderwała się z krzesła i splunęła na podłogę.

– A ty nie pamiętasz, jaką tam biedę mieliśmy? I ciągle dla kogoś robiliśmy, w tej liczej ziemi! A tu swoje, i to jakie!

– Zaraz i ty niczego nie będziesz miał, bo nam tu wszystko zabiorą. Poczekaj do wiosny, jak się tym bojom pokończy to, co nakradli, te ich niby daniny! To i u nas się znowu zjawia, każdusięńki owoc zabiorą, tak jak zabrali krowę i kury. Z niczym zostaniemy, z niczym! Będziemy głodni jak psy, jak oni, kiedy tu do nas przyszli!

I znowu się rozplakała.

Marian siedział na łóżku i obserwował tę scenę w milczeniu.

Wczoraj i dziś, kiedy był w robocie, mówiło się przede wszystkim o tym, że Sowieci organizują wywózki na Wschód i lada dzień to się wydarzy i u nich. Marian słuchał tego, bo zawsze przykładał ucho tam, gdzie coś ważnego mówiono, ale nie brał tych słów do siebie. Przecież zniknąć miały przede wszystkim pany i burżuazja, a gdzie jemu było do tego? Jakieś ziarno niepokoju to w nim jednak zasiało.

– Pomodlić się trzeba – zdecydował w końcu ojciec.

Matka, wciąż płacząca, na to wezwanie jednak zareagowała. Podeszła do ściany, na której wisiały obrazy z Ostatnią Wieczerzą i Panem Jezusem.

– Póki można. Za to też zaraz będą chcieli ubić.

To również już się działo. Nie u nich, ale kawałek dalej czerwonoarmiejcy obrazy święte potłukli, kościół zbezczęścili. Ludzi

pod bronią prowadzali na te swoje zebrania, co miały zrobić z nich lepszych obywateli.

Uklęła; ojciec dołączył do niej.

– A ty czego czekasz? – Przez ramię odwrócił się do syna.

Marian podniósł się i podszedł do rodziców. Spojrzał na nich – przed chwilą rozgniewani, przestraszeni, pogubieni – teraz jakby odzyskali spokój. W Marianie uczucia mniej się szarpały, co dobrze, bo nie potrafił już ich tak uspakajać modlitwą jak ojciec czy matka. Sam nie do końca rozumiał, skąd mu się tak zrobiło, zresztą nie to, żeby jakoś zaniedbał wiarę, bo do kościoła chodził, modlił się, ale jednocześnie czuł, że Pan Bóg jego czy też Polski problemów nie rozwiąże, że tu trzeba czego innego. Czego – tego jeszcze nie wiedział.

– „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...” – zaczęła Krystyna.

Potem jeszcze Ojciec nasz, a na koniec odśpiewali Boże, coś Polskę. Usta Mariana wypowiadały te same słowa, ale jego myśli błądziły gdzie indziej.

W nocy nie mógł zasnąć. Zimno było, a oni oszczędzali drewno, bo zapasy się kurczyły, a do końca zimy jeszcze parę tygodni. Już było źle, a pewnie będzie jeszcze gorzej. Jak Sowieci zaczną te kołchozy robić, to będą tam ludzi do pracy potrzebować, przecież ktoś musi ziemię i zwierzęta obrabiać. Na pewno przymuszą młodych do roboty, bo wiadomo, że młodzi wytrzymalsi i wydajniejsi od starych. I tak, nie dość, że wojna, to jeszcze Marian na roli będzie pracował. Zaczął się namyślać, jak by się stąd wyrwać i w którą stronę jechać – czy na Wilno, czy może na Warszawę? Pieniądzy miał za mało, nikogo, gdzie mógłby się zatrzymać, ale przecież to się jakoś musi dać. Broń by się przydała, bo bez broni to już w ogóle strach, ale oni nie mieli. To znaczy ojciec miał, nawet go zdążył nauczyć strzelać, tak na wszelki wypadek, ale jak

się wypadek zdarzył, to broni nie ma, bo jeszcze we wrześniu ojciec tak się przestraszył, że za trzymanie czegoś w domu będzie od razu kula w łeb, że włożył pistolet do worka, kamieni dorzucił i w stawie zatopił. Może i miał rację, bo chłopaki opowiadali, co podobno Sowieci zrobili z jednym chłopem, co to broń ukrył – zabrali do lasu, tam odcięli mu uszy, nos, język, oczy wydłubali, potem brzuch rozplatali, kiszki wokół sosny okręcili, a to po to, żeby innych odstraszyć. Tyle że zdarzało się, że tak samo mordowali i tych, co mówili, że broni nie mają, i naprawdę nie mieli.

Marian kręcił się w łóżku i zasnąć nie mógł od tych myśli. Kiedy w końcu sen go zmorzył, przeszedł dzień z dziewiątego na dziesiątego lutego.

Obudził go jakiś hałas. Podniósł się i przesunął gęstą kołkową firankę, ale niczego i nikogo na drodze nie zobaczył. W tym samym momencie usłyszał głuchy huk, który się powtórzył, jeszcze głośniejszy, a potem do domu wpadli jacyś mężczyźni.

Marian podniósł się z łóżka. Zobaczył, że ojciec też się poderwał.

Żołnierze – teraz już nie miał wątpliwości – nie zwracali na nich uwagi. Zapalili lampę na stole i zaczęli przeszukiwać ich pokój, bez słowa, nie patrząc na nich, jakby Czernikowie byli jakimś krzesłem albo stołem.

Do pokoju wszedł kolejny mężczyzna, najwyraźniej ich dowódca, bo w innym mundurze.

– Sobirajties, za sorok piac minut ujezdżajem.

– Ale jak to, gdzie? Dlaczego? Co my...?

Krystyna Czernik stanęła obok męża i patrzyła to na żołnierzy, którzy rozbebeszyli łóżka, rozpruwali sienniki i poduszki, a teraz zabierali się do szafy, to na nowo przybyłego.

– Dekret jest. I bumaga. Napiszcie tu. – Głównodowodzący wyciągnął zza pazuchy jakieś papiery, rozłożył je, przekartkował i podał Zenonowi Czernikowi, palcem wskazując, gdzie ma postawić parafkę.

– Ale jak to? Co to mam podpisać?

Zenon Czernik wysunął się przed żonę; Marian widział, że ojciec się trzęsie, ale mimo to odważył się odezwać.

Dowódca odwrócił się w stronę drzwi i coś krzyknął. Po chwili do domu wszedł kolejny żołnierz.

– Objaśnicie – rzucił w jego stronę.

– Papiery macie do podpisania. Jeden to dekret, że was zabieramy do innej obłasti, a drugi to spis rzeczy. Inwentarza. Jak sprzedany będzie, pieniądze dostaniecie.

– Ale jak to sprzedany? – Krystyna Czernik zbladła tak, że Marian pomyślał, że zaraz zemdleje.

– Wam już nie nużen. Niszto – odezwał się komendant.

– Nic wam niepotrzebne stąd, na miejscu wszystko będzie – dodał ten, co im wcześniej tłumaczył sytuację.

– Da. U nas wsioho mnogo. – Komendant pokiwał głową, jakby dobrodusznie, ale po chwili już innym tonem dodał: – No, poł czasu i ujeżdżajem.

Krystyna Czernik zaczęła płakać, jej mąż rozglądał się na boki. Żołnierze skończyli przegląd mebli, teraz odrywali deski w rogu pokoju, sprawdzając, czy pod podłogą nie ma czego schowanego.

– Dawajcie.

Marianowi wydawało się, że usłyszał w głowie tego młodego coś jakby współczucie. A może się przesłyszał? On tak cicho to powiedział, zresztą oni wszyscy to byli jedna banda.

– Nu, dawajcie. – Znowu to powtórzył, jeszcze ciszej, ale teraz przysunął się do Mariana. – Wszystko, co można. – To już prawie wyszeptał mu do ucha.

– Ale... – Marian w pierwszej chwili nie zrozumiał. W drugiej – już tak.

Nic ich na tym Wschodzie nie czeka, znaczy nic dobrego. Ta podłoga, na której stał, już do nich nie należała, tam, dokąd jechali, będą na obcej ziemi, w poniewierce. Wrócić stamtąd będzie dużo trudniej, niż byłoby mu się stąd wyrwać gdzieś w Polskę. Gdyby się tak nie zastanawiał, gdyby dzień wcześniej...

– Marian!

To był głos ojca, który zaczął w pośpiechu szykować tobołki. Każda rzecz, nim została spakowana, musiała zostać zaakceptowana przez żołnierzy, którzy zdążyli jeszcze podziurawić ściany, zerwać dwa święte obrazy, do tej pory wysłuchujące modlitw Czerników, i ponapychać sobie kieszenie różnymi przedmiotami, jakie u nich znaleźli. Zabrali nawet lep na muchy, który leżał w kredensie przyszykowany na wiosnę.

I właśnie to Marian zapamiętał ze swojej rodzinnej Różanki na pożegnanie – matkę, jak w jakimś stuporze, nierozumiejącą, co się dokoła dzieje, ojca modlącego się po cichu, nagle starszego o dziesięć lat, który jeszcze po drodze zdążył paść przed ulubioną jabłonią na kolana i objąć jej pień, oraz, jako ostatni obraz, tego żołnierza ze skośnymi oczami, któremu z kieszeni wystawał kawałek lepca – na kremową taśmę padały płatki śniegu. Zamiast dołączyć do białego puchu na ziemi, tu kończyły swój lot.

Ruszyli.

\* \* \*

*Lida, zima 1940 roku*

Z radością wychodził z domu. Do tartaku miał spory kawałek, mróz piekł go w policzki tak, jakby mu je ktoś przypalał, ale dwadzieścia minut przejdzie szybko, a on będzie mógł się ogrzać. Ta praca to było szczęście – gdzie jak gdzie, ale tam drewna na opał nie brakowało. Gdyby mu kto przed wojną powiedział, że będzie się cieszył ze stróżowania, toby go wyśmiał.

Ale to było przed wojną. Teraz obowiązywała sowiecka zasada, że „kto nie pracuje, ten nie je”. Więc brał, co się dało, szczęśliwy, że w tej zawierusze nikt nie pytał o świadectwo urodzenia – pełnoletni przecież jeszcze nie był, powinien siedzieć w szkole i nauki pobierać. „Rosyjskiego, niedoczekanie ich”, pomyślał, mocniej owijając szyję szalikiem. Trochę go kłuło, że w ogóle przestał się uczyć, ale postanowił, że to nadrobi. Głupio by tak było przy Zosi...

Zmarkotniał. Od dwóch miesięcy żadnego listu od niej nie dostał; świąteczne życzenia to były ostatnie słowa, jakie mu napisała. Nie mogła więcej, nie chciała? A może... Znowu ten skurcz w klatce piersiowej. Nie, Zosia nie była taka. Różnili się, ale jej to nie przeszkadzało. Młodzi inaczej patrzyli na świat; gdyby to od nich zależało, wszystko wyglądałoby odmiennie. Miłość, równość, pokój.

– Serwus!

Rozejrzał się.

Z naprzeciwka szedł Piotrek, jego kilka lat starszy kolega. Też pracował w tartaku, tyle że zajmował się obróbką drewna.

– Coś taki zamyślony? – Klepnął go po plecach. Krzepę miał, jeszcze ciężką fizyczną robotą utrwaloną.

Janek się uśmiechnął, trochę na siłę – bo raz, że go ten grzmot ciut zabolął, a dwa, że wciąż był myślami przy nie najweselszych tematach.

– To może ty już wiesz? – Piotrek spojrzał na niego.



Stanęli przy bramie tartaku.

– Wiem? A co? – zdziwił się.

– Wczoraj byli u Snopkiewiczów. Szukali Jurka.

– Jego? Ale po co?

– No po co? A po co szukają? – Piotrek wzruszył ramionami.

– Ale po co on im? Nawet nie jest jeszcze dorosły.

– Nie jest. Ale jest harcerz. Może taki mundur też im wadzi? – Piotrek kopnął czubkiem buta bryłę śniegu. – Ja bym tobie radził ten twój to schować gdzieś do skrzyni. Nie ma co losu prowokować.

Jan się zamyślił. Żał by mu było; jakieś trzy tygodnie temu wieczorem przyszedł do nich młody chłopak. Przysłał go ktoś ze szpitala, gdzie teraz, w kuchni, matka pracowała. Mieli go przenocować i dać mu cywilne ubrania, żeby się w oczy nie rzucał, bo szedł podobno do Rumunii, gdzie formowały się polskie siły wojskowe. Matka przyszykowała mu ojca spodnie, koszulę i kamizelkę, a on zostawił im swój mundur, ze szkoły policyjnej. Zdjęli emblematy, nawet guziki matka wymieniła. Taki był ładny, porządnie odszyty. Jankowi było w nim bardzo dobrze.

– W ogóle się mówi, że coś się kroi. Ojciec rano wrócił z roboty i opowiadał, że na dworcu jakieś nowe wagony się pojawiły.

– Ktoś przyjechał?

– Nie, puste przywieźli. Takie towarowe. A co by mieli od nas nimi zabrać? Z miasta? A po wsiach to już wcześniej zrobili czystkę. No. – Piotrek pokiwał głową. – Idę, bo robota nie poczeka. Matkę pozdrów.

– Pozdrowię – odparł Jan.

Sylwetka Piotrka już malała w drodze do magazynu, a Jan został przy bramie głównej, gdzie pilnował wywozu towarów. Wszedł do

kanciapy. Ciepło tu było, żeliwna koza solidnie grzała.

– Jesteś – przywitał go głos kierownika. – No to podpisz się tutaj. –  
Podsunał mu listę obecności.

Jan w rubryce ze swoim nazwiskiem, pod datą dziewiątego lutego, postawił parafkę.

– Dobrze się sprawujesz, żadnego spóźnienia, żadnych niedyspozycji. Tak trzymaj. – Kierownik z uznaniem pokiwał głową.

Dziesiątego lutego Jan Biały nie wypełnił o czasie swojego kwadratu na liście obecności.

Najpierw, bardzo wcześnie rano, w okno zastukała Szymkiewiczowa, ich sąsiadka, która pomogła załatwić mamie pracę. Sama pracowała w szpitalu, była pielęgniarką. Jan sennie pomyślał, że to coś z tym związanego, może mama wcześniej potrzebna, może Szymkiewiczowa coś przyniosła, bo i tak już bywało. Ale nie tym razem.

Mama ją wpuściła. Już się krzątała, już była ubrana. Kobieta stanęła w progu i powiedziała:

– Zaczęło się. Zabierają ich.

Okazało się, że na dworzec kolejowy z różnych stron jadą furmanki z „ludzkim nieszczęściem”. Jan szybko się ubrał, połknął pajdę chleba z marmoladą i wbrew prośbom matki poszedł na stację. Na głównym peronie było zwyczajnie, na ile mógł ocenić, bo blisko się nie dało podejść – tory otaczała tyraliera wojskowych.

Nie stąd zaplanowano odjazd. Wozy i sanie podjeżdżały pod rampę towarową. Tam wyładowywano z nich dobytek i ludzi. Wójtowie, sołtysi, osadnicy wojskowi, rolnicy, ich rodziny – młodzi, starcy, dzieci, kobiety, mężczyźni – rzeka ludzi płynęła w kierunku rampy.

Słychać było pojedyncze krzyki, płacz.

Jan patrzył na to ze ściśniętym gardłem. Nie czuł mrozu, choć było piekielnie zimno.

W końcu poszedł do pracy; kierownik nie skomentował jego spóźnienia; nie miał do niczego głowy, bo w tym transporcie był jego brat wraz z żoną, dziećmi i rodzicami.

Po skończonej zmianie Jan znowu poszedł na dworzec.

Pociągi jeszcze stały; pierwszy z nich szykował się do odjazdu. Lokomotywa zasyczała, wypuściła z siebie kłęby pary i ruszyła. Jan patrzył, jak czerwone wagony przecinają biel krajobrazu. Sunęły jeden za drugim, jak pulsująca krew. W końcu na dworcu zrobiło się pusto i ciemno. Czerwone pulsowanie ustało.

## Rozdział 7

### *Z Hancewiczów na Wschód, zima 1940 roku*

Huk. Metalowe drzwi trzasnęły. Tuż potem podobny, choć cichszy dźwięk wydała opadająca sztaba.

„Jak wieko trumny”, pomyślała Anna.

W wagonie panowała cisza. Z zewnątrz dobiegały pojedyncze polskie krzyki, rosyjskie i ukraińskie nawoływania. Oni milczeli.

To koniec. Załadowali ich jak bydło, nie patrzyli, kto chory, zmęczony, niesprawny. Nic ich nie obchodziło, że pakują do tych pociągów przede wszystkim kobiety, dzieci i starszych, czyli tych, którzy z natury są słabsi, potrzebują opieki i delikatności. Nie wierzyła w ani jedno ich słowo – o wielkim kraju, w którym czeka ich nowe życie. „Śmierć tam na nas czeka”, pomyślała. Machinalnie dotknęła głowy Krzysia. Pszeniczne włosy wysypywały mu się spod wełnianej czapki, na policzkach miał malinowe wypieki – kółeczka jakby od talerzyków filiżanek odciśnięte. Lekko i ufnie oddychał, trzymając swoją piąstką palec wskazujący Anny. Mały był ciepły, bo Anna przytuliła go do siebie i dodatkowo okryła kocem. Wiedziała jednak, że to ciepło zaraz się skończy, ponieważ temperatura w środku wagonu była niewiele wyższa niż na zewnątrz, a ona się nie ruszała. Jeszcze raz spojrzała na synka i ścisnęło jej się serce; przecież to życie dopiero się zaczynało.

Powołując dziecko na świat, dorośli powinni mu dać gwarancje bezpieczeństwa, spokoju i miłości. Z tego zestawu tylko to ostatnie Krzyś mógł teraz dostać – i to połowę porcji, bo przecież był bez ojca. Kolejny ból w okolicy serca. Co z Franciszkiem? Sowieci powoli odsłaniali swoją twarz. To znaczy ona już tę twarz, nie, nie twarz – gębę! – znała z przeszłości, ale teraz niby to miało być inaczej. Że wyzwoliciele, że nie mordują, tylko internują, że wprowadzą im lepsze życie. Szybko przeszło – zaczęły się rabunki, egzekucje, terror. Jeśli tak robią z cywilami, to jaki los czeka wojskowych, którzy wpadli w ich ręce?

– Mamo...

Ocknęła się. To była Zosia. Siedziała obok niej na pryczy, a przy niej – Ela. Kawałeczek dalej Maria. Dostali jedną z nar. Wszyscy siedzieli, jeden obok drugiego, niepewni, wyczekujący, przestraszeni.

– Mamo... – Tym razem Zosia dotknęła jej ręki.

– Tak? Przepraszam, zamyśliłam się. – Spojrzała na córkę.

– Co teraz będzie? – Zosia nachyliła się ku niej.

Zapytała cicho, chcąc pewnie, żeby Ela nie usłyszała odpowiedzi. Anna czuła, że to Marię należy bardziej chronić; szwagierka jeszcze nie doszła do siebie fizycznie, kiedy jej psychika została tak obciążona – najpierw przeogromna radość z wiadomości o upragnionej, tyle lat wyczekiwanej ciąży, a chwilę później paraliżujący strach na wieść o wywózce. Takie rozchwianie w jej stanie mogło się okazać bardzo niebezpieczne. „Jak ona tam z tym maleństwem?...”

– Dostaniemy gdzieś przydział do mieszkania. – Anna odchrząknęła, żeby usunąć z gardła gulę smutku.

– Ale gdzie? W Polsce?

Biła się z myślami. Zosia bardzo wydorosłała przez ostatnie tygodnie, zupełnie porzuciła swoją trzpiotowatość. Anna miała w niej oparcie jak w kimś dorosłym. Zosia jednak wciąż była bardzo młoda, na progu życia dopiero; o wielu sprawach nie miała pojęcia, a nagle, brutalna wiedza mogłaby ją zbyt przygnieść, odbierając jej siły – a tych przecież będzie teraz bardzo potrzebować. Okłamywać jednak jej nie chciała; tylko jak wypośrodkować prawdę?

– Nie, raczej nie. Gdzieś u nich.

– Ale po co? U nas robią Rosję, a nas do siebie wywożą? Jaki to sens?

– Sens? – Anna uśmiechnęła się z goryczą. – Takiego wyrazu w ich słowniku nie znajdziesz. – I od razu się zreflektowała, że to za mocno. – Ale jesteśmy razem. I razem damy sobie radę. – Ucisnęła dłoń córki.

Bardzo chciała w to wierzyć.

\* \* \*

### *Z Różanki na Wschód, zima 1940*

– Boże, Boże!... – Krystyna Czernik kiwała się w przód i tył.

Marian pomyślał, że matka wygląda teraz jak ten dziad prozalny spod kościoła, mamroczący coś pod nosem, pewnie jakąś modlitwę, i niemający kontaktu z żadnym z ludzi, mimo że to właśnie od nich zależy jego życie – czy mu coś do czapki rzuca, czy też nie. Sama wiara go przecież nie nakarmi, nie odzieje.

– Zatkinis! – Trochę nad głową Krystyny Czernik w drewniane ściany wagonu uderzyła kolba pistoletu.

Kobieta znieruchomiała, wybita ze swojego katatonicznego rytmu.

– Daj spokój. – Zenon Czernik próbował uspokoić żonę.

– Boże. – Znowu się jej wyrwało.

– Przestań. – Tym razem przycisnął ją do siebie i zasłonił jej usta dłonią. – Bo nas zabiją – dodał łagodniej.

– I na co mnie takie życie? – Krystyna jakby wróciła do rzeczywistości. – Bez wiary, bez Boga, bez jedzenia, bez picia? Jak było jakieś tu siedzimy, na rzeź nas wiozą, a my co? My nic? Tak na zatracenie? – Rozejrzała się po wagonie.

Wpatrywało się w nią kilkadziesiąt par oczu – wyżej i niżej umiejscowionych, bardziej i mniej przekrwionych, zapłakanych, przestraszonych.

– A ty pamiętasz, jak kiedyś Plackatą do rzeźnika prowadziłeś? No, pamiętasz? Ona wyczuła, że kres się zbliża, i ci się wyrwała. Żeś ją gonił po łąkach. Krowa, krowa, rozumiecie? – Powiodła wzrokiem po współpasażerach. – Takie głupie i pokorne zwierzę, a przed śmiercią uciekało. A my co? A my co?! – To ostatnie już wykrzyczała.

I znowu łupnięcie w bok wagonu.

– Zatkniś, durna!

– On tu wejdzie i... – powiedziała cicho jakaś kobieta.

– Pan uciszy żonę. – Starszy mężczyzna odezwał się trochę głośniej.

– Jednego już zabili – dodała inna kobieta.

Jakieś dziecko, nie rozumiejąc sytuacji, ale czując napięcie, zaczęło cicho płakać.

– Bo sam był. A jakby my razem, wszyscy, to wszystkich przecież nie zabiją. No nie zabiją! – Krystyna Czernik z krzyku przeszła w płacz.

Mąż znowu ją objął – sztywno, niezgrabnie, jakby się nie mógł zdecydować, czy więcej w to włożyć złości, czy czułości.

Marian patrzył na to i nieprzyjemnie ścisnęło go w dołku. Nigdy matki takiej nie widział. Zawsze była cicha i przyjmująca życie, po

prostu, jakie było. Czasem mu się przeciwstawiała – wtedy, gdy ojciec się za bardzo zezłościł na Mariana i ganiał za nim z pasem albo kolacji zakazał dawać. Wtedy go prosiła, jakimś sposobem brała albo w ukryciu miszkę kaszy dawała synowi. To były chwile, gdy robiła inaczej, niż chciał los. Nigdy jednak Marian nie widział jej w takim wzburzeniu, ale jednocześnie i bezradności. To się przecież kłóciło ze sobą, nie dawało pogodzić, szarpało człowiekiem. Od takiego rozchybotania szło zwariować.

Jemu też było ciężko, ale zawziął się w sobie. W ciągu dnia patrzył na krajobrazy za oknem, bo stał w takim miejscu, gdzie akurat sęk wypadł z deski, i miał widok na świat. Biel śniegu, zieleń lasów, szarość budynków. Granica. Ta stara, dawna, bo teraz już żadnych granic przecież. I znowu obrazki, podobne, świat się przecież tak od razu nie zmienia od tego, że jeden kraj się kończy, a drugi zaczyna. Ale to przez chwilę, bo potem było inaczej. Najpierw mijali jakieś stacje, nie wiadomo jakie, bo nazwy albo zasłonięte, albo tablice pozdejmowane, jakby Sowietci nie chcieli im pokazać, dokąd ich wywożą. Jak się zatrzymali, to w polu, ale w jakim celu, skoro wyjść nie dali, nic nie mówili...? I znowu ruszyli. I tak przez dwa dni, a trzeciego w końcu stanęli na jakiejś stacji, lichej, ciemnej, znowu nienazwanej. Dwóm osobom pozwolili iść – po kapiatok i po zupę. Jeden z nich, taki niski, z wąsem, grubszy, widać po ubiorze, że wcześniej miał nie najgorsze życie, nie wytrzymał i zaczął uciekać. Żołnierz krzyknął, żeby stanął, bo będzie strzelać, ale to drugie to już wtedy, gdy nacisnął spust. Mężczyzna padł twarzą w śnieg, który zaczął się zabarwiać na czerwono, podniosły się krzyki, najgłośniej to krzyczała żona zabitego. I wtedy ten żołnierz, taki młody, kilka razy w powietrze strzelił, a potem wymierzył w otwarte drzwi. „Preklate Polaki”, wydyszał. Ucichło jak makiem zasiał.



Do Mariana w tym właśnie momencie trafiło, że tak to się będzie odbywało, że tutaj życie ludzkie jeszcze potaniało. Ukłuło go to, ale potem pomyślał, że on się nie da, że jakoś się przystosuje. A na miejscu, bo przecież kiedyś gdzieś dojadą, się zobaczy. I dalej tak myślał, on, syn, a rodzice, zwłaszcza matka, jakby się poddali. Wszystko wspak.

\* \* \*

### *Z Hancewiczów na Wschód, zima 1940 roku*

– Co z nami będzie? Co z nami będzie? Co z nami będzie?

Anna próbowała odpowiadać, ale na Czesława nic nie działało. „Zobaczymy”, „Nie wiadomo, dokąd nas powiozą, ale mamy siebie”, „Czesiu, tak nie można”, „Czesław, Franciszek by się smucił, widząc cię takim”, „Bóg jest z nami” – po każdym z tych zdań Czesław Polakowski patrzył na szwagierkę jakby rozumiejąco i akceptująco, po czym wracał do swojej mantry albo do niewidzącego wpatrywania się w przestrzeń przed sobą.

Anna zaś wracała do swojej pryczy i milcząco poklepywała Marię po plecach. Zosia i Ela się nie odzywały. I tak do następnego postoju.

Czesław prawie od razu, gdy ruszyli, przeżył załamanie nerwowe. Wcześniej, wydawało się, radził sobie całkiem dobrze, spakował dobytek, rozmówił się z gospodynią, jakiś list do wysłania jej zostawił, nie wdawał się w dyskusje na rampie, tylko wsiadł do tego drewnianego pudła z dwoma małymi oknami i pokornie czekał na swój los.

A potem nagle mu się odmieniło, jakby go ktoś jakimś guzikiem przełączył. Wtedy jeszcze nic takiego się nie wydarzyło, po prostu czekali – ściśnięci i zziębnięci – aż pociąg ruszy. Szczęściem w nieszczęściu to nagłe tąpnięcie psychiki nie wywołało w pilnującym ich krasnoarmiejcu agresji. Żołnierz popatrzył na Czesława, później na Annę, jakby uznał, że to ona jest jego żoną, powiedział coś, czego nie

zrozumiała, choć z tonu wnioskowała, że było to coś kpiącego, i stwierdził, że zabierają go do innego wagonu, dla „bolieźnych”. I rzeczywiście, Czesław trafił do grupy chorych – leżących, niesprawnych, starych. Chyba wszyscy z nich niedomagali na ciele, jak się Anna zorientowała, a ducha mieli zdrowego, tyle że brakowało im sił albo ochoty, żeby nawiązywać kontakty z innymi ludźmi. Czesław wyglądał przy nich, fizycznie, na okaz zdrowia, ale głowa już całkiem mu odmawiała współpracy.

Annie wolno było odwiedzać Czesława podczas postojów. Z jednej strony było to wyróżnienie, przywilej, bo nastrój pilnujących ich żołnierzy zmieniał się jak w kalejdoskopie – raz wypuszczali wszystkich, co chcieli iść, kiedy indziej pozwalali pójść po wodę kilku osobom, a bywało, że stawali, a drzwi się nie otwierały. Z drugiej jednak strony – gdy Anna szła do szwagra, to potem bardzo się spieszyła, żeby zdążyć przynieść wodę. I tak się szarpała – więcej pobyć z bratem męża, nim się zająć, jemu podetknąć suchara, kubek z cieką herbatą czy dbać o dobro swoje, dzieci i Marii.

– Czesław! – Potrząsnęła jego ramieniem. – Czesław – powtórzyła. – Popatrz na mnie. No, popatrz!

Spojrzał.

– Muszę wracać do Marii. Twojej żony. Która jest w ciąży. I do moich dzieci. Mam troje dzieci. Pamiętasz?

Patrzył na nią, a ona czuła, jak coś we wnętrzu jej klatki piersiowej pęcznieje. Tym razem to nie były nerwy. To była złość.

– Rozumiesz?

Kiwnął głową.

– To powiedz: tak.

– Tak.

– Nie mogę się tak tobą zajmować, jak... jak z zepsutym jajkiem obchodzić! – wybuchła.

Starzec obok, do tej pory złożony gorączką i obojętny na otoczenie, popatrzył na nią. Anna jednak przekroczyła już granicę, która do tej pory ją stopowała. Kilka takich granic przeszła, nie licząc tej dawnej, państwowej.

– Maria jest dzielna, mimo że z dzieckiem pod sercem, Zosia i Ela są dzielne, nawet Krzyś jakby rozumiał. A ty...!

Poczuła, że zaraz się rozpłacze. Z tej złości i ze wstydu. Wstydziła się swojego wybuchu i tego, że żałowała, że to Czesław tu siedzi, a nie jej mąż. Franciszek by się nimi zajął, dbał o nie. Zawsze taki był – odważny, odpowiedzialny, mocny. Anna nie musiała walczyć ze światem, od tego miała męża. A teraz świat spadł wyłącznie na jej barki – znikąd oparcia.

– Tu suchar dla ciebie. I kostka cukru. – Ręce jej się trzęsły, gdy wciskała mu prowiant. – I woda. – Postawiła obok niego bukłak.

Wyprostowała się i przecisnęła do wyjścia. Nagły podmuch wiatru smagnął ją boleśnie, natychmiast zamieniając wilgoć na jej policzku w szczypiący szron. Starła go rękawem. Spojrzała na ogonek ludzi tłoczących się w kolejce po wrzątek. Sporo już czasu zmitrężyła z Czesławem, bała się, że nie doczeka swojej porcji kapiatoku. Krasnoarmiejcy byli nieobliczalni i nieprzewidywalni – czasem nagle dawali sygnał do odjazdu, a bywało, że pociąg ruszał bez jakiegokolwiek uprzedzenia i ludzie musieli biec, żeby nie zostać na zewnątrz, co już się zdarzyło – kobieta z jej wagonu, kiedy zatrzymali się na peronie, wokół którego były jakieś większe zabudowania, poszła szukać apteki albo lekarza, żeby zdobyć coś na zabicie gorączki dla swojego chorego niemowlaka. I kiedy ona gdzieś tam szukała pomocy, pociąg ruszył. Nie zdążyła dobiec – Anna widziała małą czarną sylwetkę, która skacze

z peronu i biegnie za pociągiem. Słyszała krzyk jej męża obok i płacz tego maleństwa. Słyszeli to też pilnujący, ale nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia. W kolejnych dniach dziecko płakało coraz mniej i coraz ciszej. Anna bała się odwrócić wzrok w stronę tej pary i kiedy po innym postoju pociąg ruszył bez tego mężczyzny i dziecka, odczuła ulgę – że nie musi obserwować ich cierpienia. Nie wiedziała, co się z nimi stało, czy on próbował uciekać, czy może jednak trafił na jakąś pomoc, a może...

„Nie myśl o tym”, musztrowała się. To było drugie „dyscyplinujące” hasło po „Nie patrz na to”. Z czuciem szło jej najgorzej, bo wciąż wszystko czuła – boleśnie.

Odwróciła się i ruszyła w stronę lokomotywy. W jej kotle też przecież był wrzątek, z metalicznym posmakiem, ale wrzątek to wrzątek – jest sterylny. Nabrała go w garnuszek i już się miała odwrócić, żeby pójść do swojego wagonu, kiedy ujrzała coś na torach. Zrobiła jeszcze dwa kroki w kierunku ich dalszej jazdy i przystanęła. Między szynami leżały kupki... Kupy. Odchody. Ludzkie odchody. To już jej nie dziwiło, przecież musiała do tego przywyknąć – ich jedyną toaletą był otwór w podłodze, na środku wagonu. Ela prawie dostała hysterii, gdy zobaczyła, w jaki sposób będzie musiała teraz korzystać z „toalety”. Dobrze, że jedna ze współpasażerek miała metalowe wiadro i zgodziła się, żeby mogły go używać. I używały, za prowizoryczną zasłoną z serwety. Opróżniały je podczas postojów, wylewając zawartość do rowu. Inni, głównie mężczyźni, wybierali tę dziurę między deskami, więc to, czego pozbywały się ich organizmy, lądowało wprost na torach.

I teraz właśnie to Anna widziała – ślad, że przed nimi jechały inne transporty. Sądząc z ilości odchodów, musiało ich być naprawdę dużo. Wiele, wiele wagonów zesłańców. Nie da się takiej ciżby upchnąć w już istniejących domach, osadach, wsiach, to niemożliwe.

Co zatem dla nich przewidziano?

\* \* \*

*Z Różanki na Wschód, zima 1940 roku*

– Boże, Boże!

Marian się przecknął. Próbował otworzyć oczy, ale mu się nie udawało.

Teraz krzyk zamienił się w zawodzenie.

„Co u licha?” – pomyślał. Przypomniawszy sobie, że kiedyś tak miał, w dzieciństwie – dzień przyszedł, a on go nie widział, bo rzęsy miał posklejane przez jakieś zapalenie, które mu się przyplątało. Dopiero jak matka nagotowała wody z rumiankiem i przyłożyła mokre okłady, to odpuściło. Przestraszył się, bo skąd tu rumianek czy coś innego. A jak nie będzie widział, to jak sobie poradzi? Chciał to oko przetrzeć dłonią, żeby choć tak sobie pomóc, ale ręki nie mógł podnieść. Płacz nie ustawał. Marian poczuł, że zaczyna mu huczeć w głowie, jakby tam jakiś wodospad się pojawił. Szarpnął mocniej – coś trzasnęło i jego ręka poleciała bez kontroli, aż się uderzył w głowę. Zdjął rękawicę i zaczął pocierać palcami rzęsy. Rzeczywiście, czymś były posklejane. Dopiero kiedy udało mu się uwolnić je z tej substancji, zorientował się, że one po prostu przymarzły do siebie, podobnie jak rękaw jego kurtki do ściany. I kołdra do podłogi.

– Oj, oj, oj...

Obrócił się w stronę jęku. Kawałek od niego stał mężczyzna, dawny księgowy w browarze, który kiwał się i wydawał z siebie te przepełnione bólem dźwięki. Kiedy obrócił się do Mariana, ten przez chwilę nie rozumiał, co się stało z jego twarzą – jej połowa była czerwona.

Sąsiad, siedzący obok Mariana, odezwał się:

– Spadł. Jak chybotnęło, to wszystkie na półkach się poprzesuwali. A ten spadł. Wprost na kozę. – Teraz spojrzał na żeliwny piec ustawiony w kącie wagonu. – Tak to. – Przeniósł wzrok na księgowego. – I było się cieszyć z tego miejsca? – dodał z mściwą satysfakcją.

Marian nic nie odpowiedział. Nie zazdrościł tym, co mieli lepsze miejsca albo lepszy prowiant. Tak się trafiło i już. Zresztą w sumie i tak wszyscy jechali na jednym wózku. „Na jednym wózku”, uśmiechnął się do siebie, że tak mu się pomyślało.

– No właśnie. – Sąsiad mylnie zinterpretował ten uśmiech.

– Nie, ja nie do tego. A człowieka żal. A jak panu nie żal, to... – nie dokończył. Trochę się przestraszył swojej odwagi.

– A co ty mi tu... – Tamten się zdenerwował.

– Dobrze mówisz, synu. – Usłyszał głos ojca i poczuł na ramieniu jego ciężką dłoń.

Współtowarzysz wzruszył ramionami i odwrócił się od nich.

– No, jednak dobrze żeśmy cię z matką wychowali. – Ojciec nie zdjął ręki z jego ramienia.

– Dobrze – zgodził się Marian.

Dziwnie mu było, bo nigdy takich rozmów nie prowadzili. Dopiero teraz, tu dowiedział się, że ojciec może być z niego zadowolony. W innych okolicznościach Marian by zażartował, że opłaciło się tyle telepać, żeby dobre ojcowskie słowo usłyszeć.

– Zawsze wybieraj dobro. – Ojciec ścisnął go za rękę.

„Będę”, pomyślał Marian, absolutnie serio.

\* \* \*

*Z Hancewiczów na Wschód, zima 1940 roku*

– Och! – Anna zamachnęła się modlitewnikiem, trzymając go za tylną okładkę.

Materiał na wyklejce się przedarł, na podłogę spadła pluskwa, a za nią kolejna. Anna z wściekłością rozdeptała je obcasem. Jaki smród...! Spojrzała na deski – kolejne dwie plamy, i jeszcze, i jeszcze. Kiedyś wzięłaby taki obrazek za rozsypane pestki jabłka, a teraz po... – no właśnie, ile oni jechali, straciła już rachubę – miała wrażenie, że o pluskwach wie wszystko. Przede wszystkim to, że są prawie niezniszczalne, zwłaszcza w takich warunkach. Im ludziom było trudniej, tym lepiej było tym insektom.

Nie mogli chyba mieszkać w wagonie, nie wytrzymałyby przecież mrozów bez „żywicieli”. Może przyniosło je tu tych kilku mężczyzn, którzy przed deportacją byli w więzieniu? A może to od tych „bolieznych”? Wystarczyło niewiele, by po krótkim czasie zmieniły się w plagę.

Zauważyła, że Ela się jej przygląda. Młodsza córka gorzej znosiła podróż, a pluskwy doprowadzały ją do hysterii. Bała się zasnąć, bo właśnie nocą zaczynał się żer tych odrażających stworzeń. Sienniki, materace, sufity – mogły atakować z każdego miejsca. Nie dawało się przed nimi obronić. Wchodziły pod ubrania i gryzły, zostawiając ciało w swędzących, czerwonych plackach. Umyć się nie było jak, woda była zbyt cenna, by używać jej na ablucje.

– Jeszcze trochę – powiedziała do młodszej córki. – Jeszcze trochę, kochanie.

– A tam będzie można się umyć? Będzie łazienka?

– Jakoś tam przecież ludzie żyją. – Anna się uśmiechnęła, wkładając w to resztkę sił.

Nie tylko ją dopadła apatia. Pierwsze dni były oswajane wspólnym śpiewaniem *Boże coś Polskę, Nie rzucim ziemi*. Ludzie rozmawiali, dużo w tym było niepewności i strachu, ale i nadziei. Z czasem wiara w dobre zakończenie zaczęła słabnąć, tak jak słabły ich ciała. Przeżyła dwie śmierci w ich wagonie – jednej starszej kobiety i jednego dziecka. Poranny widok woskowych twarzy był straszny, rozpacz bliskich też, ale chyba najgorsze było porzucenie tych ciał w polu podczas postoju, jakby były zbędnymi rzeczami, których się pozbywa bez ceregieli. Dwa podłużne tobołki, które jeszcze przed chwilą miały imiona, nazwiska, przeszłość, przyszłość, teraz lądowały na zamarznętej ziemi, bo przecież nie było jak wykopać grobów – na poniewierkę i zapomnienie.

Otworzyła modlitewnik. „Żebyśmy wrócili na polską ziemię”. Czy kiedykolwiek zrobi taki wpis – że znowu są w ojczyźnie? Nie wiedziała, jaka dziś jest data. Wydawało się jej, że będzie potrafiła liczyć dni i przez jakiś czas tak było, ale potem kolejne godziny zaczęły się zlewać – jak jakaś magma.

– Och!

Usłyszała głośne westchnięcie. I zaraz kolejne, dłuższe i bardziej rozziewające.

To była żona leśniczego, miła, młodziutka Olga. W ciąży, która chyba właśnie zmierzała do rozwiązania.

– Oooch!

Kobieta zgięła się wpół.

Leśniczy bezradnie rozejrzał się po szarych twarzach.

– Czy ktoś by mógł...? Czy któraś z pań...? – zapytał bezradnie.

Jego żona z trudem łapała powietrze; trzęsła się i płakała. Znowu wydała z siebie przeciągły krzyk, bardziej podobny do skowytu rannego zwierzęcia. Anna, wnioskując z częstotliwości tych okrzyków,



pomyślała, że poród jest już blisko. Spojrzała na Marię, ale szwagierka była tak blada, jakby to ona właśnie rodziła; nie mogła oderwać wzroku od Olgi. Widać było, że żadnego z niej pożytku teraz nie będzie. Annie zrobiło się jej żal, że w taki sposób się dowiaduje, co za kilka miesięcy będzie jej udziałem, ale nie było teraz czasu na takie myśli.

– Niech pan da koc. – Podeszła do leśniczego. – I jeszcze jakiś drugi. Trzeba tu zasłonę zrobić.

Mężczyzna ściągnął z pryczy pled. Inny obok sięgnął po swój. Po kilku minutach wydzielili na podłodze nieduży zakątek. Pozostali pasażerowie przesunęli się, ścieśniając jeszcze bardziej.

– Boże, Boże, ja umrę, umrę... – załkała rodząca.

– Nie ma co Boga do tego mieszać, to babek sprawa. – Sąsiadka Anny, starsza kobieta o pomarszczonej twarzy i bystrych oczach, spojrzała na nią. – Chodź, pomożesz. – Dotknęła ramienia Anny.

Sprowadziły rodzącą na ziemię, na której mąż rozłożył pled barani.

– Jeszcze by się jakie prześcieradło przydało – odezwała się do Anny starsza kobieta.

Anna postanowiła oddać swoje.

– Zosiu, daj nasze prześcieradło – zwróciła się do córki.

– Porwij – rozkazała kobieta. – A ty się nie bój, akuszerką jestem. – Odgarnęła z twarzy rodzącej pozlepiane potem włosy.

Anna zaczęła się szarpać z materiałem. Kolejne pasma płótna odrywała w akompaniamencie krzyków rodzącej.

– Wody by trzeba.

Nic nie mieli. Anna rozejrzała się po twarzach współpasażerów. Odpowiedzią było tylko kręcenie głowami. W wagonie, nie licząc krzyków Olgi, panowała cisza.

– Może trochę śniegu z dachu da się zebrać? – zapytała Zosia. Widać było, że próbuje być dzielna. Maria wciąż siedziała ze wzrokiem wbitym w parawan, nieruchomo. Ela tuliła śpiącego Krzysia i nie patrzyła na nikogo.

– Spróbuj – zachęciła ją Anna.

Zosia wysunęła rękę przez kraty i nabrała porcję białego puchu. Ktoś podał garnuszek, do którego go włożyła. I kolejną, kolejną, kolejną... Inna kobieta postawiła ten garnek na piecyku. Rodząca krzyczała i jęczała na przemian, właściwe już bez przerwy.

– Krzycz, twoje prawo. – Staruszka dotykała jej brzucha. – Niedługo już. Podeprzyj jej plecy – zwróciła się do Anny.

Anna posłusznie wykonała polecenie. Przypomniała sobie swoje porody. W domu, w ciepłej pościeli, też bolesne, też doprowadzające ją na skraj wytrzymałości, ale wiedziała, że tuż po nich będzie pięknie. A tu...?

– No, jeszcze chwila. Teraz nie krzycz.

Rodząca posłuchała, krzyk zamienił się w przeciągły jęk.

– Przyjmij, Matko, nasze troski... – Jakaś kobieta zaczęła się modlić, szybko dołączyły do niej kolejne.

Po chwili w wagonie rozległ się krzyk. Najpierw cichy, jakby małego ptaszka, potem głośniejszy. Jęki Olgi ucichły, urwała się też modlitwa.

– No, jest. Dziewuszka. – Akuszerka zawinęła białe ciało w kawałek prześcieradła.

– Żyje. Jest. Twoja córka. – Anna pogłaskała spoconą rodzącą po głowie.

Poczuła, że i ona ma mokre plecy. Ręce się jej trzęsły. Podniosła się i powiedziała głośniejsz:

– Dziewczynka. Żywa.

– Bogu niech będą dzięki – odpowiedział kobiecie głos z głębi wagonu.

Coś zgrzytnęło i pociąg zaczął wyhamowywać.

– Dobrze, bo wody więcej trzeba. I opału. – Akuszerka krzątała się obok położnicy, wciąż bladej i wyczerpanej, leżącej z półprzymkniętymi oczami.

– Mam córkę. Mam córkę. – Gdy wyszła zza parawanu, podszedł do niej leśniczy. – Urodzona dwudziestego siódmego lutego. Nasza Anielka. Bo tak miało być – albo Anielka, albo Antoś. To jest Anielka. Dwudziesty siódmy lutego. Nowe życie. – Mężczyzna był niezwykle przejęty.

– Dziś dwudziesty siódmy? – upewniła się Anna.

Leśniczy kiwnął głową.

Anna, wyczerpana, jakby to ona właśnie wydała na świat nowe życie, usiadła na pryczy. Sięgnęła po modlitewnik. Z torebki wyciągnęła ołówek.

„27 lutego 1940 roku, wciąż w podróży, wciąż żywi, wciąż z modlitwą o powrót”, napisała.

Szarpnęło wagonem i stanęli.

Drzwi się otworzyły.

– Kipiatok potrzebny, dziecko się urodziło. – Leśniczy dopadł do żołnierza, pokazując ręką na kącik z zasłoną. – Dziecko. Riebionok.

Krasnoarmiejec pokiwał głową.

Anna zauważyła, że zatrzymali się na niedużej stacji, gdzie stały sianie. Tego jeszcze nie było.

Krasnoarmiejec wyciągnął z kieszeni kartkę, przeczytał:

– Familja Polakowski.

Podniósł wzrok.

Anna podeszła do niego. Poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

– To ja.

– Sobirajties. Wysadka.

\* \* \*

### *Z Różanki na Wschód, zima 1940 roku*

– Zupę przynieśli. I dzieciom bułki. – Krystyna Czernik rozglądała się po stołówce. – To może teraz już będzie lepiej? – Spojrzała najpierw na męża, potem na syna.

– Może Bóg da. – Zenon Czernik przeżegnał się i zanurzył łyżkę w szarej brei.

Marian nic nie powiedział.

Z jednej strony cieszył się, że wreszcie wysiedli z pociągu, ale z drugiej... Najpierw myślał, że nigdzie nie może być już gorzej niż w tych zatęchłych, zimnych wagonach bez jedzenia, bez wody, z pluskwami, że gdziekolwiek ich wysadzą, warunki będą mniej dramatyczne, bo przecież w tym „wielkim kraju” żyją ludzie – jakoś. Teraz jednak nie mógł wyrzucić spod powiek widzianych po drodze obrazów – tych wychudzonych dzieci, które mimo mrozu były w łachmanach i oblegały ich pociąg podczas postojów, błagając o jedzenie. Ich rodziców, równie zabiedzonych, patrzących na zesłańców, jakby ci przyjechali z jakiegoś innego, dostatniego świata. Jeśli miejscowym tak się tu żyło, to co czekało ich, obcych? Przecież obcym zawsze gorzej na nie swojej ziemi.

– Skorieje! – huknął im nad głową żołnierz.

Marian zaczął nerwowo połykać zupę, nie zastanawiając się, co w niej pływa. Była ciepła i gęsta, pierwszy taki posiłek od kilku tygodni. Może to rzeczywiście zapowiedź, że nie czeka ich tu najgorsze? Stracił rachubę czasu, nie wiedział, ile dni byli w podróży. Od kiedy przejechali Ural – potężne góry, nigdy niczego podobnego do nich nie widział: z jednej strony ogromne skały, z drugiej – przepaść, zrobiło się płasko i pusto.

A teraz gdzieś tu, w tym zimnym, nieznanym bezkresie, mieli zacząć nowe życie.

Nagle tak strasznie zateśnił za Różanką, z której przecież chciał jak najszybciej dać nogę, za drzewami w sadzie, do których nigdy nie miał serca i powołania. Za tym wszystkim, co chciał porzucić i iść w świat.

– Skorieje!

Tym razem głos był donośniejszy i bardziej stanowczy. Marian przełknął ostatnią łyżkę zupy i wstał od stołu.

Pół godziny później siedział w rozklekotanym aucie, które wiozło go ku nieznanemu.

## Rozdział 8

*Starobielsk, zima 1940 roku*

*Wiosna się zbliża, kończy ciężki zimowy sen. Ciężki przez niepewność przede wszystkim; dzięki Twojej paczce warunki materialne nie najgorsze, bytowe też znośne, a jedzenie skutecznie utrzymuje nas przy życiu. Najtrudniej jest głowie. Nad ciałem da się zapanować, nad głową – to już spory wysiłek, zwłaszcza w nocy, gdy przyjdzie sen. W tych snach, mimo wielu kilometrów, jakie nas dzielą, jesteśmy blisko. Przeokrutnie za Wami tęsknię. Próbuję sobie wyobrazić Krzysia, jakże on urósł..?. Dziewczęta moje, czy Zosia jeszcze bardziej podobna do Ciebie? A Ty...? Ciebie cały czas mam pod powiekami. I w sercu.*

*Czy dajecie sobie radę? Ostatnim razem pisałaś, że tak, ale mam obawę, czy to nie tylko dla uspokojenia mnie. Zaklinam Cię – nie oglądaj się na nic, wyzbądź się wszystkiego, jeśli Wasz byt od tego zależy. Wszystko da się odbudować, teraz trzeba skupić wysiłki na tym, by przetrwać.*

*Mnie niczego z domu nie potrzeba – prócz wieści od Ciebie. Ostatni mój list, lutowy, bez odpowiedzi. Pocieszam się, że może to z powodu wyprowadzki. Może do Matki pojechałaś...? U nas też może zająć zmiana, bo coś się słyszy o planach przewiezienia nas w nowe miejsce. Na razie myślę o tym jak o wędrówce*

*w nieznanie. Wymarzony byłby powrót do domu, ale boję się zapeszyć. Tak czy owak – wszystko dobre, byle przybliżało do Was.*

*Całuję najserdeczniej*

*Twój i Wasz Franciszek*

Franciszek Polakowski odłożył pióro. Bał się o żonę i dzieci bardziej, niż to napisał, ale nie chciał zalewać Anny swoim strachem – jaki byłby z niego mąż, gdyby ją tak obciążał? Warunki w Starobielsku były podłe, ale do przeżycia – zresztą przecież żył. Poza tym czy Annie, samej z trójką dzieci, było łatwiej?

Bardzo za nią tęsknił. Bardziej, niż mógłby sobie to wcześniej wyobrazić. Kochał ją, niezachwianie i pewnie od ćwierćwiecza. Zżył się z nią, była jego przyjaciółką, powierniczką i najbliższym na świecie człowiekiem. Wiedział to wszystko i przed wojną, ale jakby nie do końca zdawał sobie z tego sprawę. Fakt, takie rzeczy sprawdza się w boju, gdy ludzie rozdzieleni.

W boju... Siedzieli tu już prawie pół roku. Nie walczył, nie było go przy rodzinie. Czczy, zmarnowany czas. Teraz podobno miało się to zmienić, tak jak napisał Annie, ale...

– Słyszałeś? – Antoni Skwarczyński podszedł do jego pryczy. – Ponoć naprawdę będą nas stąd zabierać.

Franciszek spojrział na porucznika – wyglądał na podekscytowanego; był jeszcze młody, w takim wieku łatwiej o uniesienia.

– Nic więcej nie wiadomo, ale jeśli się to okazało prawdą... – Zacisnął dłonie w pięści, mocno ściskając kciuki.

– A kto to mówi? Może to tylko plotka... – Franciszek zawiesił głos. Słyszał tę wieść już rano, po śniadaniu, dlatego wspomniał o tym w liście do żony. Bardziej jednak po to, żeby jej dodać otuchy, zwłaszcza

że pamiętał, jakie Anna miała zdanie o Sowietach; sam je zresztą podzielał. Tymczasem dziś poniosła się informacja, że podobno kombrig oznajmił, że możliwe będzie składanie podań do NKWD o wyjazd. To by miało dotyczyć tych, co mają rodziny za granicą, ale i innych miała czekać zmiana miejsca pobytu. I wolność. Brzmiało to tak pięknie, że prawie nierealnie. Fakt, byli jeńcami wojennymi, a jeńców się przecież nie trzyma w niewoli w nieskończoność, ale...

– Też tak pomyślałem w pierwszej chwili, ale potem się dowiedziałem, że mają być szczepienia. – Skwarczyński wciąż był pełen optymizmu.

– Szczepienia? – zdziwił się Polakowski. To akurat nie doszło do jego uszu.

– Tak. I to według mnie zmienia postać rzeczy – oni naprawdę nas dokądś zabiorą, co więcej, zadbają o to, żeby nas wcześniej żadna zaraza nie wyteępiła ani żebyśmy my zarazków nie powieźli w świat... No bo jak by to wyglądało – że choroba się szerzy z takiego pięknego kraju. To pierwsza dobra wiadomość od pół roku. – Skwarczyński znowu się uśmiechnął.

Polakowski pokiwał głową. Gdyby to wszystko się sprawdziło... Skoro z różnych miejsc takie wieści dochodzą, to musi być w nich choć część prawdy. W pierwszym odruchu chciał zrobić dopisek w liście, żeby podkreślić prawdopodobieństwo tych przenosin, co na pewno ucieszyłoby Annę jeszcze bardziej, ale się rozmyślił. Napisze jej o tym już z nowej lokalizacji.

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, zima 1940 roku*

– Tutaj będzie nasza mogiła i nasza śmierć. Tak nam ten Ruski powiedział na początku, pamiętasz? – Maria Polakowska powoli



podniosła się z ziemi. Jeszcze się trzęsa od wymiotów, ale w jej głosie słychać było rosnącą złość.

– Specjalnie tak powiedział, żeby ducha w nas zabić. – Anna podeszła do niej, schyliła się po wiadro i chwyciła za drewnianą rączkę. – Specjalnie, rozumiesz?

– Może i specjalnie, ale ja już nie mam siły. Nie mam siły! Nie mam... – Złość ustąpiła miejsca żałości.

– Rozumiem. – Anna pogłaskała szwagierkę po głowie. – Coś zaradzimy. Zobaczysz.

Wciąż ją pocieszała, choć sama traciła wiarę w swoje słowa.

Odwróciła się i przeszła po glinianej podłodze do drzwi wejściowych. Uchyliła je i chlusnęła jego zawartością w rynsztok. To znaczy w miejsce, gdzie podobno był, bo teraz wszystko było zaśnieżone. Odstawiła wiadro i zawróciła w kierunku pieca, gdzie stała miska z wodą z rozpuszczonego śniegu. Trzeba ją było stawiać tutaj, żeby stopniał. Gdzie indziej w baraku nie zmieniał swojej konsystencji – tak tu było zimno.

Kiedy z pociągu dojechali na miejsce, Annie ścisnęło się serce. Cała ich osada składała się z dwóch długich baraków, łaźni z prowizoryczną ubikacją i sklepiku. Te baraki były gorsze niż kurne chaty w Polsce – z okrągłaków drzewa zrobione, między nimi mech, który służył za dom dla pluskiew i karaluchów. Gdy tylko robiło się ciemno, pomieszczenie pokrywało się dywanem z tych robaków. I może Anna od razu by się załamała, gdyby nie staruszek, który stróżował w sklepiku. Ukrainiec, pan Prochytko, też przesiedlony tutaj kilka lat temu. Anna nie wiedziała, że innych, wcześniej również to spotykało. Sowieci przywieźli ich „pod świerk”, do lasu otoczonego przez zabagnione moczary. Nic tu nie było, wszystko musieli sami zbudować. Staruszek nie powiedział jej tego z przyganą czy wyższością – że oni, kułacy z Polski, nic nie potrafią,

tylko uważają się nad sobą, a w porównaniu z innymi i tak mają dobrze. Nie, powiedział jej to z serdecznością i dla otuchy. Była tego pewna, a jednocześnie zdziwiona, po raz kolejny. Współczucie i dobre słowo nie zależały od narodowości, zależały od człowieka.

Wodą w misce polać materiał, którym obwiązała swoje buty. Początkowo wydało się jej to absurdalne, ale to też była rada tego Ukrainca – gdy tylko wyszła na zewnątrz w tak spreparowanych butach, woda natychmiast zamarzała i w jakiś sposób chroniła stopy. To zupełnie nieprzystające do tutejszych warunków obuwie ratowało ją przed odmrożeniem. Za radą staruszka hartowała także ręce. Nacierала je śniegiem, a później wycierała do sucha, i tak kilka razy dziennie. Trochę pomagało.

Mocniej owinęła się chustą i wyszła na zewnątrz.

Jej twarz natychmiast ściał mróz. Nigdy i nigdzie nie było jej tak zimno jak tutaj; podobno niżej niż czterdzieści stopni na minusie.

Poszła w kierunku toalet. To było miejsce ich pracy – jej, Marii i Zosi. Ela nie została objęta obowiązkiem pracy, bo była za młoda, więc mogła się opiekować Krzysiem. A one we trzy szorowały te ubikacje. Nic nie dostały, żadnych narzędzi, żadnych środków do czyszczenia – zupełnie nic. Nawet miotłę i łopatę musiały zrobić same. A potem, tak tylko „uzbrojone”, czyścić ten prowizoryczny, brudny, śmierdzący i jedyny w osadzie wychodek.

Maria wymiotowała za każdym razem, gdy tu przychodziły. To już nie były ciężowe nudności, ten czas minął. To była jej niezgoda na zastaną sytuację – tak to sobie Anna tłumaczyła. Wszystko w Marii się buntowało; w Annie zresztą też. Obie były nienawykłe do takiej pracy. Do jakiegokolwiek zresztą pracy. Anna jednak pojęła szybko, że bunt może i daje ulgę duszy, ale na dłuższą metę jest zgubny. Kto chciał żyć, ten musiał się przystosować. Odłożyć złość, zwątpienie, smutek

i przestawić się na tryb przetrwania. Jej się to udawało, o co by się jeszcze kilka tygodni temu nie posądziła. Widać, nawet dla samego siebie człowiek jest zagadką. Zosia, jej córeczka, również to potrafiła. Stwardniała, opancerzyła się, zagryzła zęby. Zrobiła się silną młodą kobietą. Także wymiotowała, zresztą Anny też to nie ominęło – taki był tu smród, ale potem dalej pracowała, żeby wyrobić dzienną normę. Kto nie dotrzymał warunków pracy, temu obniżano racje pokarmowe – zamiast pół kilograma ciężkiego, kwaśnego i ciemnego chleba dostawał dwadzieścia pięć deka. Absurdalne były te racje, ale tutaj się mówiło: „Chleb i woda – niet gołoda”. Marysine braki nadrabiała Anna. Za Czesława nie miał kto robić, musiał sobie radzić, jeśli chciał przeżyć. I tego właśnie Anna nie była pewna – czy Czesław chce żyć. Brat Franciszka nie podniósł się po załamaniu nerwowym. Początkowo miał być lesorubem, jak inni mężczyźni, czyli wycinać drzewa w lesie. Nie radził sobie z tym, więc go przesunięto, co kosztowało kolczyki Marii, do palenia gałęzi. Czesław nie miał siły, ale – i to było gorsze – nie miał ducha. Oboje z Marią jakby sobie odpuścili, jakby już się poddali. Annie zawsze się wydawało, że pasują do siebie. Okazało się, że w tym nieprzystosowaniu i marazmie też byli do siebie przystający. Maria jeszcze czasem próbowała wzniecić w sobie wolę życia – ze względu na dziecko pod jej sercem, ale Czesław jakby już się pogodził z nieuniknionym.

Anna zaś kurczowo trzymała się życia. Wczepiła się w nie sinymi, połamanymi paznokciami. Miała dzieci, za które była odpowiedzialna. I miała Franciszka. Tak bardzo chciała go jeszcze kiedyś zobaczyć, tak bardzo!

Długo już nie było od niego wieści, ale oni się przecież przemieszczali, a korespondencja nie nadążała za tym tempem. Anna jednak miała jego adres i jak tylko będzie mogła nadać stąd list, to napisze do niego.

I Zosia napisze, do tego swojego Janka. Wcześniejsze uprzedzenia teraz już się zdezaktualizowały. Annie bywało nieswojo, gdy sobie przypominała swój brak akceptacji dla wyboru córki – jak to wszystko zależało od okoliczności. W Łucku myślała o Janie z nutą niechęci – delikatnej, ale jednak występującej. I to mimo swoich przejść z ojcem, który nie chciał Franciszka za zięcia. Jak to czasem trudno odejść od genów! Tłumaczyła sobie to tym, że chciałyby dla Zosi dobrego, dostatniego życia, ale to i przecież nie tak. Gdzie wola, tam i dobrze będzie. Obiecywała sobie teraz, że gdy wróca, będzie inaczej. O różnych zresztą sprawach tak myślała – byle tylko postawić nogę na polskiej ziemi.

Teraz wiedziała jedno – kiedy człowiek ma o czym marzyć, łatwiej mu żyć w tym piekle.

\* \* \*

### *Starobielsk, wiosna 1940 roku*

Bolało go ramię. Miejsce po szczepieniu było ciepłe i zaczerwienione, Franciszek miał dreszcze. Zdrowy organizm lepiej sobie radzi z porcją wirusów niż osłabiony. Cóż to jednak była za niedogodność wobec rychłej zmiany losu! Wciąż nie poznali celu podróży; różnie się mówiło – że może przekażą ich Niemcom, a może państwu neutralnym. A może nawet – że wrócą do domu. W to ostatnie nie wierzył, to byłby cud, a na sowieckiej ziemi o cuda trudno, nawet gdy się mieszka na terenie dawnego klasztoru.

Tak czy owak – przeprowadzka okazała się faktem. Pierwsze grupy oficerów już opuściły Starobielsk.

Do sali wszedł Antoni Skwarczyński. Franciszek zauważył, że porucznik wygląda na zmartwionego.

– Podobno od teraz ma być mniej transportów – powiedział, podchodząc do Polakowskiego.

– Mniej? A to dlaczego? – Polakowski nieprzyjemnie się zdziwił. Wydawało się, że teraz już wszystko zmierzało w dobrą stronę, a tu...

Skwarczyński wzruszył ramionami; na chwilę przestał trzymać fason, co mogło znaczyć tylko jedno – był naprawdę przygnębiony.

– Nikt tego nie wie. Szło przecież płynnie, ale coś się zablokowało. Ech, Sowietci, u nich zawsze tak.

Franciszka przeszedł dreszcz. Może po zastrzyku, a może z nerwów. Najpierw był sceptyczny co do tego wyjazdu, ale potem, po tych szczepieniach i gdy pierwsi jeńcy opuścili obóz, kurczowo trzymał się tej myśli. A teraz miałyby się okazać, że nic z tego nie wyjdzie? Że nie znalazł się w gronie szczęśliwców? Wyobraził sobie rozczarowanie Anny – odczuł je mocniej niż własne.

– Ale wiem, że ma być prośba o zwiększenie liczby transportów. – Skwarczyński najwyraźniej chwycił się tej myśli, bo twarz mu się trochę rozjaśniła.

„Niechby”, pomyślał Franciszek. Nie wiedział, czy Anna już dostała jego list, ale jeśli tak, to na pewno modliła się żarliwie, by te plany, o których jej wspomniał, doszły do skutku. A on wierzył w siłę modlitwy.

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, wiosna 1940 roku*

Ależ to było potworne uczucie – cieszyć się z czyjejs śmierci!

Ale Anna przecież nie cieszyła się z tego, że te wszystkie biedne dzieci umarły, tylko z tego, że nie zgodziła się na przeniesienie do innej, większej osady. Tam mieli dwie krowy, nie jedną, jak u nich, więc

dzienna porcja mleka dla dzieci byłaby obfitsza, z czego Krzyś by skorzystał, no i byli dietjasli (diedsadlie), czyli ochronka dla dzieci. Mogłaby dać do niej syna. Anna domyślała się jednak, jakie mogą być warunki w miejscu, gdzie przebywa tyle dzieci naraz, a z higieną jest się na bakier. Choroby dziecięce są bezwzględne, nawet gdy ciepły dom, dobre jedzenie i gorąca woda. A tu – nic z tego. Zdarzyło się więc to, co musiało się stać – przyszła szkarlatyna i zabrała wszystkie te nieszczęsne dzieci. Nawet pochować ich nie dali rodzicom, tylko do wspólnego grobu wrzucili.

– Dobrze, mamó, postanowiłaś.

Zosia siedziała obok niej i obszywała mankiety bluzki. Anna pocięła swoje dwie koszule nocne, które przerabiała teraz na bluzeczki. Jeszcze chwila i śnieg stopnieje, a wtedy pójdą do wsi sprzedać te ubrania albo wymienić je na coś do jedzenia. W ich sklepie była tylko mąka, a im by się przydało trochę kaszy i cebuli. Może cukier by też mieli? Na razie jednak tylko o tym marzyły, bo zasy były takie, że człowiek się zapadał po pachy.

– No tak. Trochę było w tym wiedzy o chorobach i ich przenoszeniu, a trochę przeczucia. – Uśmiechnęła się do córki.

– A jakie masz przeczucia co do listów... Dojdą?

Zosia spojrzała na matkę.

Wreszcie udało się nadać dwie przesyłki – do Franciszka i do Jana. Długo obie dobierały słowa; cenzura była tu bardzo silna i „nieprawilne” listy wracały do nadawcy albo lądowały w piecu. O warunkach panujących w osadzie niewiele zatem można było napisać. Wysłać stąd coś Franciszkowi – nie. Jego o coś prosić – także nie. Można jednak było napisać, że się myśli, tęskni, kocha. I żyje się myśłą o spotkaniu.

\* \* \*

## *Starobielsk–Charków, wiosna 1940 roku*

Dwunasty kwietnia. A więc – dokonało się!

Franciszek Polakowski głęboko nabrał powietrza. A jednak – Opatrzność nad nim czuwała. Trochę to trwało, ale nawet dla Siły Najwyższej było to spore wyzwanie – Sowieci...!

Rano w obozie zjawili się dwaj pułkownicy NKWD. Zebrali grupę ponad dwustu więźniów, w której znalazł się i Franciszek. Wreszcie, po tylu miesiącach, miał zobaczyć, jak wygląda świat za bramą obozu. Oni też, podobnie jak wcześniej przewożeni, nie poszli do głównego wejścia, tylko opuścili teren przez prohodnuju budku.

Kiedy Franciszek wyszedł na zewnątrz, przeżegnał się. W torbie miał trochę rzeczy osobistych, odzież na zmianę i porcję jedzenia. To jeszcze nie była wolność, ale jakiś krok w jej stronę.

Chociaż...

Na stację kolejową powieźli ich ciężarówkami, z silnym konwojem. To było niepokojące – taka obstawa na krótko przed zwolnieniem?

Potem jednak wsadzili ich do stołypinek, czyli wagonów więziennych, ale te doczepiono do zwykłych pociągów, które ruszały ze stacji zgodnie z rozkładem jazdy. Jechali w ciasnocie, obłożenie było ponad dwa razy większe, niż być powinno, ale przecież sami o to występowali – żeby szybciej, żeby więcej.

Po kilku godzinach dojechali na miejsce. „Charków, Dworzec Południowy”, przeczytał Franciszek. Tym razem czekały na nich autobusy więzienne. „Jak czarne wrony”, pomyślał. Nie wiedział, dokąd ich wiozą. „Wszystko na miejscu”, tyle się dowiedzieli jeszcze w Starobielsku, potem już nic.

A na miejscu...

Więc nie wolność, a więzienie. Węzienie NKWD! „Dla formalności”. Jak wszyscy ich poprzednicy mieli przejść taką ścieżkę. Franciszek uczepił się tej myśli. W bumagach wszystko musiało się zgodzić – tylu wpisano na listę, tylu z niej wypisano. Zresztą nie mogli ich tu trzymać, nie było gdzie, nie było jak, za mało pomieszczeń. Tamtych odprawili, to ich też. Jeszcze trochę, jeszcze trochę.

„Aniu, Aniu!...”, w myślach zwracał się do żony.

Wszystko wytrzyma, ma dla kogo żyć.

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, wiosna 1940 roku*

Był, był tu z nimi! Sowiesi się zgodzili, żeby zamienić to jego więzienie na przesiedlenie. I żeby dołączył do rodziny. Trudno im było uwierzyć, że ktoś z własnej woli wybiera taki los, bo przecież w Starobielsku warunki lepsze, w końcu to oficerowie, generałowie, majorowie – kwiat polskiego wojska. A ten tutaj, Polakowski, jakie śmieszne nazwisko, chce w tajgę. No to niech jedzie!

I przyjechał, ale bardzo znępany, umęczony tą podróżą, z okropnym rozstrojem żołądka. Słabł z dnia na dzień, a tu przecież żadnych leków, doktora, nic. Jeśli Anna czegoś nie zaradzi, Franciszek umrze.

Pod wieczór mu się pogorszyło. Anna podjęła decyzję, mimo że śnieg wciąż jeszcze leżał i, co gorsza, ostatnio widziano w okolicy wilki. Musiała jednak pójść i nazbierać przemarzniętych borówek, a potem je przegotować i dać mężowi do picia. To pomagało na biegunki, to było jedyne możliwe lekarstwo.

– Kocham cię – szepnęła w jego blade usta.

Okutała się i wyszła z baraku. Ciemno było, ona miała tylko małą świeczkę. Znała jednak drogę, wiedziała, gdzie jest polana z borówkami. Kwadrans, drugi, trzeci... W końcu, z wielkim trudem, rozpoznała



miejsce. Zaczęła zbierać lodowe, granatowe kulki. Jedna po drugiej, do metalowego kubka. Zerwała wszystko, co nie zniknęło stąd jesienią.

Wracała do baraku, modląc się.

Kwadrans, drugi, prawie trzeci. Już blisko.

Coś błysnęło w ciemności, jakby tam kilkoro osób z takimi świeczkami jak ona chodziło.

Może ktoś zauważył jej nieobecność, może to po nią wyszli?

Świeczki jednak były zbyt symetrycznie rozmieszczone, zbyt płynnie się przemieszczały.

Wilki, zrozumiała, że to wilki. Najpierw zdrętwiała, a później zaczęła biec. Sama nie wiedziała, że ma jeszcze tyle sił.

Dobiegła do osady, potem główną drogą do ich baraku. Otworzyła drzwi i przeszła do pryczy, na której spał Franciszek. Znowu zapaliła świeczkę, która zgasła podczas tej szaleńczej ucieczki. Jej mąż był blady, mizerny, jakby już uchodziło z niego życie.

– Zaraz ci zagotuję borówek – wyszeptała, wyciągając przed siebie garnuszek.

I wtedy zobaczyła, że pojemnik jest pusty. Nie było w nim ani jednego owocu – wszystko musiało jej po drodze wypaść.

Zaczęła się trząść i płakać, bo zrozumiała, że już znikąd ratunku.

– Franko, Franko! – zawodziła.

– Mamo? – Nagle dobiegł do niej głos Zosi.

Przecknęła się. Stała nad nią starsza córka. Obok spali Ela i Krzyś. Franciszka ani śladu.

Zrozumiała, że to był sen. To był tylko zły sen.

\* \* \*

*Charków, 13 kwietnia 1940 roku*

Siedział w celi. Ciasno tu było, zimno, ponuro. Co jakiś czas słyszał uderzenia metalu dobiegające z korytarza. Drzwi innych klitek się otwierały, później było słychać stukanie obcasów o posadzkę. Dźwięki się oddalały i cichły.

Czas płynął. Chyba było już po północy. Trzynasty kwietnia; Anna była przesądna, Franciszek – nie.

Antek Skwarczyński już poszedł. Wcześniej siedział obok skulony, trząsł się. Nie chciał się nakrywać pledem, który tu zastali, bo bał się wszy, a oni przecież przeszli niedawno dezynsekcję. I teraz, na sam koniec, znowu miałyby się skrobać? I z takim „bagażem” jechać w świat? Ich bagaże im zabrali. I płaszcze, i paski. Skwarczyński zażartował, że to *dividendum* – taka opłata dla Sowieców za wikt i opierunek.

„Dywidenda”, pomyślał Franciszek. Tak powiedział kiedyś o Krzysiu, i potem tak go czasem – pieszczotliwie – nazywał.

Poczuł wilgoć pod powiekami. Ależ to było niemęskie! Ale jakie ludzkie...

Znowu jakiś ruch na korytarzu, szuranie i stukot. Ustało przy drzwiach jego celi. Zgrzytnęło i drzwi się otworzyły. To byli ci sami, co przyszli po Antka. Zjawili się, ale bez jego współtowarzysza.

– Franciszek Polakowski?

– Tak. Franciszek Polakowski – potwierdził.

– Idziom.

– Kuda?

Nie wytrzymał, zapytał.

– Uwiditie.

Wyszli z celi. Franciszek sięgnął ręką do szyi. Korale różańca były gładkie i ciepłe; przesunął dłoń, aż natrafił na krzyżyk. „Boże, miej w opiece”, bezgłośnie wyszeptał.

– Szto wy...? – zapytał jeden z tych dwóch. Może się czegoś przestraszył, ale czego, jak ich tyle razy rewidowali? A jednak zawiązali mu ręce z tyłu.

Szli korytarzem, później schodami w dół. Było ciemnawo, nie mógł się zorientować, dokąd go prowadzą; tyle tylko, że wilgoć większa, więc pewnie do piwnicy. I zapach – stęchlizny i jeszcze czegoś, też organicznego.

W końcu weszli do pokoju z małym zakratowanym oknem. Tak, na pewno byli w podziemiach. Za wąskim stołem siedziało dwóch mężczyzn. W jednym Franciszek rozpoznał naczelnika więzienia, drugi był w cywilnym garniturze.

– Familia? – zapytał ten niemundurowy.

– Franciszek Polakowski.

Mężczyzna pochylił się nad kartkami, których miał spory plik. Przejechał palcem po liście, odznaczył odpowiednią rubrykę. Kiwnął głową.

Franciszek myślał, że teraz wyjdą z tej piwnicznej klitki, ale ten, który związał mu ręce, popchnął go w wąski przesmyk prowadzący gdzieś dalej.

Najpierw zobaczył jakiegoś człowieka, najpewniej funkcjonariusza NKWD. Oni wszyscy mieli w sobie coś takiego...

Drzwi za nim się zamknęły. Odruchowo się odwrócił. Nie ujrzał ani drewna, ani metalu, tylko wojłok. Taki sam filc był na ścianie. A na podłodze... Przesunął nogę – zaszurało, ale tak delikatnie, lekko. To były drewniane wióry.

Funkcjonariusz przeszedł obok niego i sięgnął ręką za pas.

I wtedy Franciszek zrozumiał.

Serce zaczęło mu walić. Zrobiło mu się gorąco. Raz jeszcze przesunął stopę; wióry lekko się uniosły. Pomyślał, że są jak śnieg.

Tak, jak śnieg. Lekkie i puszyste. I wcale nie zimne. To jemu zrobiło się lodowato. Huknęło, świat się przekręcił, linie geometryczne dokoła się rozsypały, wióry się wzniosły i opadły mu na twarz.

Nie, to nie mogła być zima, bo przed oczami miał rozbłyśki, złote i czerwone, jakby w lecie. Znowu poczuł ciepło. I że się zapada, jak wtedy na łące, z Anną. I jak tam, krew pulsowała, a on czuł, że wymyka się z tego świata.

Wciąż spadał i spadał.

Aż na dno. Ciemne i ciche.

Już prawie, prawie świtało. Zaczynał się nowy dzień.

Ostatnia plandeka opadła. Mocno obciążone ciężarówki ruszyły szosą biełogradzką w kierunku szóstego kwartału strefy leśnej, w pobliże osiedla Piatichatki.

Zatrzymały się przy drewnianym ogrodzeniu.

Ładnie tu było, dobre miejsce na sanatorium resortu spraw wewnętrznych. Można wypocząć, nabrać zdrowia, kiedy drzewa tak szumią i pachną. Natura – cóż więcej człowiekowi potrzebne?

Franciszkowi pewnie by się tu spodobało. Pewnie wspomniałby Niemowicze. Tę polanę, na której...

Pierwsze ciało padło w wykopany wcześniej dół. Potem kolejne, kolejne, kolejne...

Na koniec przykryła je warstwa wapna – jak biała kołdra.

Na zawsze.

# Rozdział 9

*Lida, wiosna 1940 roku*

– Otkroj!

Jan poderwał się na łóżku. Serce mu waliło, nie do końca ostre jeszcze spojrzenie nie pozwalało w pełni rozeznąć się w sytuacji.

– Otkroj!

Słuch go jednak nie mylił. I mimo mroku poranka, mimo poprzebudzeniowej mgły przed oczami dobrze wiedział, co się właśnie działo. Przyszli po nich.

Usłyszał gwałtowne skrzypnięcie drzwi i do pokoju weszli mężczyźni w mundurach. Spojrzenie miał już ostre – znane ubrania, znane skośne oczy, znane karabiny z bagnetami.

Od drzwi wróciła matka; przerażona, ściskająca poły szlafroka. Jeden z tych żołdatów, dowodzący, jak się Jan domyślił, wyciągnął z rękawa swojego szynela pismo i zaczął je odczytywać. Jan wyłapał z niego tylko ich imiona i nazwiska: Józef Biały, Jan Biały, Alina Biały. Reszty mógł się domyślić; kiedy jednak *kamandir* skończył czytać, zza niego wysunął się jakiś mężczyzna w cywilu, jak się okazało, tłumacz.

– Rada Najwyższa Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich wydała decyzję o przesiedleniu. Przysługuje pół godziny na spakowanie

się, można zabrać sto kilogramów mienia, po kontroli przez tu obecnych żołnierzy.

– Ale to chyba jakaś pomyłka... – Alina Biały bezradnie patrzyła to na kamandira, to na tłumacza. – Przecież my nic... My nie jesteśmy ważni. Ja w kuchni pracuję, syn w tartaku.

Tłumacz przełożył to na rosyjski. Dowodzący się uśmiechnął.

– U nas wsie rawni. Uwiditie.

– U nas wszyscy równi. Przekonacie się.

W głosie tłumacza zabrakło oryginalnego przekonania. A może ironii? Tego Jan nie potrafił do końca rozsądzić.

– Boże mój! – Alina zbladła, a Jan w ostatniej chwili podbiegł, by ją podtrzymać. Pomógł jej usiąść na krześle, podał szklankę wody.

*Kamandir*, tłumacz i część żołnierzy, nie reagując na tę sytuację, wyszli z domu. W środku zostało dwóch żołdatów, którzy przyglądali im się bez emocji.

– Janek, to już po nas! Po nas, rozumiesz, synku? Na zatracenie my idziemy, już nigdy ojca nie zobaczymy! – I się rozszlochała.

Jan nie wiedział, co powiedzieć. Żał mu było matki, samego siebie też mu było żal, ale nie zamierzał się poddawać. Przeciwnie – po tych kilku tygodniach życia w niepewności, kiedy słyszał, że lutowa wywózka nie była jedyną, wreszcie się dokonało – przyszli po nich. Oboje z matką się pocieszali, że ich nie ruszą, bo kimże oni w końcu są, ale Janek przypuszczał, że ze względu na ojca im nie odpuszczą – i nie mylił się. O ile jednak wcześniej dawał się tej smudze niepokoju, o tyle teraz coś w nim stwardniało. Nie da się zgnębić, na przekór wszystkiemu będzie silny. Dla siebie, dla matki, dla ojca, dla Zosi...

Ostatni list od niej wrócił z adnotacją, że adresatki brak pod tym adresem. Jan przypuszczał, co to oznacza – Polakowscy byli ewidentnymi wrogami systemu, pewnie żyli już gdzieś na Wschodzie. I może to było głupie, bo po pierwsze, chwila nieodpowiednia, a po drugie, „wielki piękny kraj”, choć pewnie nie był wcale piękny, to na pewno był wielki, ale Jan pomyślał, że może ich losy gdzieś tam się przetną.

– Chodź, mamó, trzeba się pakować. – Dotknął jej ramienia. – Damy sobie radę, zobaczysz.

Alina Biały, jeszcze oszołomiona, posłuchała go. Podniosła się i zaczęła bezradnie rozglądać po pokoju.

Oboje kręcili się po pokoju, a za nimi, krok w krok, ci żołdaci.

Jan poszedł do schowka między sienią a pokojem, gdzie trzymali buty. Chciał wziąć jakąś parę na zmianę. Pochylił się nad koszem z wikliny, a za sobą usłyszał głos:

– Wsi bieritie. Wsio wam prigaditsa.

To był jego „cień”, w którym ewidentnie przebudziło się człowieczeństwo.

– Wsio – powtórzył, gdy Jan na niego spojrzał.

Jan przestał grzebać w koszu, tylko wyciągnął go na środek sieni. Potem wrócił do pokoju i jednym ruchem zerwał zasłony z okna.

– W to włożymy nasze rzeczy, tak będzie najłatwiej – powiedział do matki.

– Ale oni powiedzieli, że będą ważyć, więc... – Matka niepewnie na niego spojrzała.

– Skorieje, skorieje – pogonił ich ten, co chodził za Jankiem. – Bieritie wieszcz. – I popatrzył na nich jak poprzednio.



Zaczęli się pakować, już prawie bez selekcji – wszystko, co mieli, wiązali w toboły. Do jednego z nich Jan wsunął pakiecik listów od Zosi, przewiązany niebieską wstążką, którą mu kiedyś w tym celu przesłała.

Zanim wyszli, oboje się przeżegnali przed dużym obrazem Matki Boskiej wiszącym nad łóżkiem. Jan, przechodząc przez kuchnię, jeszcze machinalnie zerwał kartkę z kalendarza-zdzieraka zawieszzonego przy piecu. „13 kwietnia, sobota”, to była data na dziś. I przysłowie: „Kwiecień wilgotny obiecuje rok stokrotny”.

Od kilku dni padało, ale kiedy wyszli na zewnątrz, zobaczył, że akurat dziś niebo się przetało.

Czekała na nich furmanka. I sąsiedzi. „Bóg z wami”, „Będę się za was modlić” – to doleciało do jego uszu, gdy wsiadał na wóz.

Nie pojechali na dworzec, tylko na rampę kolejową – tę samą, z której dwa miesiące temu czerwonymi wagonami odjeżdżali inni nieszczęśnicy.

I na nich teraz czekały czerwone wagony. Z okienkami u góry, tak niewielkimi, że nawet małemu dziecku nie udałoby się przez nie przecisnąć, a i tak były zabezpieczone drutem kolczastym.

Weszli do środka. Mimo że wszystkie wagony były otwarte i pewnie wróciły z tej dalekiej podróży puste, to i tak czuć było ciężki zapach przeпоconych, chorych i bojących się ciał.

Byli jednymi z pierwszych, więc zajęli miejsce na górnej pryczy.

Ludzi przybywało, aż w końcu zrobiło się ciasno.

– Sorok – Jan usłyszał przez okienko głos żołdaka.

A potem głośnie zatrzaśnięcie drzwi i opadający z łoskotem skobel.

\* \* \*

*Ozierenowski lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, wiosna 1940 roku*

– Mamo, mamo!

Anna się ocknęła. Śnieg, borówki, ojciec, wilki, pusty kubek, wszystko to do niej wróciło. Poderwała się z legowiska.

– Gdzie on jest? – zapytała przerażona, rozglądając się dokoła.

– Leży. Źle z nim. Trzeba coś, bo inaczej... – Zosia bezradnie rozłożyła ręce.

Anna trochę się zdziwiła, że córka mniej niż ona przeżywa ciężki stan ojca. Ale szybko przypomniała sobie, że ona w jej wieku też była skupiona na Franciszku, wszystko inne, nawet rodzice, było dalej. Tak to natura urządziła.

– Chodźmy! – Odsunęła te myśli od siebie.

– Ale dokąd? – zdziwiła się Zosia.

– No jak to dokąd? – Anna nie potrafiła opanować drżenia nóg i rąk. – Przecież do...

I wtedy jej wzrok powędrował kawałek dalej, ku pryczy, nad którą nachylała się Maria. Anna podeszła do szwagierki. Ujrzała rozpalonego i spoconego Czesława. „A więc to o niego chodzi!”, pomyślała. Franciszek to był tylko sen. Tylko zły sen, w którym jej mąż umarł. Bo w rzeczywistości był gdzie indziej i czekał na transport.

– Jakie to szczęście...

To nie tylko pomyślała, lecz także powiedziała.

– Jakie szczęście? – Zapuchnięta od płaczu Maria podniosła na nią wzrok. – Jakie szczęście?

Anna poczuła, że pali ją wstyd. Ten sen okazał się tak sugestywny – Franciszek, jego choroba, jej rozpacz, borówki. Jej ból, sprzed chwili, też był prawdziwy.

– Że mam jeszcze ruble. Spróbuję porozmawiać z komandirem, może uda się załatwić jakieś leki. Jeśli zaraz wyjdę, to może zajmie to tylko kilka godzin. Dobrze, że wiosna nastąpiła i droga przetarta. Teraz trzeba go przebrać, jakieś suche ubranie dać, okłady zimne robić. Zosiu, pomożesz stryjence?

Zosia pokiwała głową.

Wciąż zmieszana Anna wróciła do swojego łóżka, żeby się przebrać. Czesław wyglądał naprawdę źle. Postanowiła, że zrobi wszystko, by mu pomóc, ale... Nawet nie chciała sobie wyobrażać, jak Maria by się czuła, gdyby...

Śmierć męża to musi być straszne przeżycie.

\* \* \*

### *Osiedle Żołymbet, wiosna 1940 roku*

Cieszył się, że przyszła wiosna, bo na zewnątrz zrobiło się cieplej. Najgorzej było wtedy, kiedy tu przyjechali – zimno, ziąb. Gdy wychodził z kopalni, przemoczony i zmarznięty, natychmiast zaczynały nim telepać dreszcze. Nie wiadomo, co by było, gdyby matka nie smarowała go co wieczór sadłem z borsuka. I gdyby nie zabrał ze sobą kaloszy, które go ratowały, gdy każdego dnia przez dziesięć godzin przemierzał wypełnione wodą korytarze. Gdyby nie ten młody żołdat, szepczący mu, że ma wszystko ze sobą brać, a potem niesprawdzający wagi tobołków, kto wie, jak długo by tu wytrzymali – on i ojciec, bo Zenonowi Czernikowi przydzielono to samo miejsce pracy.

To był pierwszy szczęśliwy – w tym nieszczęściu – traf. Drugi był taki, że mama dostała się do pracy w kuchni. Spędzała czas w suchym, ciepłym miejscu i robiła to, co potrafiła. Nijak to się nie przekładało na ich porcje żywnościowe, bo matka się bała, że ją nakryją i po pierwsze, pozbawią tej pracy, a po drugie, ześlą gdzieś za karę. Na razie więc jedli

to samo co wszyscy – trzy razy dziennie zupę – na śniadanie i kolację z owsa, na obiad – z brukwią. Czasem była do tego porcja kaszy. Ale przynajmniej mieli dojście do kuchni i kto wie, może za jakiś czas, jakoś...

– Ty nie narzekaj. – Marian usłyszał głos Waldka, który szedł obok niego.

Wracali po skończonej pracy do baraku. Ten, do którego Waldek mówił, to był nowo przybyły. Krzysztof, młody, cherlawy. Kiedy tylko Marian go zobaczył, pomyślał, że nie będzie dobrze. I po kilku dniach widać było, że się nie pomylił w tych przewidywaniach. Chłopak ani razu nie wyrobił normy, wciąż nie potrafił utrzymać taczki, gdy przejeżdżał nią po wąskim i śliskim mostku z desek. Od kilofa miał całe ręce w bąblach. Jeszcze się jakoś trzymał, ale...

– Bo gdybyś na przykład trafił do Kołymy... No, tam to już by było po tobie, bracie. – Waldek machnął ręką. – Gadał tu jeden z ichnich, co nas pilnują, że tam też mają kopalnie złota. Dobrze, bo urobek na jednej zmianie to nawet pięć kilo. Pięć kilo! Tyle że praca nie tak łatwa jak u nas.

– Łatwa? – wystękał Krzysztof. Wyglądał jak z krzyża zdjęty.

– No łatwa. Bo tam zimno, nie to co u nas. Wiesz, kiedy tam przerywano pracę? Gdy temperatura spadała poniżej sześćdziesięciu stopni! Ludzie tam padali jak muchy! Podobno od lat dowożą im kolejnych – jak się zima kończy, to nowa dostawa ludzi, bo tamci nieżywi. Taki obieg. W samej kopalni ciężej niż u nas, w barakach też, bo bez dachu. Po co dach, skoro tam deszczu mało? A w zimie robi się czapa ze śniegu, to też niepotrzebny, jeszcze by się zawalił.

Marian nie miał pojęcia, czy Waldek mówi poważnie, czy zmyśla po to, żeby temu nowemu dodać otuchy. Nawet jeśli jednak coś

podkoloryzował, to sporo musiało być w tym prawdy, bo aż takiej wyobraźni to on nie miał.

Tak więc Marian po raz trzeci pomyślał sobie, że nie ma wcale źle. Może to, co im przypadło w udziale, było lepsze od tego, gdzie trafili inni? Ich osiedle było spore, lepianki prymitywne, ale jednak mieli dach nad głową, oprócz kopalni były też różne działy, wyznaczone przez komendatury NKWD, na przykład dział socjalny i zaopatrzenia. Było nawet gospodarstwo rolne – przygaradne chaziajstwo. Teraz karmili słabo, ale gdzie przednówek jest czasem rozpusty? Wszędzie i zawsze, gdzie los człowieka zależy od pracy jego rąk i natury, ten czas między zimą a pierwszymi wiosennymi zbiorami jest lichej i decydujący o przyszłym losie – kto go przetrwa, ten zapewne dożyje kolejnej wiosny. Więc oprócz tego, że trzeba się modlić, co mu co wieczór przypominała matka, trzeba też we wszystkim, co się człowiekowi zdarzy, szukać czegoś dobrego. A jeśli trudno to znaleźć, to czegoś gorszego, co mogłoby się trafić, a jednak się nie trafiło. Kto wie, choć nie powiedziałby tego na głos, a już na pewno nie przy matce, czy to nawet nie było ważniejsze niż modlitwa, gdzie człowiek oddawał swój los w obce ręce. Święte, ale obce.

\* \* \*

### *Między Pietropawłowskiem a Omskiem, wiosna 1940 roku*

Pierwszy maja. Stacja, a raczej stacyjka o nazwie „Tokuszy”. Tyle się dowiedzieli, gdy cztery wagony z ich transportu zostały odpięte, a reszta pojechała dalej. Wcześniej minęli Czelabińsk, dużą miejscowość ze sporym dworcem. Gdyby oceniać tylko po Czelabińsku, można by pomyśleć, że Sowieci, opowiadając o swoim kraju, mogą mieć rację, zważywszy na żarliwość, jaka temu towarzyszyła. Wszystko inne jednak temu przeczyło.

Jan nie wiedział, z czym jest mu gorzej – czy z brudem, jaki oblepił go podczas prawie trzytygodniowej podróży bez dostępu do wody, w której mógłby się chociaż ochlapać, ze swędzącą, pogryzioną przez wszy skórą, czy z obrazami, których nie potrafił wyrzucić z pamięci: ludzi, tutejszych ludzi, którzy dopadali do ich wagonu podczas postoju – obdartych, wychudzonych, na pół dzikich, błagających ich o cokolwiek do jedzenia. Ich! – którzy przecież byli zdani na łaskę swoich zapasów i więcej niż lichych porcji wydzielanych im przez konwojentów. Skoro było tutaj tak źle, skoro własnych obywateli Sowieci nie potrafili wyżywić, to po co wieźli tu Polaków? Tych transportów było mnóstwo – po drodze widzieli pociągi z Równego, z Wilna, ze Lwowa, z Lidy i Pińska. Wszyscy jechali w głąb Związku Sowieckiego. Co oni będą tu robić? Gdzie będą mieszkać, co będą jeść?

Pewnie będzie gdzie się umyć, skoro z pociągu przesadzili ich do ciężarówek, bo to znaczyło, że miejsce ich przeznaczenia jest już bliżej niż dalej. Jakies mieszkania też im muszą dać, ci ludzie natomiast, ta bieda...

Wcisnął głowę w ramiona. Pierwszy dzień maja to w Lidzie była wiosenna zieloność trawy, biel i blady róż kwitnących drzew, czerwień tulipanów, brzęczenie pszczół. Wtedy niespecjalnie zwracał na to uwagę, dopiero Zosia...

Śnieg wpadł mu za kołnierz, otrząsnął się. Zatem – to wszystko wydawało mu się oczywiste. Tak było, jest i będzie, a on będzie w tym uczestniczył – zawsze.

Ta życiowa pewność skończyła się w pierwszej połowie kwietnia czterdziestego roku. Nie pierwszego września trzydziestego dziewiątego, gdy rozpoczęła się wojna, nie siedemnastego września, gdy Sowieci przekroczyli polską granicę, a wtedy, gdy kazano im się pakować

i opuścić ich dom. To był koniec jego dotychczasowego życia, koniec jego świata.

Teraz znajdował się w nowej rzeczywistości. Rozejrzał się – dookoła wszędzie płasko, jakby ktoś ich postawił na gigantycznym stole; wyjątek stanowiła wyboista droga, którą jechali. Brązową glinę z rzadka porastały kępki zielono-żółtej trawy. Janowi przypomniawszy się lekcja polskiego, na której profesor omawiał z nimi *Stepy akemańskie*. „Wóz nurza się w zieloność”; może są różne stepy, może to była inna pora roku, zresztą bez znaczenia. Ważne były samotność, jaką się w tym sonecie czuło, i to, co na końcu, a czego Jan wtedy dobrze nie rozumiał, bo, szczerze mówiąc, poezja go nie zajmowała, to raz, a dwa – nie miał pojęcia, jakie to uczucie. „Jedźmy, nikt nie woła”. O to chodziło – o smutek niebycia w ojczyźnie. Teraz już to wiedział, teraz to czuł.

– Chyba dojeżdżamy. – Matka ścisnęła go za rękę.

Rzeczywiście, w oddali majaczyło coś, co tym razem nie było raczej opuszczonymi zagrodami dla zwierząt, których trochę po drodze widzieli.

Najpierw wykrystalizował się las, z przewagą brzoź, a potem – zarys osady.

Przejechali przez bramę, minęli drewniane i gliniane zabudowania; zatrzymali się przed sporym barakiem z napisem „Krasnyj klub”.

– U nich wszystko czerwone – powiedziała matka. – I co teraz z nami zrobią?

Żołnierze ich wysadzili, poczekali, aż zabiorą swoje tobołki z ciężarówek, i odjechali.

Jan, Alina i ich współtowarzysze zaczęli się bezradnie rozglądać.

– Tak nas zostawili... – odezwała się jakaś kobieta.

– Mają pewność, że stąd nie uciekniemy. Jak? Dokąd? – odpowiedział jej ktoś inny.

Prawda, to była podróż w jedną stronę.

Weszli do baraku, tego z czerwonym napisem, który, jak przypuszczali, miał być ich domem. W środku wyglądał jak świetlica – jedno bardzo duże pomieszczenie z krzesłami i ze stołami. Na ścianach portrety, które Janek znał już z Lidy – Stalin, Lenin, Engels i Marks. U nich w świetlicy przed przybyciem „wyzwoliciele” wisiał krzyż; Sowieci mieli innych świętych. Nikt z ich grupy nie chciał patrzeć na te twarze, ale wszyscy wiedzieli, że nie wolno ich ruszyć, bo konsekwencje mogłyby być srogie.

Krzesłami, sznurkami, zasłonami, kocami powygradzali sobie „pokoje”. Starsi, w tym Alina Biały, uznali, że ograniczą swoją obecność do samego baraku i jego najbliższych okolic. Janek i dwóch kolegów, których poznał w wagonie, postanowili jednak obejrzeć najbliższe otoczenie.

– Janek, ty się zawsze w coś wplątujesz! – Matka pokręciła głową. – Jeszcze coś złego ci się przytrafi.

– Coś gorszego niż to, żeśmy wylądowali w tym miejscu?

– Ech! – Matka machnęła ręką z rezygnacją; inną jednak, niż gdyby to było w Lidzie. Od momentu, gdy ojciec opuścił dom, czas płynął zdecydowanie szybciej – także ten, którym liczyło się wiek. Jan czasami czuł się już całkiem dorosły, matka też patrzyła na niego inaczej.

Poszli więc.

Okazało się, że to, co wzięli początkowo za wieś, było osiedlem.

– To jest sowchoz – wyjaśnił Mirek. – Ojciec mi powiedział.



– Sowchoz? – zdziwił się Antek, najmłodszy z ich trójki, ledwie trzynastoletni.

– No. Ojciec się zna. W domu już mówił, w lutym, jak pierwszych od nas zabrali. Że dużo zależy od tego, dokąd trafią. Bo mogą tak, że... – Mirek znacząco zamilkł.

Jan pomyślał, że jest taki sam jak jego ojciec, właściciel sporego zakładu rymarskiego, to znaczy dawny właściciel – pewny siebie i stanowczy.

– Ale to nie my. Jak tylko tu przyjechaliśmy, to ojciec powiedział, że to sowchoz. Sowieckie państwowe gospodarstwo rolne.

Antek rozglądał się dokoła. Stajnie, obory, szopy, jakieś przybudówki, domy czy raczej chałupki – wszystko to było liche, biedne, brudne, zaniedbane.

– Jak oni tu... jak z tego... przecież to gówniane.

Mirek i Janek jak na komendę wybuchli śmiechem.

– Dałby ci twój ojciec, gdyby to usłyszał – powiedział Mirek.

– Dałby – zgodził się Antek. – Ale nie słyszał.

Janek go polubił. Był trochę nerwowy, zbyt żywiołowy, pewnie lekko krnąbrny, czyli w sumie taki, jaki powinien być chłopak w tym wieku. A do tego był prostolinijny i szczery. Oraz pomocny – Janek kilka razy widział go, jak bezinteresownie robił coś dla innych. Mirek wykazywał się inicjatywą tylko wobec swoich bliskich.

A co do „gównianego” otoczenia, to ten smarkacz miał rację. Cud, gdyby w takich warunkach udawało się coś dobrze uprawiać lub produkować. Zresztą byłoby dziwne, gdyby gdziekolwiek w Związku Sowieckim takie miejsce istniało – przypomniał sobie tych wszystkich biedaków, którzy oblegali ich pociąg, żebrząc o jedzenie.

– Patrzcie – usłyszał głos Krzyśka.

Doszli do sporego drewnianego budynku, zbudowanego z grubych bierwion uszczelnianych mchem. Wokół niego znajdowało się kilkoro tubylców. Niektórzy weszli do środka, dwoje stało przy drzwiach, a jeden, po krótkim wahaniu, podszedł do nich.

– Kupatsa. Bania. – Pokazał głową w kierunku obiektu, a potem dołożył zachęcający ruch ręką.

Jan bardzo chciał zmyć z siebie brud po tylu dniach niemycia. W domu matka czasem go strofowała, że z higieną jest na bakier, choć znacząca poprawa jego motywacji nastąpiła wtedy, gdy poznał Zosię. Nawet jednak gdyby jej nie znał, wiedziałby, jak niemile dla nosa innych może być teraz jego towarzystwo. Oni, we trzech, już pewnie mieli stępienie powonienia, ale ten mężczyzna musiał czuć, że, no cóż, po prostu śmierdzą. Nic takiego jednak nie powiedział, tylko jeszcze raz zachęcił ich gestem.

Ruszyli.

W środku było ciepło i parno. Pierwsze pomieszczenie to była szatnia. Ten, który ich tu zaprosił, zaczął się rozbierać. Poszli jego śladem. Zza ściany obok dobiegały hałasy – krzyki, ale takie pogodne, popiskiwanie, śmiechy – nie tylko męskie. Tymczasem ten tubylec rozebrał się do naga i znowu dał im znak ręką, żeby robili to samo co on.

Spojrzeli na siebie i niepewnie pozbyli się ostatniej części garderoby. Przez chwilę przyglądali się sobie, jakby sprawdzali, czy każdy z nich wygląda „tam” tak samo. A później poszli dalej.

W drugim pomieszczeniu pary było znacznie więcej, wypełniała salę od drewnianej podłogi po drewniany sufit; wszystko zresztą było tu z drewna.

Jan najpierw zobaczył duży kocioł z wrzątkiem. Ich „znajomy” nabrał z niego wody, a potem polał nią kamienie. Buchnęło, aż Jankowi odebrało dech – takie ciepło wypełniło mu płuca.

Szybko znowu zabrakło mu powietrza – już nie z powodu gorąca, ale dlatego, że zobaczył młodą kobietę, pewnie niewiele starszą od Zosi.

Całkiem naga.

Poczuł, jak bardzo mu jest gorąco i że robi się czerwony oraz że...

Szybko usiadł na wolnym kawałku ławki. Na szczęście tuż przy nim leżały brzozowe gałązki, spięte w taką jakby miotełkę. Złapał ją i położył sobie na brzuchu.

Kiedy wreszcie podniósł wzrok, dziewczyny już nie było, był za to „znajomy”, który okładał się tymi gałązkami po całym ciele. Potem brał wiadro z wodą – raz ciepłą, raz zimną – i się nią polewał.

Po kwadransie Janek trochę się oswoił z myślą, że wszyscy tutaj – i kobiety, i mężczyźni, i dzieci – są całkowicie nadzy; i nikomu to nie przeszkadzało, dla nikogo nie było to zgorzeniem lub sensacją.

Dobrze, że para bardzo wszystko i wszystkich przesłaniała, bo jednak było mu wstyd. Nieswojo. Nigdy się przy nikim nie rozbierał, w domu też robili to tak, żeby przypadkiem nie zobaczyć nawet kawałka swoich nagich ciał.

Starał się myśleć o tym, że to dobry początek pobytu tutaj, bo miejscowi są im przychylni. I że – co było teraz widać – choć różnią ich język i pochodzenie, to tak naprawdę są tacy sami.

Problem był, kiedy przypominała mu się ta dziewczyna... Twarz się zamazała, teraz na jej miejsce wklejał Zosine włosy, oczy, nos, usta. Reszta jednak mocno utkwiała mu w pamięci i bardzo go poruszała.

Nigdy wcześniej tak silnie tego nie czuł – że chce żyć, że chce doświadczać, poznawać, że świat ma mu tyle do pokazania i zaoferowania.

To było przedziwne – przejechać mnóstwo kilometrów w takich podłych warunkach, żeby tu, na tym zapomnianym przez Boga pustkowiu, tak mocno to poczuć.

Jednocześnie jednak było to piękne i dodające sił.

## Rozdział 10

*Osiedle Żołymbet, jesień 1940 roku*

– I co ja narobiłam? No co ja głupia narobiłam? – Krystyna Czernik się trzęsła.

– Idiom! – Czekaający na nią strażnik jeszcze się nie zdenerwował, ale Marian wiedział, że to kwestia czasu – krótkiego.

– Chciałam, żeby była sprawiedliwość, rozumiesz?

Kiwnął głową. Żal mu było matki; strasznie przykro było mu patrzeć na jej krzywdę.

– Przecież oni sami mówią, że równość, że każdy tak samo traktowany, a tak naprawdę... – Kucnęła przed synem i ukryła twarz w dłoniach.

Młody chłopak w mundurze, który miał ją zabrać do więzienia, znowu krzyknął:

– Idiom!

Zrobił krok w jej stronę. Przekaz był jasny – ich czas się kurczył.

– Mamo, będzie dobrze. Zobaczysz, będzie dobrze. To tylko dwa tygodnie, a potem wrócisz. No.

Marian też kucnął i niezgrabnie objął matkę. Potem trochę się wyprostował i podniósł ją za ramiona. Spojrzał na strażnika i zrozumiał, że dłużej nie można zwlekać, bo matka tylko pogorszy swój los.

Krystyna Czernik dała się podprowadzić do wyjścia. Jeszcze na sam koniec wyszłochała:

– Tam podobno takie choroby, że ludzi z tej tiumry prosto do szpitala wiozą. A w szpitalu jeszcze gorzej. No przecież wiesz, jak było z ojcem. Nie dość, że mu nie pomogli, to mu karakany kawałek ucha zjadły, kiedy tam ducha oddawał!

Mariana zakłuło coś za mostkiem. Ojciec zmarł dwa miesiące temu na dyzenterię. W Polsce się mówiło, że ta choroba to córka biedy i siostra brudu – a akurat tych dwóch rzeczy było tu pod dostatkiem. Ojciec gasł w oczach; kiedy zabrali go do szpitala, na chwilę wróciła im nadzieja, że uda się go uratować. Gdy jednak Marian i matka wreszcie dostali zgodę, żeby go zobaczyć... Ten szpital to, zdaniem matki, była umieralnia. Marian myślał, że Rosjanin, lekarz, który zajmował się ojcem, nie był taki zły. I nawet miał chęci i jakieś leki, ale nic nie mógł zaradzić. Jak się śmierć uprze, to tak jest. Ojciec wyglądał okropnie; cera woskowa, schudł okropnie i rzeczywiście brakowało mu kawałka ucha, ale winić za to lekarza? I kiedy tak matka klęczała przy nim, szlochając i myśląc, że to już, że się dokonało, ojciec otworzył oczy, popatrzył na Mariana i jednocześnie jakby go nie widział, bo gałki miał niby bielmem zasłonięte, wydusił z siebie, w taki dziwny sposób, jakby próbował to zanucić: „Słoneczko zaszło czy mi zagasło, czy mi się skryło hen za borem...”. I to było jego ostatnie tchnienie. Jedyna pociecha, że może ojciec już nic z tego świata obok nie czuł, nie widział, nie rozumiał, tylko znowu był w swoim sadzie, gdzie, jak mu humor dopisywał, śpiewał tak matce.

– Boże, Boże...! miej mnie w opiece. I syna mojego! – Krystyna Czernik uwiesiła się Marianowi na szyi, tak że z trudem zdołał rozewrzeć jej szczipione palce.

– Idiom.

Ten trzeci raz wcale nie zabrzmiał najgroźniej. Chłopak w mundurze był niewiele od niego starszy. Marian spojrzął mu teraz prosto w oczy i z tych oczu zrozumiał, że on też musiał mieć matkę, którą kochał. I dla której nie chciałby takiego losu. Był po prostu trybikiem w tej machinie, chwilowo po lepszej stronie niż oni, choć i u niego mogło się to skończyć. Nikt w Związku Sowieckim nie mógł spać spokojnie, no chyba że ci, co najwyżej. A ci, co mieszkali na ich osiedlu – przede wszystkim Kazachowie, jak ten chłopak – w gruncie rzeczy byli im życzliwi. Przez chwilę traktowali ich z wrogością, dlatego, jak się potem wyjaśniło, że mieli nawkładane do głów, że przyjechali do nich burżuje i krwiopijcy. Jak to się udało odkręcić, to relacje się zmieniły. Kazachowie ich zaakceptowali, pokazywali im, jak tutaj żyć. Oni mieszkali w dużych, wielopokoleniowych rodzinach, więc było im łatwiej, choć Marian czuł, że nie zawsze jest tam sprawiedliwie – regułą było, że rodziną kierował ojciec, a dzieci akceptowały ten stan bez słowa skargi czy prób podejmowania innego niż wymyślone dla nich życie. Nikomu tu nie przyszłoby do głowy naruszyć zastany porządek. Najsympatyczniejsze i najswobodniejsze były małe dzieci. Wszędzie je było słyhać, i to dosłownie, bo chodziły ubrane w wełniane kamizelki z ponaszywanymi rosyjskimi monetami. Opiekowała się nimi babcia, która czasem przyprawiała je w okolice lepianek, gdzie mieszkali Polacy. Coś mówiła, opowiadała, ale po swojemu, więc trudno było zrozumieć. Dzieci zaś, jak to dzieci, były po prostu wesołe.

Stosunki z miejscowymi układały się zatem dobrze, ale nierówności były. Matka w zeszłym miesiącu się zorientowała, że dostaje niższą wypłatę niż Kazaszki, a one – niższą niż Rosjanka, a do tego jeszcze

pracuje dwie godziny dłużej i ma najcięższą robotę do wykonania. W tym miesiącu historia się powtórzyła, więc zebrała się na odwagę i powiedziała naczalstwu to samo co Marianowi – że to niesprawiedliwe, że jedno się mówi, a drugie robi. Nic nie wskórała, co gorsza – dostała dwa tygodnie aresztu, a przez kolejny kwartał będzie otrzymywała tylko jedną trzecią tej swojej i tak niższej od innych pensji.

Marianowi bardzo było jej żal, ale gdyby tylko wiedział, co matka planuje, toby ją od tego odwoził. Nie miałby złudzeń, że nic dobrego z tego nie będzie – nie dość, że mama nie doczeka się sprawiedliwości, to jeszcze poniesie karę.

Prócz smutku Marian doświadczał też innego, dziwnego uczucia – że w tej nowej sytuacji odnajduje się lepiej niż matka. Już wcześniej takie myśli mu się zdarzały, że lepiej sobie radzi w świecie niż rodzice, ale teraz to się wzmacniało.

„Chyba z trochę innej gliny nas ulepiono”, pomyślał, kopiąc butem grudę ziemi.

Zostawił jednak te przemyślenia – teraz musiał się skupić na tym, jak wyrównać braki w finansach – po obniżeniu mamie pensji nie było szans, żeby udało im się wyżywić, a mimo że był dopiero wrzesień, robiło się bardzo zimno. W taką pogodę to przede wszystkim jedzenie decydowało o tym, czy się doczeka wiosny.

„Zawsze wybieraj dobro”, to obiecał ojcu, ale to było w innych czasach, kiedy dobro było jedno, niezachwiane. Teraz okoliczności się zmieniły.

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, jesień 1940 roku*

– Zosiu. – Anna dotknęła ramienia córki. – Trzeba już...



Zosia kiwnęła głową. Wstała z przykłąku, otrzepała kolana i podeszła do Eli, która na ich pryczach bawiła się z Krzysiem. Brat, mimo trudnych warunków, rósł całkiem dobrze i był bardzo żywiołowy. Teraz zwieszał się z górnego legowiska, a Ela łapała go, gdy już, już prawie spadał.

– Mam cię! – Zosia schwyciła go, uprzedzając siostrę. – Możesz pójść się pożegnać... – powiedziała do niej, głową wskazując kąt pomieszczenia, gdzie było miejsce stryjostwa.

Ela się zawahała.

– Idź, tak trzeba – zachęciła ją Zosia. – Tylko tu, później już nie. Potem zostaniesz z Krzysiem, a my z mamą... to zrobimy.

– Stryjenska nie pójdzie? – Ela jeszcze się ociągała.

Zosia westchnęła i pokręciła głową.

– Nie. Widzisz, stryjenska...

Mama powiedziała, że stryjenska jest w takim stanie, jakby wiedziała i nie wiedziała zarazem. Trudno było się co do tego upewnić, bo z nimi nie rozmawiała. Najpierw przez kilka godzin płakała, a później przestała. Wyglądała jak porcelanowa lalka – blada, z nieruchomym wyrazem twarzy. No, od lalki różniło ją to, że miała już duży brzuch i za kilka tygodni powinna urodzić dziecko. Teraz jednak trzeba było pochować ojca tego dziecka.

Ze stryjem było źle właściwie od samego początku, to znaczy od kiedy zamknęli ich w tych wagonach. Przeżył załamanie nerwowe, tak to mama nazwała, choć inna kobieta z ich wagonu powiedziała o tym „histeria”. Zosia nie powtórzyła tego ani mamie, ani tym bardziej stryjence, bo nie chciała im robić przykrości, zresztą ta kobieta nie była miłą, wręcz przeciwnie – była kłótniwa i nieuprzejma, a trudne warunki tylko pogłębiły te przywary. I chyba nietrafnie oceniła stryja, bo choć

początkowo był pobudzony, to potem popadł w apatię. Stryjenka też, ale trudno było się dziwić – w takiej sytuacji... Choć, z drugiej strony, mama też by mogła od tego wszystkiego słabować, a było wręcz przeciwnie – Zosia nigdy wcześniej tak silnej jej nie widziała. Może dlatego, że to wszystko dotyczyło stryjostwa, a nie któregoś z nich – taty lub ich, dzieci? Oczywiście, że Czesław i Maria Polakowscy byli im bliscy, ale to jednak była podobna, a nie ta sama krew.

– Co: stryjenka?

Zosię z tych rozmyślań wyrwał głos młodszej siostry.

– Musi zostać. Odpocząć. W jej stanie to niewskazane. No, idź, nie można tego przeciągać.

Ela pokiwała głową, przez chwilę jeszcze stała przy Zosi, jakby niepewna, a później się odwróciła i poszła.

– Ela! – Krzyś, nagle spostrzegłszy brak siostry, rozplakał się.

– Ja jestem z tobą, nie bój się. – Zosia przytuliła go do siebie.

– Chcę do Eli! Do Eli! – Krzyś próbował się wyswobodzić z jej uścisku.

– Zaraz wróci. Zaraz. Tylko pożegna stryjka. A potem będziemy razem – ty, ja, mama, Ela. Mama się z tobą pobawi, zobaczysz.

– Nie chcę mamy, chcę Eli! – Krzyś wciąż szlochał.

Zosia westchnęła i przytuliła go mocniej. Wszystko się tu poplątało, poprzesuwało. Krzyś całe dni spędzał z Elą, więc z nią był najbardziej zżyty – wyparła mamę. Oczywiście niespecjalnie, po prostu mama nie miała czasu ani sił, by go mocno doglądać, bo oprócz pracy musiała się też zajmować stryjostwem. Ela wciąż jeszcze była dzieckiem, co czasem było widać w jej reakcjach, ale zarazem obowiązki miała jak dorosła. O sobie samej Zosia już tak myślała. Ileż ten rok zmienił!

– Już – usłyszała cichy głos siostry. – Mama cię prosi, bo się boi, że do zmroku nie zdążycie.

Zosia przekazała jej Krzysia i wróciła do matki.

– Trzeba... trzeba go zabrać. – Anna Polakowska podniosła się i spojrzała na szwagierkę.

Maria się nie poruszyła – siedziała ze wzrokiem wbitym w ścianę.

– Musisz mi pomóc – teraz Anna zwróciła się do Zosi. Nie licząc kilku kobiet i małych dzieci, były w baraku same. Inni wyszli do pracy. Naczalstwo natomiast świętowało rocznicę rewolucji październikowej. Jediną osobą, która miała im towarzyszyć, był pan Prochytko, ten stary Ukraińiec pilnujący sklepiku.

Zosia kiwnęła głową. Mama zakryła twarz stryja – chudą, zmizerowaną. Mało już przypominał tego mężczyznę, którego pamiętała z wakacji w Chotyniczach – wesołego, rumianego, szczęśliwego. Oboje ze stryjenką byli wtedy szczęśliwi; jedyne, czego im brakowało, to dziecko. I wtedy, kiedy to ich marzenie się spełniło, wszystko dokoła runęło.

Zosia poczuła ucisk w sercu. Wyobraziła sobie siebie na miejscu stryjenki – tak doświadczoną przez los. Gdyby ją to spotkało, gdyby Janek... Listu od niego nie było, ale wiedziała, że kiedyś na pewno się spotkają. Na pewno. Wojna się skończy, wrócą do Polski, pobiorą się, będą mieć dzieci...

– Zosiu. Trzeba iść.

Mama stała przy łóżku, trzymając w rękach końce prześcieradła. Zosia chwyciła materiał z drugiej strony, od nóg. Podniosły ciało Czesława Polakowskiego; było nadspodziewanie lekkie.

– Ta ziemia wyssała z niego życie. – Anna powiedziała to, kiedy były już przy drzwiach wejściowych. Chciała chronić ciotkę, ale Maria

w ogóle nie zareagowała na zabranie zwłok męża.

Przed budynkiem stała trumna – z jakichś desek z odzysku, krzywo zbita. Włożyły do niej ciało. Woźnica, który czekał przy wozie, podszedł do nich, nałożył wieko i je przybił. Czekał już też pan Prochytko. We czworo podnieśli trumnę i położyli ją na wóz.

Ruszyli na cmentarz. Na lekkim wzniesieniu znajdowały się groby Ukraińców, którzy zakładali tę osadę. Już tu, na miejscu, Zosia się dowiedziała, że z Ukrainy wywożono ludzi za cara, a potem między rokiem dwudziestym dziewiątym a trzydziestym trzecim. Bez względu na to, gdzie trafili, zawsze wyglądało to tak samo – wysadzano ich na pustkowiu, dawano siekierę i kazano „się urządzać”. Wymierały całe rodziny; jeden krzyż to zwykle było wiele osób. Tragedia, chyba jeszcze większa niż to, co ich spotkało.

Pomyślała, że to jakaś pociecha, iż stryj nie będzie leżał samotnie, w niepoświęconej ziemi. Wiara inna, ale Bóg ten sam.

Czekało je jednak rozczarowanie. Na miejscu się okazało, że trumnę mają złożyć w dołku wykopanym u stóp tego pagórka, już poza niskim ogrodzeniem cmentarza.

– Och! – Zosia poczuła, że do buta nasypał się jej śnieg.

Gdy trumna opadła na dno, uderzyła o lód.

Mama zmówiła modlitwę, Zosia powtarzała po niej słowa, ale cały czas myślała o tym, że stryjowi musi być źle – tak zimno i mokro.

– Tak, najpierw ta ziemia wyssała z niego życie, a teraz go pochłonie. Wessie.

Anna Polakowska się przeżegnała, a później przytuliła córkę.

„Niech piekło pochłonie Sowietów”, pomyślała.

Gdy wrócili, wyciągnęła swój modlitewnik. „7 listopada 1940 roku. Pochowaliśmy Czesława. Niech Bóg go do siebie przyjmie”.

\* \* \*

*Między Pietropawłowskiem a Omskiem, jesień 1940 roku*

– My tu chyba umrzemy. – Alina Biały przysunęła się bliżej paleniska.

Kazachska jesień w niczym nie przypominała ciepłego, słonecznego polskiego babiego lata.

Wciąż mieszkali w „krasnym klubie”, który w ogóle nie był przystosowany do stałego pobytu; w porze cieplej i w miarę cieplej dało się wytrzymać, ale nadchodzące mrozy zmuszały ich do przedsięwzięcia jakichś kroków, to znaczy postawienia domu z paleniskiem w środku. Taka decyzja zapadła wspólnie – każdy z przybyłych tu Polaków rozumiał mizerotę swojego położenia.

Okazało się, że z wykonaniem tego planu, jeśli idzie o formalności, nie będzie żadnego problemu, ponieważ tutaj wszystko było państwowe – las, łąka, pole, ziemia, osiedle. Mogli sobie wybrać dowolny kawałek gruntu i tam wznieść swoją nową siedzibę. Zdecydowali się na miejsce pod lasem – pewnie dlatego, że wszystkim kojarzyło się z Polską: trochę zielonej trawy, a w tle białe pnie brzoź. Technika budowy też miała być rodzima – dom z drewna. Wybrali nieco ziemi, żeby powstał kwadratowy dół głębokości kilkudziesięciu centymetrów, i w tak utworzone fundamenty wbijali przecięte na pół pnie drzew, które potem mieli uszczelniać mchem.

Nikt z nich nie miał specjalnej wiedzy o budownictwie, w końcu trafiły tu przede wszystkim kobiety i dzieci; w ich gronie było troje mocno już starszych mężczyzn, którzy forsowali taki sposób budowy, choć zawodowo nigdy się ciesielką nie parali.

– Oni to inaczej robią niż tutejsi... – Popatrzyła na ekipę, która teraz pracowała przy stawianiu kolejnej ściany ich nowego lokum.

Zmieniali się; jedni odpoczywali, zastępowali ich drudzy – po robocie na rzecz sowchozu, w dni wolne od pracy, które tu wypadały szóstego dnia po pięciu roboczych, żeby nie utrwałać „wymysłów popów”. Tutaj niedziela była zwyczajnym, roboczym dniem. Pracowali więc, ale ta budowa, instynktowna i odmienna od tego, co tu zastali, budziła niepokój Aliny. Jan też miał wątpliwości, czy robią dobrze, ale skoro byli w grupie, to się podporządkował.

Początkowo Alina trochę z dystansem podchodziła do Kazachów, podobnie zresztą jak oni do nich. Przełamaniem lodów była wizyta w łaźni. Dorośli się nie zdecydowali na wspólną kąpiel, zawsze wybierali inny termin; nie przyjęli formy tej kolektywnej bliskości.

Później młodszym również było łatwiej nawiązać bliższe relacje – przywilej wieku, któremu wolno się dziwić, pytać, interesować.

Jan szybko odkrył, że tubylcy nie są do nich wrogo nastawieni; no, trochę może byli, bo pracowali nad nimi politruk, który urządzał tu pogadanki, i cała sowiecka machina zobrzydzająca swoim obywatelom paskudny świat Zachodu – krwio pijców, wyzyskiwaczy, burżujów. Po takim „przygotowaniu” nie czekali na „polskich panów” z otwartymi ramionami.

Byli podejrzliwi. Mało zagadywali, raczej się przyglądali. Na przykład ich ubraniom, które zdecydowanie odbiegały od tutejszych standardów; matka Jana określała ich okrycia mianem „łachów” – łata na łacie. Nie było to oceniające, tylko oddawało stan faktyczny. Kazachowie wyglądali jak dziewiętnastowieczni chłopci pańszczyźniani, i to ci w ogonie tej biedy. Zesłańcy natomiast – zwyczajnie. Mundur, który Jan zyskał po tym młodziaku, co poszedł walczyć, i który był w Lidzie jego zwyczajnym strojem do pracy, tu traktowano jako ubiór

mocno elegancki. Z gestów i pojedynczych słów Jan zrozumiał, że Kazach, ten sam, który zapraszał ich do łaźni, pyta, czy jemu nie żal tak pięknego ubrania do pracy – a on przecież nie miał innego.

Odmienność warunków była więc oczywista, ale wspólna praca i życie obok siebie robiły swoje. Co do pracy, to ona z kolei była zdziwieniem dla Polaków. Oczekiwali katongi i harówki ponad ich siły, a często się okazywało, że raczej pozorują pracę, niż naprawdę ją wykonują.

Główne założenie ich pobytu tutaj, przedstawione im przez tego politruka, wspieranego przez milicjanta, tuż po ich przyjeździe, to było „praca dla każdego, każdy do pracy”, co współgrało z drugim hasłem, które mówiło, że kto „rabotat nie budiet, kuszat toże nie budiet”.

No to poszli do pracy – Jan jako budowlaniec, mama – jako pomoc w oborze. Oboje nie mieli wcześniej styczności z takimi zajęciami, ale się okazało, że to w niczym nie przeszkadza. Tak jak pozorowane było ich doświadczenie w nowych „zawodach”, tak i pozorowana była sama praca. Założenia były bowiem mocne i rozbudowane, ale rzeczywistość skrzeczała – tu po prostu brakowało wszystkiego – z wyjątkiem ludzi, oczywiście.

Jan zatem, instruowany przez Kazachów, naprawiał płoty takim sposobem, że z jednego miejsca wyjmował deski, by zapełnić braki gdzie indziej. „Charaszo”, kiwali głową Kazachowie, choć nawet oni czuli bezsens tego zajęcia. Nikomu jednak w tym bezkresie państwowości nie chodziło o sens pracy, nie chodziło nawet o pieniądze, bo one były, owszem, środkiem nabywczym, tyle że nabywać nie było czego. Celem pracy było dostanie prawa do zakupu chleba. Sześćset gramów dziennie – tyle sowieckie państwo przyznawało każdemu pracownikowi. A co do reszty – trzeba było sobie radzić.

I Jan oraz Alina jakoś sobie radzili, dzięki Kazachom. Przede wszystkim dlatego, że byli oni tak spragnieni jakiegokolwiek materialnego dobra, że kupiliby nawet to, co w Polsce zostałyby potraktowane jako złom lub odpad. Jan był niezmiernie wdzięczny temu krasnoarmiejcowi, że szepnął mu, żeby brał wszystko, a zarazem żał mu było, że nie zabrał jeszcze więcej. Zainteresowanie Kazachów mieniem przesiedleńczym było jeszcze większe niż żołnierzy sowieckich tym, co widzieli w „wyzwalanej” przez siebie Polsce.

Kwitł więc handel wymienny. Oni im spodnie Jana, Kazachowie im w zamian – tłuszcz barani i cebulę. Koszula – za baranię i kilka jaj. Apaszka – dwa kubki kaszy.

Oprócz tego Kazachowie dzielili się wiedzą, która miała im umożliwić przetrwanie tutaj. Na przykład kiedy latem robili kiziaki, czyli mieszały krowie łajno ze słomą, formowali je w kształt cegły i suszyli na słońcu, mówili, że oni też muszą to robić, jeśli chcą przeżyć zimę, bo bez takiego opału się nie uda.

A oni oczywiście, że chcieli przetrwać i wrócić do ojczyzny. Dlatego zaczęli budować ten dom.

Kazach, ten od pierwszej kąpieli w łaźni, patrzył i kręcił głową, pokazując na ich mały domek-lepiankę – z gliny, suchej trawy i chrustu.

– Inaczej – powtórzyła Alina Biały.

Jan pokiwał głową. Też był zdania, że trzeba się wzorować na Kazachach, ale decydowała „starszyzna”, czyli tych trzech seniorów.

Po kilku dniach ich przypuszczenia się sprawdziły. Dom jako tako stał, choć nawet przez uszczelnione łączenia przeciskał się wiatr. Gorsza jednak sprawa była z paleniskiem ulepionym w środku ich nowego miejsca zamieszkania. Także zgodnie z instrukcjami starszyzny i przy podejrzliwym zerkaniu Kazachów. Pierwsze odpalenie ujawniło



konstrukcyjny defekt – ogień zadymił całe pomieszczenie, a glina pękała. Nijak nie dało się tego naprawić, co oznaczało, że, po pierwsze, ich długa i ciężka praca poszła na marne, a po drugie, że nie mają schronienia na nieuchronnie zbliżającą się zimę. Janek nie do końca potrafił ją sobie wyobrazić, bo wszystko tutaj, przeżywane po raz pierwszy, było dalekie od przewidywań i przeczuć, i to prawie zawsze w tę gorszą stronę. Rozumiał już jednak słowo „burian”, które oznaczało burzę śnieżną – nie dość, że zimno, to jeszcze porywisty wiatr, który potrafi zmieść lepiankę. Kazachowie bali się go bardziej od wilków.

– My tu umrzemy. – Tym razem Alina Biały opuściła słowo „chyba”.

Kilka tygodni temu, gdy wątpiła w efekt ich prac budowlanych, wciąż jeszcze miała nadzieję na szczęśliwy finał przynajmniej tego kawałka ich rzeczywistości. Teraz to już było nieaktualne, a do tego kłopotu dołączyły problemy aprowizacyjne. Kazachowie mieli mniej jedzenia do wymiany, Jan i Alina oszczędzali swoje „dobra” na gorsze czasy, o których przyjsciu, mimo że żadne z nich nie wypowiedziało tego głośno, żeby nie smucić tego drugiego, byli pewni.

Przez chwilę rozważali jednak wyzbycie się jakiejś części „majątku”, żeby odnająć kąt w którejś z tubylczych chat. Okropna ciasnota wykluczała jednak takie rozwiązanie. Oprócz ciasnoty był też drugi powód – jeszcze wcześniej niż burian Biali poznali słowo „bituk”, czyli wesz. Drapanie i iskanie się były tu powszechne – po głowie, pod pachą, po pachwinach. Kiedy Alina zobaczyła, jak jedna z Kazaszek zdejmuje kaftan, wybiera z niego gnidy, a potem jedna po drugiej wkłada je do ust, rozgryza i wysysa, zrobiła się blada i wymamrotała do Jana: „Zaraz mnie zemdli”. Nie zemdliło jej, bo nie było czasu na takie słabowanie – w domu musiała wyczyścić swoją spódnicę z białych wszy odzieżowych, których kilka zdążyło na nią przeskoczyć podczas tej dość krótkiej wizyty w chałupince Kazachów. „Zwyczajne” wszy też były – istne hordy wesz.

Nadzieja pojawiła się wtedy, gdy sąsiadka Kazacha od łaźni, młoda, jeszcze bezdzietna, a już wdowa, miała pojechać na kurs dla traktorzystek do miejscowości położonej kilkadziesiąt kilometrów dalej. Tam by mieszkała u rodziców i może nawet już nie wróciła, co oznaczało, że długo mogliby wynajmować od niej lepiankę, ale tymczasem znalazł się kandydat na męża i ten plan wziął w łeb.

– Mamo, damy sobie radę. – Jan przysunął się do matki.

Nowa rola – wciąż syna, ale też trochę zastępcy ojca, od którego w dalszym ciągu nie mieli żadnych wieści – obciążała mu barki, mimo różnych lęków bardzo chciał jednak jej sprostać.

Za kilka dni „jego” Kazach wybierał się do najbliższej wsi, okazało się bowiem, że w okolicy – jak Jan zrozumiał, kilkunastu kilometrów – są „normalne” wsie, to znaczy kołchozowe, które mają być niebem w porównaniu z ich sowchozem.

Ta wyprawa miała stanowić próbę zdobycia jakichś zapasów w zamian za szal matki i spódnicę przerobioną z dwóch fartuchów, ale i rekonesansem, czy naprawdę istnieje tam lepsze życie, które mogłoby się stać i ich udziałem.

\* \* \*

### *Osiedle Żołymbet, zima 1940 roku*

Najpierw puchnie brzuch, a potem nogi. Z początku więc człowiek wygląda, jakby był trochę otyły, później zaś – umiera.

Marian bywał w życiu głodny, jak każdy. Kiedy się zerwał ze szkoły i przez cały dzień gdzieś ganiał, a potem się bał wrócić do domu, więc jeszcze się zeszło. Albo kiedy zapomniał zabrać chleba, gdy wybierał się do Szczuczyna, a żaden z kumpli nie był przy forsie i nie mógł od nikogo pożyczyć nawet pięciu groszy, żeby zagłuszyć burczenie w brzuchu. To wszystko jednak był głód przejściowy, drażniący, taki,

o którym wiedział, że przed zachodem słońca go zaspokoi. To był głód do przeżycia. Ten tutaj – był do śmierci.

Matka wróciła z aresztu przetrącona. Nawet nie w najgorszej kondycji fizycznej, bo tam dawali jeść, ale jakby coś w niej pękło. No a później, zgodnie z „wyrokiem”, obcięli jej pensję. Za całość wypłaty to często była egzystencja na granicy życia i śmierci, a za trzecią część – grób. Marian też głodował, bo po pierwsze, dzielił się z matką swoimi racjami, a po drugie, kiedy było zimno, organizm domagał się większych porcji jedzenia.

„Zawsze wybieraj dobro”, pamiętał te słowa ojca. I czuł wilgoć w oczach, kiedy go wspominał. Za życia nie zawsze było między nimi gładko, jak to między ojcem a synem zresztą, dość szorstko po prostu. A jednak te ostatnie zdania, chwile... Marian traktował to jak jakiś testament – żeby ojciec był z niego zadowolony, tam, na górze, skoro na dole to nie zawsze się udawało.

Był więc głód. Mariana bolał żołądek – najpierw ssanie, później ściskanie, gniecenie, przewalanie się. Kiszki się wykręcały, w głowie się kręciło.

Zaczął śnić o jedzeniu. Pierwsze sny to były scenki z Różanki – ciepłe mleko od krowy, miska dymiących ziemniaków z koperkiem i z omastą, pajda chleba z masłem, podpłomyki, a nawet owoce z sadu ojca. Wtedy, w tych snach, był syty. Najadał się kolorami, kształtami, zapachem.

A potem przyśnił mu się sen, że jest głodny. Nie był już w domu, tylko gdzieś w jakimś brzydkim, szarym miejscu, wśród innych głodnych ludzi. To na pewno było Sowiety, no bo gdzie indziej takie obrazki? I mimo że była to obczyzna, przyszedł do niego ksiądz Marek. Ich ksiądz Marek z Różanki, któremu ojciec w pas się kłaniał, wobec którego miał respekt i go szanował. I ten ksiądz powiedział do Mariana:

„Synu, chodź, ja cię poprowadzę”. „Dokąd?”, zapytał Marian. „Kraść”. I poszli – do zasieków z ziarnem zboża, które ksiądz kazał Marianowi wsypywać do zawiązanych sznurkiem na dole spodni, do kopy ziemniaków, które Marian miał przysypać odrobiną ziemi, a wieczorem po nie przyjść, do kuchni, gdzie pracowała matka, żeby zmyślnie otworzyć drutem kłódkę magazynku i podebrać cebulę oraz ziarna kukurydzy. Po każdej takiej wyprawie Marian się najadał, a kiedy męczyły go wyrzuty sumienia, ksiądz Marek go uspokajał, mówiąc: „Dręczenie człowieka jest złem. Głodzenie bliźniego jest złem. Pan Bóg cię stworzył na życie, nie na śmierć. Musisz przetrwać, będziesz tu jeszcze potrzebny na ziemi”.

I Marian dał się przekonać – nie tylko w snach, lecz także naprawdę.

## Rozdział 11

*Ozierenowski lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, zima 1940 roku*

– Wśród mroźnej, sowieckiej nocy...

To nie był śpiew, tylko raczej zawodzenie.

– Tak nie można, trzeba tak, jakby było jak zawsze.

Anna nie rozpoznała, czyj to głos. Ostatnio mniej uwagi zwracała na otoczenie – praca, po pracy jakieś dodatkowe zajęcia, cokolwiek, co wpadło w ręce i dawało nadzieję na zdobycie jedzenia, a potem do baraku, do Krzysia, Eli, Zosi i Marii.

– *Wśród nocnej ciszy...*

Teraz słowa były takie, jak trzeba. Mieli tylko nadzieję, że nikt nie przyjdzie ich uciszać. Stosunek Sowietów do religii był znany – u nich wierzyło się tylko w wodzów.

Maria. Po śmierci męża szwagierka zupełnie się w sobie zapadła. Ani cięża, ani żałoba, ani smutek nie były usprawiedliwieniem dla niepracowania – zwłaszcza że naczałstwo wykazało się „rozumieniem i dobrą wolą” („Skąd oni w ogóle znają takie pojęcia jak «dobra wola»?” – zastanawiała się Anna) i przeniosło je do pracy w bańszczycy. Brak smrodu i odchodów to była wielka ulga, ale nie równoważyła ciężaru wody noszonej na koromysłach i siekiery, którą trzeba było rąbać

szczapy do kotła. Maria nie mogła tego robić, bo straciłaby dziecko, a dziecko było jedyną nitką, która trzymała ją po tej stronie życia.

Felczer kilka razy dał zwolnienie, ale nie na ciążę, bo ta według niego była oznaką zdrowia. „Chore kobiety nie mogą być w ciąży”, powiedział. Raz więc wysmarował Marii gardło gencjaną, „skoro boli”, raz przepisał pokrzywę na kaszel, a raz uwierzył w gorączkę. I tyle; Anna miała wrażenie, że i tak zrobił więcej, niż mógł, przecież nikt go nie najął do tego, żeby ludzi odciągał od pracy.

Anna pracowała więc za dwie, żyjąc nadzieją, że gdy Maria urodzi, to miłość do dziecka tchnie w nią wolę życia. To było źródło siły i dla Anny. Musiała żyć, bo miała dzieci; Zosia dałaby sobie bez niej radę, ale Ela nie. No i był Krzyś. Krzyś, który coraz bardziej upodabniał się do Franciszka. Franciszek zaś... Jej wielka, wielka miłość. Dla niego też z całych sił chciała przetrwać ten koszmar. Przed kilkoma dniami przysłała poczta. Kiedy usłyszała swoje nazwisko, aż się zatrzęsła z emocji. Po tylu miesiącach wreszcie wiadomość ze Starobielska. Euforia szybko minęła, bo wrócił do niej jej list, z adnotacją na kopercie, że „adresat wyjechał”. Dokąd – ani słowa, ale ona się tego dowie, zresztą Franciszek również na pewno szuka sposobu, by ją odnaleźć. Skoro udało się im połączyć wiele lat temu, to nic ich teraz nie rozdzieli, żadni podli, głupi Sowieci. Zosia także się nie doczekała listu od Janka, tu żadnej odpowiedzi nie było, nawet takiej. Dostała za to kartkę od swojej przyjaciółki Gabrysi; teraz też już przesiedlonej. „Kto tam w tej naszej Polsce został? – pomyślała Anna. – Jak ten kraj ma żyć, skoro tych, co go tworzyli intelektem, wywieźli, a tych, co ciężką pracą rąk – przekabacą albo siłą zmuszą do posłuszeństwa?”

– Mamo, chodź, dzielimy się opłatkiem.

Zosia podeszła do niej, wytrącając ją z tych myśli.

Anna spojrzała na szwagierkę – Maria chyba zasnęła, więc na razie nie będzie jej budzić, przed północą może, żeby się życzeniami wymienić. Jeśli życzenia mają moc sprawczą, to wigilijny wieczór jest najlepszy na ich wypowiedanie.

Podeszły z Zosią do stołu ustawionego na środku baraku. Były na nim biały, nierzeczywiście w tej scenografii wyglądający obrus oraz składkowe potrawy: suchary, zupa z przefermentowanej pszenicy, krupnik jaglany i mleko z ziemniakami. Każdy dał, co mógł dać – produkty jeszcze z polskich zapasów, tu poczynione specjalnie na tę okazję zakupy, część swojego prowiantu przysługującego w pracy.

Obok stołu stała choinka, to znaczy bezlistna brzoźowa witka, taka, jakich używali w łaźni, ozdobiona gwiazdką wyklejoną z gazety i dwoma guzikami z orzełkiem. I jeszcze dwie kokardki ze strzępków harcerskiej krajki.

To wszystko zorganizowała Wanda Walicka, która stała się nieformalną kierowniczką ich baraku. To ona mobilizowała, wspierała, konsolidowała ludzi. Teraz wysłała Elę i kilkoro dzieci, żeby wypatrywały gwiazdki na niebie, czyli znaku do rozpoczęcia wieczerzy. Niebo było jednak lito granatowe, zasłonięte chmurami. Nieprzychylne, obce niebo. Do tego padał śnieg. Na razie tyle co zwykle, ale ponoć czekała ich śnieżycyca.

Zaczęli więc bez gwiazdki.

– O Panie, który jesteś w niebie, błagamy Ciebie z obcych stron o Twoją opiekę i pomocną dłoń – zaczęła pani Walicka.

– Boże, zbaw Polskę! – odpowiedzieli jej chórem.

A potem zaczęli śpiewać kolędy, takie jak w domu, już nie zmieniając słów. Gdy dośpiewali do fragmentu „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą, w dobrych radach, w dobrym bycie

wspieraj jej siłę Swą siłą. Dom nasz i majątność całą, i wszystkie wioski z miastami...”, kilka osób zaczęło płakać.

Anna też poczuła łzy pod powiekami, ale uporała się z nimi. Nie będzie smucić dzieci, nie w taki dzień. Sowietci odbierali im wszystko, ale świąt im się nie uda – nie zmagą polskiego, twardego ducha. Polacy mają wiarę i Boga, coś, czego tu się nie uznaje, co tutaj się wyszydza.

Zaczęli składać sobie życzenia. Jakże inne od tych zeszłorocznych, a co dopiero od tych, co w Wigilię trzydziestego ósmego padały! Życzyli sobie otrzymania miejsca w jakiegokolwiek ziemiance, powrotów mężów i ojców z więzień i łagrów lub choćby najskromniejszej wiadomości o ich życiu. Zdrowia i niezłomności.

Niedawno obcy sobie jeszcze ludzie, teraz czuli się w swoim towarzystwie, jakby byli rodziną. Nawet różne drobne zatargi, które się zdarzały, bo przecież żyli tu na kupie i w nerwach, teraz nie miały znaczenia.

Dzieci, jak to dzieci, bawiły się, biegały, trochę były zdezorientowane jedzeniem – napełnione talerze, dostępne na wyciągnięcie ręki – to się tutaj nie zdarzało.

Anna nagle poczuła się strasznie zmęczona. Usiadła przy stole i oparła brodę na rękę. Gdyby ktoś jej dwa lata temu powiedział, jak będzie wyglądało jej życie, nie uwierzyłaby mu. No, w to, że Sowietci długo bez wojny nie wytrzymają, to tak. Jak ona ich nienawidziła! Teraz też się zatrzęsała. Sowiet, kacap! Taka pogardliwa nazwa występowała we *Wspomnieniach niebieskiego mundurka*, które czytała, będąc młodą dziewczyną. Nie знаła tego wyrazu, panna Malicka, ich nauczycielka, jej objaśniła. I dodała, że to z języków orientalnych, gdzie słowo to oznacza rzeźnika. W tamtej chwili Anna nie bardzo pojęła powiązanie, tylko tyle, że wydźwięk nieprzyjemny. Niedługo potem mieli na lekcji historii temat o konfederatach barskich. Beniowski, Pułaski, Czarnocki – byli



przetrzymywani w Kazaniu. I wtedy się dowiedziała, że gdy wojska Iwana Groźnego najechały Kazań, to car dał Tatarom słowo, że jeśli się poddadzą bez walki, zostaną oszczędzeni. Mieszkańcy się poddali, a potem zostali bestialsko zamordowani. „Rzeźnicy”, wróciło to do niej.

Tacy byli. Prymitywni i dzicy. Och, oczywiście, mieli i wspaniałą sztukę, i dobrych ludzi, ale to dla Anny były pojedyncze przypadki w bagnie złego. Mieli mnóstwo kacapów i bardzo mało tych, o których można powiedzieć: człowiek. W całości byli krajem, który nie miał wśród innych żadnego wsparcia – albo wrogowie, albo sługusy – takie można było mieć stosunki ze Związkiem Sowieckim.

Nic a nic nie można im było wierzyć – ani w przeszłości, ani teraz, ani gdy lata przeminą. Nie wiadomo, co im jeszcze tu zgotują. I...

Zadręczała się tym – czy można im wierzyć co do Franciszka? To, co brała za dobrą monetę, mogło przecież oznaczać coś innego – że wciąż ich przetrzymują, tylko chcą odciąć od rodziny i kraju. Albo przenieśli ich w jakieś gorsze miejsce i nie zezwalają na korespondencję stamtąd. „Och, dość, nie zniosę tego!” – skarciła się w myślach. Musi wierzyć, bez tego polegnie. A to by znaczyło, że przegrała z nimi, z tymi kacapami. Nie da im takiej satysfakcji!

– Patrz, Krzyś wygląda jak bałwanek! – usłyszała głos Eli.

Rzeczywiście, jej syn przypominał teraz bałwana – osypany śniegiem, z czerwonym nosem.

– Przeziębicie się, co wy w ogóle robicie? – Załamała nad nim ręce.

– Bawiliśmy się, nie gniewaj się, mamusiu.

Ela zmarkotniała, a Annie zrobiło się głupio, że tak wybuchła. Przecież to były dzieci, tylko dzieci. Nie można ich wciąż musztrować, wszystkiego im bronić, skoro i tak los ociosał je z dzieciństwa.

– Tak pięknie pada... Coraz bardziej, więcej, szybciej, już prawie świata nie widać spod tego śniegu, i to jest właśnie piękne, bo można sobie wyobrazić, że to na przykład Niemowicze, a my z Zosią biegamy przed domem, podczas gdy tata ubiera choinkę, a ty czuwasz nad tym, żeby stół wyglądał pięknie, i jest zimno, też jest zimno, ale w środku ciepło, i my wiemy, że za chwilę tam wejdziemy, i będzie pachniało drewnem, świerkiem, barszczem, makiem i... i... i...

Ela się rozpląkała. Krzyś patrzył na siostrę z niepewną miną. Niewiele zrozumiał, tyle, że mama jest niezadowolona, i stąd ta bura. Jego broda też zaczęła się trząść.

– Och, kochanie...! – Annie zrobiło się przykro.

Przytuliła córkę, a drugą ręką strzepywała śnieg z Krzysia.

– Chodźcie do pieca, ogrzejecie się trochę.

Ela i Krzyś, wciąż jeszcze zmarznięci i roztrzęsieni, usiedli na derce koło paleniska.

– Zobaczcie, co dla was mam. – Anna sięgnęła do kieszeni spódnicy.

– Ale to opłatek... – Ela spojrzała na nią niepewnie.

– Dziś. Bo dziś się tak umówiliśmy.

Anna trzymała w dłoni dwa spore kawałki czarnego pieczywa. Rzeczywiście, dziś się nim dzielili, bo skąd tu opłatek – pergaminowy, jasny, lekki? Tylko ten ciężki, kwaskowaty, smolisty chleb mieli. Jakie przeciwieństwo! Ale chleb to było dobro, tym dobrem się wymieniali. Anna schowała dwie kromki dla nich, na później. One już nie były symboliczne, były najprawdziwsze i miały zapełnić ich brzuchy.

– No, jedzcie. Trzeba mieć siły.

Dzieci wzięły od niej chleb i zaczęły go żuć. Porcja jedzenia i ciepło sprawiły, że po niespełna półgodzinie oboje zasnęli.

Anna delikatnie przeniosła Krzysia do swojego łóżka, ale Elę musiała troszkę rozbudzić, żeby sama doszła do swojej pryczy.

Opatuliła ich i z westchnieniem opadła na swoje posłanie. Zasnęłyby tak i obudziła się dopiero w lepszych czasach.

I wtedy usłyszała jęk.

Obróciła się. Nie, nie przesłyszała się, ktoś jęczał. Anna знаła taki żałośliwy, ludzko-zwierzęcy odgłos cierpienia.

Wstała i podeszła do pryczy, na której leżała Maria. Sądziła, że szwagierka śpi, a tymczasem ona...

– Mokro, ja chyba... – Maria spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem.

...rodziła.

– Ale to już teraz?

Anna ni to zapytała, ni stwierdziła. Poczowała ściskanie za mostkiem. Głupio powiedziała, bo jakie znaczenie miało to, co wcześniej Maria sobie wyliczyła? Skoro natura tak postanowiła, to tak będzie.

– Och....! – Maria krzyknęła.

– Zaraz ci pomogę.

Mimo że zabrzmiało to w miarę spokojnie, Anna była przerażona. Sama trzy razy wydała dzieci na świat, pomogła przy tym porodzie w pociągu, ale teraz chodziło o Marię i jej dziecko. Wyczekane, wymodlone.

„Będzie dobrze”, zaklęła rzeczywistość.

– Poproszę panią Walicką o pomoc. I...

Chciała powiedzieć, że Zosię też poprosi, ale przypomniała sobie wzrok starszej córki w pociągu, gdy tamta kobieta rodziła. To było dla

jej córki ogromne obciążenie, trauma – takie widoki: naturalistyczne, krwawe, pełne fizjologii. Z drugiej jednak strony – sama przecież nie da rady, potrzebuje wsparcia.

Rozejrzała się; nie zauważyła Zosi – może wyszła do ubikacji?

– Pani Wando – podeszła do Walickiej – pomoc potrzebna. Moja szwagierka zaczęła rodzić. Czy mogłaby pani spróbować wezwać felczera?

– Teraz? Okropnie sypie, nie poślą po niego, przecież to prawie dziesięć kilometrów. Może rano...

– Ale to nie może czekać.

– Pierworódka?

– Tak, ale to już daleko poszło.

Walicka kiwnęła głową. Nie była gadatliwa, była za to konkretna.

– Zagotuję wodę. Damy sobie radę we dwie.

– A może jakieś prześcieradło? Ja nie mam nic czystego, nie przygotowałam... – Anna bezradnie rozłożyła ręce.

– Weźmy to. – Walicka spojrzała na pusty stół przykryty tym świątecznym obrusem. – Wykrochmalony jeszcze w domu. Gorącą parą wygładzony. Czekał na święta. Na cud narodzin.

Anna przedziwnie się czuła, tnąc świąteczny obrus, ale nie było się nad czym namyślać – z pryczy Marii dochodziły coraz głośniejsze jęki.

Stawiły się przy niej obie.

Wanda Walicka zaczęła obmacywać brzuch Marii. Minę miała skupioną i poważną. Sama była matką czterech synów; spokojną i zapewne doświadczoną osobą.

– No, kochana, musisz pomóc swojemu dziecku wyjść na świat. Przecież trzeba. – Popatrzyła na Marię.

– Nie mogę. Nie mogę...! – Maria skuliła się z bólu.

Była spocona i blada.

– Musi urodzić szybko, bo źle będzie z nią lub z dzieckiem – Walicka szepnęła Annie na ucho.

– No ale jak my możemy w tym pomóc?

Anna poczuła, że z nerwów ma mokre plecy.

– Szwagierka musi być pólleżąca, może nawet w takim jakby przykucu. Wtedy siły grawitacji nam pomogą. No, zobaczymy, czy to coś da, bo czasu nie ma na namysły. Pani z tyłu, od pleców, proszę ją podeprzeć, ja od przodu.

Maria wiła się i jęczała. Kiedy Anna jej dotknęła, krzyknęła:

– Nie chcę, chcę umrzeć!

– Ależ skąd. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Ty i twoje dziecko, na które tak czekałaś, będziecie razem. – Anna starała się, by głos jej nie drżał.

– Nie chcę, nie chcę, nie chcę...! – Maria zapętlila się w tym skowycie. Rzuciła się jak zwierzę schwyte w pułapkę.

– Przyj, przyj, kochana!

W miarę spokojna do tej pory Wanda Walicka teraz zaczęła się denerwować.

– Jeszcze trochę wysiłku i już. No!

Anna mocno trzymała plecy Marii.

– Och...! – Powietrze przeszył głośny krzyk.

– Tak, jeszcze raz.

– Ooooch...!

– Prawie, już prawie...!

„Boże, dopomóż, Boże, dopomóż, Boże...” – Anna zaczęła się obsesyjnie modlić. – Niech to się skończy, niech to się skończy...”

– Aaaaa!

I cisza, jak nożem uciął. Anna się przecknęła. Serce jej waliło, dygotała. Maria, wciąż przez nią obejmowana, zwiotczała – zrobiła się jak szmaciana lalka. Jeszcze dyszała, drżała, ale już ciszej. Już nie jak zwierzę, które walczy, a zwierzę, które...

Cisza. Gardło Anny przeszył gwałtowny skurcz, który przemknął niżej, przez klatkę piersiową do brzucha, ściskając jej żołądek. Potem spłynął w dół, pozbawiając ją władzy nad nogami.

Było cicho, a przecież powinny usłyszeć płacz dziecka. Głośny, łapczywy wysięk, żeby złapać pierwszy haust powietrza.

– Mamo...?

Anna podniosła wzrok i ujrzała Zosię. Zarumienioną, osypaną śniegiem.

– Byłam w...

Zosia umilkła, bo dojrzała to samo co Anna – Wandę Walicką trzymającą w ramionach biały pakunek. Kobieta spojrzała na nie, ale nic nie powiedziała. W jej oczach widać jednak było łzy.

Anna wciąż podtrzymywała Marię. Nie mogła się ruszyć, nie chciała się ruszyć. Zosia zsunęła z ramion ośnieżoną chustę, potem futrzany kubrak i zrobiła kilka kroków w stronę Walickiej. Kobieta pokręciła głową, wykonała półobrót, żeby cofnąć ramiona i uniemożliwić Zosi zajrzenie do becika, ale na próżno.

Zosia się nachyliła, zupełnie jakby była maszyną, nie człowiekiem, i wyciągnęła rękę po bet.

Anna chciała krzyknąć, coś zrobić, lecz ogarnął ją paraliż.

Walicka oddała zawiniątko. Oparła się o ścianę i zaczęła bezgłośnie szlochać.

Zosia stała, trzymając w rękach to nowo narodzone życie, w którego intencji odmawiała tyle modlitw. Tak wyczekiwane, z miłością noszone pod sercem. Drobne ciało, taki większy bochen chleba. Kształtna główka, delikatne, ciemne włosy, małe usteczka. Oczy w nie wiadomo jakim kolorze, bo przykrywały je powieki. Zosia pomyślała, że to piękna dziewczynka, prawdziwy cud.

Harmonię ideału psuł tylko czerwony ślad na szyi; na białej skórze widniała czerwona pręga, zupełnie jakby ktoś zacisnął na niej sznur.

– Moje dziecko... – Maria się ocknęła. – Chcę moje dziecko...

Nikt jej nie odpowiedział. Walicka trzymała rękę na mostku, próbując uspokoić szamoczące się serce. Anna szukała słów, którymi mogłaby się odezwać, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zosia podeszła do stryjenki na sztywnych nogach i wyciągnęła w jej stronę rękę z betem. Milcząco podała jej zawiniątko i nagle jakby odzyskała siły – rzuciła się pędem do drzwi, szarpnęła je i wyskoczyła w mrok.

Po chwili wewnątrz baraku wypełnił dziki, szaleńczy krzyk Marii.

## Rozdział 12

*Furmanowka, wiosna 1941 roku*

Zawsze mu się wydawało, że powietrza nie widać. Oddycha się nim, jest się przez nie otoczonym, ono jest wszędzie, ale przezroczyste. Tutaj było inaczej.

Zmrużył oczy i otworzył je jeszcze raz. I znowu to samo – tam, gdzie wcześniej była musztardowa gładkość, bezkres równy jak deska kuchenna, na której matka lepiała pierogi i wałkowała ciasta, teraz coś się ruszało. Nie rozróżniał jeszcze kształtów, ale to chyba byli jacyś jeźdźcy. Husaria...? Wyglądali trochę jak ci skrzydlaci najeźdźcy pod Chocimiem na rysunku, który pokazywał mu pan Kuryłko. Hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz postanowił się spotkać z napastnikiem na otwartym polu. Wyprowadził z obozu sześć chorągwi jazdy polsko-litewskiej, po czym cztery z nich, czyli sześćset koni, uformował w szyku, który zaczął natarcie na Turków. Cóż to była za szarża! Husaria rozbiła wroga w pył mimo jego piętnastokrotnej przewagi!

Jan chłonał te opowieści; pan Kuryłko, jak to solidny nauczyciel, chciał go przeprowadzić przez cały kurs historii. Taka myśl mu przyświecała, gdy zabierał go na różne wycieczki lub przyjeżdżał w odwiedziny do rodziców. Jan słuchał, bo nie chciał robić mu przykrości, przecież naprawdę go lubił, ale szczerze mówiąc, zdarzało się, że uciekał myślami podczas tych wykładów. Wyjątek stanowiły te



lekcje, w trakcie których omawiali bitwy, walki, wojny. Wtedy cała uwaga Jana była skupiona na tym, co mówił pan Kuryłko. Jak to rozpałało jego wyobraźnię! A gdy były to zwycięskie dla Polski walki, to już w ogóle! Jan wyobrażał sobie siebie w takiej roli – wygranego. Więc tam, pod Chocimiem, to była wielka sprawa, podobno młody sułtan Osman II płakał, kiedy widział pole bitwy. Tylko skąd tu husaria?

Przetarł ręką czoło. Ależ był gorący! Powinien się czegoś napić, ale dokoła nie wymacał żadnego naczynia z wodą.

Husaria się zbliżała. Cóż to był za widok! Skrzydła trzepoczące na wietrze, w tym piekącym słońcu wyglądające jak ze złota, skłębione powietrze, pył wznoszony końskimi kopytami. Byli coraz bliżej, więc powinien się odsunąć, bo go zmiażdżą.

Próbował się podnieść, ale brakowało mu sił, zupełnie jakby jego ciało nie należało do niego.

– Ja swój! – To miał być krzyk, ale wyszło z tego tylko słabe piśnięcie. A może nawet wcale tego nie powiedział, bo jakby słowa miały się przecisnąć przez to wyschnięte gardło?

Zaraz go zdeptają, zginie tu, choć zwycięstwo jest tak blisko. Zamknął oczy i poczuł pierwsze uderzenie. Spodziewał się bardzo mocnego, miażdżącego bólu, który szybko pozbawi go świadomości, czy wręcz tego, że za chwilę umrze, tymczasem poczuł ukłucie. Jedno, drugie, kolejne. Jakby ktoś wbijał w niego szpilki. Otworzył oczy.

Dokoła niego toczyły się kule – jak duże piłki. Suche, dość lekkie, najeżone kolcami.

Nic z tego nie rozumiał. Skąd tu te kule? Skąd on tutaj? Przecież ostatnie chwile, które pamiętał, to...

Wydawało mu się, że słyszy jakieś głosy. Próbował się obrócić w stronę, z której, jak mu się wydawało, dobiegały, ale nie dał rady.

Poczuł dotknięcie ramienia, głos, teraz na pewno, coś mówił, ale Jan nic nie rozumiał.

A potem wszystko ucichło.

– Jaśku, synku...

Ten głos był znajomy. Cichy, ale z bliska. Taki jakby szept. Zapłakany...?

– Boże, no nareszcie!

Teraz zabrzmiał głośniej.

Jan próbował otworzyć oczy, ale wydawało mu się, że jego powieki zrobiły się bardzo ciężkie. A jednak się udało.

Mama. Nachylała się nad nim mama. Obraz wciąż był zamazany, ale tym razem to nie była wina tego dziwnego powietrza, które przybierało jakieś cudaczne kształty. Zresztą nie był już w tym samym miejscu co wtedy, tylko w domu, to znaczy w ich pokoju, który od kilku miesięcy podnajmowali od właścicieli glinianej chałupy.

– Jak ja? Co się...? – chciał zapytać, ale język miał jeszcze kołkowaty.

Przypomniał sobie, że było mu strasznie gorąco. Teraz nie. Słońca w ogóle tu nie było, a on miał na głowie coś wilgotnego. Dotknął tego ręką – to był mokry materiał.

– Okłady ci robię. Próbowałam cię napoić, ale udało mi się tylko zwilżyć ci usta. Wymiotowałeś, coś mówiłeś, jak w malignie. Gdyby cię nie znaleźli... – Matce załamał się głos.

– Kto...? – zapytał.

– No ci z twojej brygady. Podobno gdzieś odszedłeś od tego poletka, co je obrabialiście. Nie zjawiałeś się przy barakowozie na zupeł, później

też cię nie widzieli, a pod koniec dnia zaczęli cię szukać. Gdyby nie to, gdyby uznali, że po prostu uciekłeś, to już byśmy nie rozmawiali.

– Ale jak bym uciekł? Dokąd?

– Zwyczajnie. Nie wiem. W każdym razie poszli cię szukać, a ty leżałaś prawie dwa kilometry dalej, na ziemi, jak bez życia. Z udarem od słońca, pokłuty.

„Pokłuty”. To pamiętał. Zamiast końskich kopyt – jakby igły wbijające się w jego ciało.

– Co to było?

– Pieriekotipolje – usłyszał.

Z trudem odwrócił się w stronę tego głosu. Należał do Kazacha, jednego z ich brygady, który przyszedł tu zobaczyć, w jakim stanie jest Jan.

– Taka roślina. – To znowu była matka. – Wiatr porywa ją, ciągnie przez step, ona się szczepia z innymi i leci dalej. Pokłuty cię, bo tam leżałeś. Straciłeś chyba przytomność. Pamiętasz, co się stało? Dlaczego się tak oddaliłeś od innych?

Jan powoli sobie przypominał. Pojechał razem z brygadą polową – innymi osadnikami, barakowozem, z zapasem wody i jedzenia, do pracy na stepie. Tam, wbrew pozorom, było jakieś życie. Kilkanaście kilometrów od ich Furmanowki znajdowały się pola uprawne – wytyczone na tej suchej, bezkresnej ziemi. Mieli tam być ze dwa tygodnie, stacjonując na miejscu, i wrócić dopiero po skończonej robocie. Jan dostał przydział, to pojechał. Już po pierwszych trzech dniach miał dosyć – słońce grzało niemiłosiernie, nie było się gdzie schronić przed upałem, a oni pracowali od wczesnego ranka do zmroku. Zdecydowanie wolał wcześniejsze prace, tutaj, na miejscu.

Na jesieni udało im się uzyskać zgodę naczalstwa na przeniesienie się z ich sowchozu do kołchoźniczej wsi Furmanowka. Sami musieli zorganizować sobie przejazd i znaleźć miejsce do spania. Ubożsi o prześcieradło, obrus, garnek i dwie haftowane chustki znaleźli się w miejscu, do którego dekadę wcześniej przesiedlono Niemców nadwożańskich. Okazało się, że ta wspólnota losu przymusowych wygnańców dobrze wpływała na relacje wcześniejszych i nowych osadników. Jan wraz z matką mieszkali w przybudówce domu ich gospodarzy. Mieli wreszcie swój ką, dwie prycze do spania, dwa drewniane pieńki do siedzenia i jeden kawałek drewna, który służył im za stół. Problem, ten sam co wcześniej, polegał na tym, że nie bardzo mieli co kłaść na tym stole. W Furmanowce inaczej rozliczano się za pracę. Kołchoźnikom zapisywano każdy dzień pracy na rzecz rolniczej spółdzielni. Po zbiorach księgowy podliczał, ile dobra musi pójść na rzecz państwa, a resztę dzielił między pracowników zgodnie z liczbą wypracowanych dniówek. Ta wypłata też była w naturze; był to zupełnie inny system niż w sowchozie. Jego wadą było to, że „pensja” była w zasadzie wypłacana raz w roku; na jej poczet dawano zaliczki – również w naturze, ogólnie nie obracano tu gotówką – kubek ziarna raz na kilka dni, trochę mleka, codziennie, i co tam się trafiło. Wcześniejsi osadnicy mieli poletka, które obrabiali, więc byli w trochę lepszej sytuacji niż nowo przybyli, którzy musieli sobie radzić bez takiego wspomagania.

Ogólnie jednak głód był demokratyczny – doznawali go wszyscy. I wszyscy szukali sposobów na przetrwanie. Kazachowie, niemieccy osadnicy czy Polacy – bez różnicy. Panowała solidarność, nikt na nikogo nie donosił. „Zdobycze” były skromne – trochę ziaren owsa podebranych koniom, dwa ziemniaki wykopane z pola, mleko uszczknięte z bańki, gdy dojarka na chwilę odwróciła wzrok. Alina Biały nie chciała w tym uczestniczyć; nie z powodów moralnych, tylko dlatego, że się bała, że

mimo wszystko ktoś z naczalstwa ją przyuważy i zostanie zesłana do obozu pracy. Jan lepiej sobie radził z taką „aprowizacją”; kiedy udało mu się poczynić skromne zapasy, okazało się, że został przydzielony do brygady polowej – wywozili ich w step, gdzie były poletka uprawne, na kilka tygodni zbiorów. Praca ciężka, ale plusem było to, że razem z nimi jechały zapasy jedzenia i kucharka. Trzy porcje dziennie i brak konieczności martwienia się o kolejny posiłek cieszyły. Jan nie przewidział jednak, jak szkodliwie zadziała na niego palące słońce – upał mącił myśli, odbierał siły. Odwodnił się, zbyt oddalił od grupy i zasnął gdzieś w stepie. Miał szczęście, że go odratowali.

– Za potrzebą. A potem chciałem na chwilę tylko usiąść, odpocząć, bo mi żołądek zrajbowowało i...

Coś mu zaszkodziło, pewnie ta zupa, którą gotowano rano, więc po kilku godzinach kisa. Niby już się uodpornił na te nowe warunki, ale widać jeszcze nie do końca.

Matka pokiwała głową.

– Spróbuj się podnieść, bo musisz pić. Trzeba uzupełnić to, co z ciebie wyciekło i wyparowało. Masz, to woda. Z dwiema kostkami cukru.

Jan zauważył, że mama jest dumna z tej zdobyczy.

– Jeszcze mam cztery, potem ci rozpuszczę. – Poglaskała syna po policzku. – No masz.

Jan wziął kubek drżącą ręką. Od tak dawna nie miał w ustach nic słodkiego, że ten napój wydał mu się jak miód. Albo jak makagigi – jak te w cukierni na Suwalskiej, gdzie widział Zosię. Poczuł nagłą tęsknotę; gdzie jego ukochana mogła teraz być? Jak ją namierzyć? Postanowił nawet...

– Dziękować Bogu, że tak to się skończyło. – Alina Biały otarła ręką oczy. – Modliłam się do Najświętszej Pani, żeby się za nami wstawiła.

Jan przyjrzał się matce.

– Nami? – nie zrozumiał.

– Ach, no! – Matka pokręciła głową. – Jak ty byłeś w stepie, to zjawiała się tu komisja.

– Jaka komisja?

Matka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, oficjalna jakaś, nie z tutejszych, tylko wyżej. Chcieli, żebyśmy pokwitowali odbiór paszportów.

– Paszportów? To przecież... – Jan aż się podniósł.

– Sowieckich. Radzieckich. Ichnich. Mówili, że my teraz ich obywatele i musimy wziąć ich paszporty.

– I co? – Jan znowu opadł na poduszkę. Słabo mu się zrobiło.

– I nic. Nie wzięłam. Dobrze, że nie tylko do nas przyszli, a do większej grupy. Bo może gdybym była sama, tobym nie dała rady im odmówić. Najpierw informowali, potem namawiali, że korzyści będą, a na koniec straszili. Nic nie wskórali, ale wrócą. Nie odpuszczają.

Jan pokiwał głową. Fakt, oni nie byli z tych, co odpuszczają.

– A, i jeszcze list przyszedł.

– Od ojca? – Jan znowu się uniósł.

– Nie. Ze... No, tam, dokąd pisałeś, do ojca Zosi.

Jan poczuł pulsowanie krwi w okolicy szyi. To była jego ostatnia deska ratunku; stracili z Zosią kontakt, bo ich też wywieźli, Bóg jeden wie dokąd. Jan odważył się więc napisać do jej ojca. Wiedział, że

zabrano go do Starobielska, do obozu na terenie klasztoru, tyle mu Zosia powiedziała. Dokładniejszego adresu nie znał, ale ile tam może być klasztorów, gdzie przetrzymuje się polskich jeńców? Napisał więc, z nadzieją, że porucznik Polakowski poinformuje go, gdzie teraz przebywa jego najstarsza córka. Wiedział, że nie jest wymarzonym absztyfikantem, ale przecież była wojna, tyle się wydarzyło, stare sprawy nie powinny mieć takiego znaczenia. I jak widać dobrze, że się ośmielił, bo...

– O, zobacz. – Matka podniosła się z pieńka, podeszła do wbitego w ścianę gwoźdźca, na którym wisiał jej płaszcz. Wyciągnęła z kieszeni list i podała go synowi.

Jan spojrzał na kopertę i poznał swój charakter pisma. Odesłali mu list. Zauważył, że jakaś ręka poczyniła dopisek „adresat nieizwiestien”. „Niemożliwe – pomyślał – przecież Polakowski napisał ze Starobielska do żony, ona mu odpisała, na pewno, Zosia o tym opowiadała. No to jak «adresat nieznany»?”.

– Może on już walczy? Może ich zwolnili, a może on sam uciekł? Tyle czasu upłynęło. – Alina Biały popatrzyła na syna. – My to przynajmniej tu pracujemy, więc jakiś pożytek z nas mają. A ich by trzymali, nie mając z nich żadnej korzyści, przez półtora roku...? Na pewno nie.

Jan w myślach przyznał matce słusność. Zrobiło mu się smutno, że ten pomysł odnalezienia Zosi nie wypalił. Trzeba będzie coś innego wymyślić. I spróbować się stąd wyrwać. Raz się udało trochę odmienić zesłańczy los, może szczęście znowu im dopisze. I tak kawałek po kawałku, coraz bliżej granicy i domu.

Jan też by chciał walczyć za ojczyznę – ale kiedy i jak to będzie możliwe?

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, wiosna 1941 roku*

Stały i patrzyły przed siebie.

– To chyba nie tutaj – odezwała się w końcu Ela. – Przecież tu nic nie ma.

Zosia spojrzała na mamę; wiedziała, że nie pomyliły miejsca, dobrze pamiętała tamtą zimową noc. Śniegu było dużo, tak dużo, że z wystawionego tutaj wcześniej stryjowi krzyża wystawała tylko połowa albo i mniej. Nie było szans, żeby wykopać dół, więc odgarnęły tyle śniegu, ile się dało, i w taką „pieczarę” włożyły trumnę.

Właściwie to dwie trumny. „Matrioszki”, pomyślała wtedy Zosia; miała takie w Niemowiczach, dostała je kiedyś, dawno temu, od wujka Waclawa, czyli pana Zajkowskiego, przyjaciela taty. Bardzo ładne i takie zabawne – w jednej dużej drewnianej lali mniejsza. W tej kolejna i tak siedem razy, aż do całkiem malutkiej, która już się nie otwierała. Wszystkie były kolorowe, każda inna. Zosia lubiła się nimi bawić, potem tę zabawę powtarzała Ela.

Zatem to były takie trochę matrioszki. Jedna mała trumna, jak nieduża skrzynka na wino, a w niej dziewczynka. Ta, którą Zosia wzięła na ręce, bo nie zrozumiała, że tego życia już nie było – skończyło się, nim się zaczęło. Wpatrywała się w swoją kuzynkę i nie mogła pojąć, co widzi, bo przecież to był dzień narodzin. Poród w Wigilię Bożego Narodzenia. Właściwie to już było Boże Narodzenie, bo minęła północ. Bóg się urodził i urodziła się Helenka. Tak ją ochrzciła mama. Pani Walicka nie chciała, twierdziła, że to grzech, bo przecież nie można tego przeprowadzić wobec kogoś, kto nie żyje, ale to nie odwiodło mamy od zrobienia na czole Helenki znaku krzyża. „Wyobrażasz sobie zostawić ją bez tego gestu? Bez znaku? Bez imienia?” – mama opowiadała to Zosi następnego dnia rano. Była blada, zmęczona i trochę bezradna, ponieważ Helenka wciąż była z nimi, a dokładniej – na posłaniu ciotki. Zosia



wybiegła, bo rozpacz tak mocno w nią uderzyła, że nie wiedziała, co ma zrobić – jedynym sensownym rozwiązaniem wydawała się ucieczka, żeby nie patrzeć, nie słyszeć, nie czuć. Daleko jednak nie można było uciec – jak?, dokąd? W ten mróz, w tę śnieżycę, w tę beznadzieję? Wróciła więc roztrzęsiona, przemarznięta. Matka podała jej gorącej wody do picia i zaprowadziła do łóżka. Nic nie mówiła, po prostu ją opatulila derką i siedziała przy niej, trzymając za rękę. W tle słychać było ciche zawodzenie ciotki – takie jak popiskiwanie ich suki Renklody, która mieszkała z nimi w Sarnach, kiedy były małe. Tata przyniósł ją kiedyś Zosi – malutki, brązowy kłębuszek. To była jamniczka – urocza, kochana, choć strasznie uparta. Nie chciała się słuchać, często uciekała, tropiąc lisa lub inne zwierzę, i nie dawało się jej wtedy odwołać. Wracała sama, kiedy chciała, zdyszana, sponiewierana. Miała twardy charakter, ale do czasu. Bo gdy podrosła, zaczęła się dziwnie zachowywać – popiskiwać, kręcić po domu, drobić wokół posłania, mościć się w nim. Raz zabrała lalkę Eli i położyła ją w swoim legowisku, jakby to było jej szczenię. Ani matka, ani ojciec się na nią wtedy nie złościł, tylko współczująco patrzyli. A potem Renkloda zachorowała – zrobiła się gruba, jakby miała w brzuchu szczeniaki, ale to nie były małe pieski, tylko guz. Kiedy Zosia podrosła, mama powiedziała jej, że Renkloda wyobrażała sobie, że ma młode, tylko nigdzie nie mogła ich znaleźć, dlatego tak chodziła po domu i „płakała”. A potem nawet zaciągnęła szmacianą lalkę Eli na legowisko i próbowała ją karmić. „Uroiła to sobie. To taka choroba”. Ojciec zgodził się, żeby dać jej te prawdziwe szczeniaki; w domu jej pilnowano, by nie połączyła się z jakimś kundlem, ale ojciec miał ją zabrać, „kiedy przyjdzie czas”, do miejsca, z którego do nich przyjechała i gdzie były inne jamniki, żeby mogła mieć małe, rasowe jamniczki. I nawet się zgodził, że Zosia będzie mogła sobie zostawić jednego szczeniaczka. Nic z tego nie wyszło, bo nim nadeszła ta chwila, Renkloda zachorowała. A później umarła.

Ciotka więc wydawała z siebie takie dźwięki jak jej kochana jamniczka. Zosię przeszły wtedy dwie okropne myśli – pierwsze było to wspomnienie właśnie, drugie – co by było, gdyby ciotka też niebawem...

Umarła. I tak się stało. Wcześniej jednak mama musiała zabrać Helenkę, bo przecież nie mogło być tak, że to martwe ciało będzie leżało obok stryjenki. Mama starała się być delikatna, także ze względu na Elę i Krzysia. W końcu kiedy ciotka, umęczona, zasnęła, mama zabrała bet i poszła poprosić o pomoc w przygotowaniu trumny. Po kilku godzinach była gotowa – niewiele większa od pudła na kapelusze. Mama włożyła tam trochę słomy i potem Helenkę. Nie można było iść jej pochować, bo rozpętała się okropna śnieżycyca, więc mama położyła trumienkę na parapecie za oknem i przywiązała ją sznurem, żeby jej nie zwiało. Stryjenka tymczasem dostała wysokiej gorączki, bo wdało się zakażenie, i przez kilka dni balansowała na granicy życia i śmierci, aż w końcu szala przechyliła się na tę ciemną stronę i stryjenka umarła. Mama załatwiła drugą trumnę i właśnie w tę włożyła to drewniane pudełko z Helenką. „Żeby były razem”, powiedziała.

Z taką „matrioszkową” trumną pojechały we trzy na teren przy cmentarzu, gdzie leżał już stryj. Przestało padać, naczalstwo zgodziło się dać wóz i łopaty. Potem, gdy tylko ziemia trochę rozmarzła, Zosia i Anna wróciły, by zakopać trumnę. Tym razem w dołku nie pojawiła się woda. Uformowały drugi kopczyk, na krzyżu wyryły nożem drugie inicjały.

– Tu, na pewno tu.

Anna Polakowska wpatrywała się w to samo miejsce u podnóża cmentarza co Zosia. Teraz nie wyróżniało się niczym – nie było widać wypukłości terenu kryjących trumny, nie było widać krzyża. W tym miejscu była woda – bagno poszerzyło swoje granice, zagarniając

miejsce ostatniego odpoczynku Helenki, Marii i Czesława Polakowskich.

– Zassało ich. Wciągnęło.

Zosia spojrzała na matkę; na jej twarzy malowała się rozpacz. Była przekonana, że mama zaraz się rozpłaczę, bo ukryła twarz w dłoniach. Tak się jednak nie stało; kiedy Anna Polakowska opuściła ręce, Zosia zauważyła, że twarz mamy wygląda zupełnie inaczej – nie jak osoby, która za chwilę ma się rozpaść na tysiące kawałeczków, tylko jak kogoś, kto jest tak zdeterminowany, że dopnie swego.

– Wracamy – powiedziała Anna.

Głos miała twardy i spokojny.

W baraku się przebrała i włożyła swoją najlepszą bluzkę. Stojąc przed małym lustrem, poprawiła upięcie włosów, odrobiną sadzy przyczerniła brwi, a usta posmarowała skórką od buraka. Odwróciła się do córek. Stała przed nimi wyprostowana i zdeterminowana.

– Idę – powiedziała.

– Dokąd? – zapytała Ela.

– Załatwić nam przeniesienie z tego piekła.

Anna wiedziała, że matka już kilka razy była u oficera NKWD, żeby się wystarać o przeprowadzkę w lepsze miejsce; dwóm rodzinom z ich baraku to się udało, ale Anna Polakowska nie miała wątpliwości, że to dzięki wysokiej łapówce. Ich zasoby były już mocno uszczuplone, a przecież nie mogły się wyzbyć wszystkiego, bo nie wiadomo, co je czekało. Zamiast więc zgody na zmianę miejsca zamieszkania były przesłuchania; Anna wracała z nich rozbita.

Teraz jednak wyglądała na tak zdeterminowaną, jakby była w stanie pokonać swojego największego wroga – Sowietów.

## Rozdział 13

*Furmanowka i okolice, wiosna 1941 roku*

– Ciesz się, że nie przywieźli cię tu zimą. – Mirek zakaszłał i oparł się o kilof.

Kiedy Jan go poznał, Mirek miał pełną twarz, postawną sylwetkę, a w oczach buńczuczność. Mimo że byli równolatkami, wyglądał wtedy doroślejsz niż Jan i był kopią swojego ojca – pewnego siebie mężczyzny. Mirek i jego rodzina pierwsi opuścili sowchoz i od tamtej pory Jan go nie widział. Był jednak przekonany, że wykuli sobie lepszy los niż on z matką. Okazało się jednak, że nie. Mirek spędził ostatnie tygodnie na kuciu kilofem zamarznętej ziemi, bo Sowieci, przygotowując się do wydobycia ropy naftowej, zapomnieli o zbiorniku wodnym potrzebnym do obsługi wieży wiertniczej i lokomotywy. Dlatego mimo czterdziestostopniowych mrozów robotnicy musieli łomami i młotami wyrąbywać twardą jak skała ziemię. Teraz Mirek wyglądał nie dojrzałe, ale po prostu starzej od Janka, a jego buta gdzieś się ulotniła.

– Ja się nawet ucieszyłem, bo tym razem mieli dawać i chleb, i ruble. Pomyślałem, że może robota będzie cięższa, ale przynajmniej się trochę odkuję, bo w naszej wsi bieda taka, że aż piszczalo. I znikąd nadziei, że jakaś poprawa będzie.

Znowu się rozkaszłał tak, że aż zgiął się wpół. Jan nie znał się na medycynie, ale to był bardzo niepokojący kaszel, wydobywający się z głębi znękanych płuc.

– Zresztą wyboru nie dawali. Idziesz w nieftierazwiedku, i tyle.

Jan pokiwał głową. Jego też nikt nie pytał o chęć zmiany miejsca pracy. Mirka przywieźli na stałe, Jan codziennie szedł tutaj z Furmanowki – siedem kilometrów w jedną stronę.

– A pamiętasz Antka, tego knypcia?

Jan kiwnął głową.

– No... – Mirek westchnął i odpluł flegmę. – On tu także trafił, ale nie na długo. Najpierw sobie rękę załatwił, znaczy dłoń. Bo podnosił łopatę nie za uchwyt, a z drugiej strony, za metal. Bez rękawiczki. To był chyba najzimniejszy dzień. Chwila i skóra mu przymarzła do tego metalu. To było tak, jakbyś się oparzył, tylko na odwrót. Tak czy owak, dłoń miał taką, jakby naprawdę wrzątek na nią wylał. Nikt się nie przejął, musiał pracować. Jakoś sobie obwiązał rękę i dalej zasuwał. Tyle że wdało się zakażenie, źle się poczuł i gdzieś sobie przysiadł. I czy zmęczony, czy gorączka, może przysnął, a może go zmogło, zresztą bez różnicy – chodziło o to, że się nie ruszał i odmroził sobie stopy. Jedną to już wiem, że trzeba było odciąć, drugą może uda się uratować. No, tak to jest. Więc my nie mamy tak źle.

I znowu zaniósł się kaszlem. Tym razem na cienkiej warstwie śniegu oprócz flegmy pojawiło się również kilka kropli krwi.

– Dobra, bo zaraz zaczną gonić. – Mirek sięgnął po swój kilof. – A ty gdzie masz swój? – Dopiero teraz zauważył, że Jan nie dostał żadnego narzędzia.

– Ja do innej pracy tu trafiłem. Robotnikiem transportu zostałem.

Zrobiło mu się przykro. Przecież prawie wcale nie znał Mirka. Antka też nie, a jednak wiadomość o kalectwie tego chłopaczka go zasmuciła. Do niego jednak Jan od razu poczuł sympatię, a do Mirka – cóż, nie. Teraz jednak pomyślał sobie, jak wielka jest w tym wszystkim rola przypadku – od początku do końca. Kiedy i w jaki wagon cię wsadzili, gdzie ten wagon odczepili, do jakiej wsi czy miasta powieźli, a tam – na jakich ludzi trafiłeś. Rosyjska, a raczej: sowiecka ruletka.

– No, no, no... – Obecny Mirek na chwilę stał się tym dawnym Mirkiem, a na jego twarzy pojawił się kpiący uśmiech. – To ty robotnik wykwalifikowany, a ja po prostu zwykły tłuć.

– Tak jakoś... – Jan chciał coś powiedzieć, ale Mirek mu przerwał.

– Nie tłumacz się – syknął. – Cicha woda, co? Niby taki uczciwy i prawy, a jak co do czego przyjdzie, to się potrafisz ustawić. – Splunął i się odwrócił. A potem z sapnięciem podniósł kilof i powoli odszedł.

Jan chwilę jeszcze postął, patrząc na oddalającą się zgarbioną sylwetkę.

Prawda, jemu też nikt nie dał wyboru, ale był przekonany, że to kara za odmowę przyjęcia sowieckiego paszportu. Matka również tak uważała; kiedy się dowiedziała, że przenoszą jej syna z prac polowych do tej niefitierazwiedki, popłakała się. „Na zmarnowanie”, szlochała. Jan jakoś się trzymał, ale także się bał. Półtorej godziny marszu tam, drugie półtorej z powrotem, na miejscu dwanaście godzin harówki... Założył, że jeśli przeżyje przednówek, to może jakoś się wzmocni latem i jesienią, na tyle, by przetrwać zimę. Tymczasem pierwszego dnia pomagał przy jakichś pomiarach geodezyjnych, drugiego trafił do magazynu ze sprzętem, a trzeciego dostał informację, że został przydzielony do transportu. Nikogo o nic nie prosił, nikogo tu nie znał, więc...

„To podstęp – pomyślał teraz, czekając na znak, że ma już wyruszyć do Połudina. – Tak pewnie działają – nie karą, a nagrodą, bo przecież tym stała się ta praca – chcą mnie zachęcić do wzięcia tego ich paszportu”.

Raz jeszcze spojrzął na śnieg upstrzony flegmą i krwią Mirka.

„Nigdy – postanowi – Wolę tu umrzeć, niż zostać ruskim”.

I od razu przed oczami stanęła mu Zosia. Nie chciałby odejść z tego świata, nie wiedząc, jakie to uczucie dotknąć dłonią jej nagiego ciała.

Rosyjska ruletka. Może szczęście mu dopisze i jeszcze się spotkają? Oboje Polacy, w wolnej ojczyźnie?

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, wiosna 1941 roku*

„Prędzej swój nos zobaczysz, nim uda ci się stąd wyjechać”.

– Swołocz! – Anna wciąż jeszcze się trzęsa na wspomnienie spotkania z oficerem NKWD.

Ze złością po raz kolejny wzięła zamach i łupnęła w pień; szczapy poleciały na boki. Sporo już narąbała drewna, starczyłoby w bańszczycy na dziś i na jutro, ale ona musiała jakoś wyrzucić z siebie tę złość.

– Swołocz! – syknęła znowu. – Dzicz, prostactwo i chamstwo!

Szczapy padały na ziemię.

W końcu poczuła, że już nie ma siły, że już więcej nie da rady. Odłożyła siekierę i usiadła, opierając się plecami o drewnianą ścianę łaźni. Ziemia była jeszcze zimna, nie zdążyła się do końca rozmrozić, więc Anna się podniosła, bo nie chciała złapać przeziębienia od tego chłodu. Przysunęła sobie pień i znowu usiadła. Deski bańszczycy zdążyły się już nagrzać od słońca; docisnęła do nich plecy. Przymknęła oczy; pachniało drzewnie, ziemiście, tak czysto. Już dawno nie czuła

takiego zapachu – tu wszystko było brudne, zbrukane, duszące i okropne: niedomywane ciała, rozgniatane pluskwy, źle utrzymywana ubikacja, niewietrzone pomieszczenia, cuchnące oddechy, za rzadko prane ubrania. A teraz jakby to wszystko zniknęło, a do niej docierał tylko czysty powiew. Zupełnie jak w domu, jak w Niemowiczach. Jeszcze mocniej zacisnęła powieki; nie sądziła, że zapachy można zapamiętywać w taki sposób, że człowiek sobie o nich pomyśli, a one się zjawiają, jak prawdziwe. Krążą dokoła nosa, pobudzają wspomnienia. Woń jej perfum, konwaliowa – lżejsza, lub piżmowa – cięższa, nuta wody kolońskiej Franciszka przemieszana z zapachem tytoniu, zapach świeżo wypranej pościeli, róż kwitnących w gazonie przed domem, zapach tej pięknej łąki, na której...

Teraz zacisnęła też dłonie. Jak ten dzikus, dla niepoznaki tylko ubrany w mundur, który miał sugerować, że jest kimś cywilizowanym, mógł pomyśleć, że ona się zgodzi na coś takiego? Owszem, umalowała się, włożyła najlepsze ubrania, ale nie po to, by go zachęcać, jak jakaś latawica czy prostytutka. Chciała po prostu wyglądać nie gorzej niż on, żeby nie ustawić się w pozycji żebraczki w łachmanach, a on to zrozumiał opacznie. Anna, bez względu na to, co by miała na grzbiecie, zawsze będzie tą samą dumną panią Polakowską, a on – kacapem, od którego trzeba się trzymać jak najdalej. Czy on, oni naprawdę myślą, że są lepsi od Polaków? Przecież wysłali tam tych swoich, pożał się Boże, żołnierzy, których ściągnęli z najdalszych, najdzikszych zakątków Związku Sowieckiego i którzy patrzyli na ich dom jak na pałac z bajki. „Do pięt nam nie dorastacie. I nie dorośnięcie, nigdy – pomyślała – choćbyście sobie pięć zegarków na rękę założyli i włożyli nasze najlepsze ubrania”.

Złość opadła, Anna poczuła się nagle strasznie zmęczona. Zaczęła płakać, a lży jakby zmyły te wszystkie dobre, wspomnieniowe zapachy. I wiosny też już nie czuła – tylko woń palonego drewna.



Wstała i przetrąła twarz brzegiem chusty. Nie podda się. Nie uległa teraz, nie ulegnie i następnym razem. Jeśli go nie zmęczy ciągłymi prośbami, to wymyśli coś innego. On tego nie zrozumie, bo on nie wie, co to niezłomność, ale Anna mu pokaże.

W ostateczności właśnie tą cechą się wygrywa. Niezłomnością i uporem.

I miłością.

Sowieci nie mają z nią szans.

\* \* \*

### *Osiedle Żołymbet, wiosna 1941 roku*

– Bo głupi był, i tyle. – Waldek wzruszył ramionami.

Marian nic nie odpowiedział. Siedzieli razem przy pustym już stole. Zjedli kolację, ale to było tylko w pamięci, bo żołądek jakby nie odnotował tego faktu. Jedzenia było teraz więcej, bo zarobki się poprawiły, a i w „sztuce przetrwania” Marian się wyćwiczył, ale i tak często chodził głodny. A co do tego, co Waldek powiedział... Marianowi żal było Jarka Karczuka, ich kolegi z kopalni, tak samo jak żal mu było wcześniej matki. To znaczy matki żałował mocniej, bo to matka. Po prostu w obu wypadkach myślał, że źle się stało, że oni nie milczeli, że wyjawili to, co myślą. Nigdy by natomiast nie powiedział o nich, a tym bardziej o matce, że jest głupia. Ona, oni...

– Głupi – powtórzył Waldek. – Po kiego on się wyrywał? I jeszcze te jego „prawdy”! Prawdy, też mi coś! – prychnął.

– No a nie prawda? – Marian był zmęczony.

Dziesięciogodzinne szychty mocno dawały mu w kość, choć chyba bardziej dręczył go głód. Opanował już różne sposoby „podbierania” jedzenia, nawet z kuchni, mimo błagalnych prośb matki, by tego nie

robił. Matka wciąż nie doszła do siebie po tamtym areszcie, choć, jak się teraz okazało, kara jej wymierzona była bardzo łagodna. No ale matka poszła do swojego kierownika, jemu zgłosiła swoje żale, a Karczuk o swojej krzywdzie mówił nie tylko prorabowi, który go nadzorował, lecz także kolegom – sowieckim robotnikom. No to jak to mogło się dobrze skończyć?

– Prawda, prawda – przedrzeźnił go Waldek. – Może i prawda, ale czyja? „U was, bolszewików, robotnik jest wykorzystywany w barbarzyński sposób! Normy przeolbrzymione, naczelstwo nieuczciwie rozdziela zapłatę. Coś takiego nie do pomyslenia w Polsce. Zresztą to, co wam mówią o warunkach życia robotników na Zachodzie, to kłamstwa. Nic się nie zgadza”. – Waldek zmienił ton głosu, cytując Karczuka. – Oni nam tu pogadanki o pięknym, sowieckim świecie – teraz znowu brzmiał jak on – a ten im takie podkopy robi, jak kret. Ech! – Machnął ręką.

– A co z nim tak właściwie...?

– Właściwie to dostał dziesięć lat więzienia. „Wrag naroda i wreditiel”. Auć! – Waldek syknął i dotknął dużą, spracowaną dłoń policzka. – Boli, skurwysyn. – Skrzywił się i cmoknął. – W domu tobym sobie spirytusu zafasował, a tu... – Zaczął grzebać w kieszeni, po czym wyciągnął z niej kawałek drewnianka, który służył mu za wykałaczkę. Wsunął ją do ust i zaczął nią majdrować w zębie.

„Dziesięć lat”, pomyślał Marian i żołądek mu się ścisnął. To tak, jakby więcej niż połowę swojego dotychczasowego życia spędził za kratami. Dziesięć lat to było niewyobrażalnie długo. On tu był kilka miesięcy, a miał wrażenie, że ten czas się rozciągał w wieczność.

– To zupełnie niesprawiedliwe – powiedział.

Waldek czujnie się rozejrzył.

– Ty uważaj, co mówisz. – Nachylił się do Mariana.  
– Przecież my tu sami. – Marian też powiódł wzrokiem po baraku.  
– Sami, nie sami. Nigdy nie wiesz. – Waldek wzruszył ramionami i się wyprostował. – Ale słyszałeś, co mówi nasz prorab?

Marian kiwnął głową.

– Zakroj mordy i siadzi patiszej.

Rzeczywiście, Waldek miał talent do naśladowania głosów innych ludzi.

– No, wreszcie! – Waldek cmoknął, odchrząknął i wypluł to, co mu utkwiło w zębie. – Z gęby tylko takie rzeczy wyrzucaj, jak chcesz jeszcze kiedyś dom zobaczyć.

Wstał, poklepał go po plecach i odszedł.

Marian został przy stole. Nie tylko czuł się źle na ciele, lecz także głowa coraz częściej odmawiała mu współpracy. Za dużo się do niej dobijało – i to sprzecznych rzeczy.

Udało mu się dotrzeć do tego momentu, bo się dopasował do warunków. Pracował, ile kazali, w trudzie. Płacili i karmili słabo, więc musiał sobie jakoś radzić. Matka tylko na początku mówiła „kradzież”, potem już nie. „Nie rób tego”, „Uważaj przy tym”, „Żebyśmy musieli takie rzeczy”. Marian też tylko przez pierwszy czas miał z „tym” problem, głównie dlatego, że przypominał mu się ojciec i ta jego prośba o to, żeby Marian wybierał dobro. Początkowo to „dobro” było takie jak w Polsce, to znaczy Marian nie musiał się zastanawiać, co jest dobre, a co złe, jakby miał to zapisane w środku. Później jednak sytuacja się zmieniła – głód rozregulował Mariana: jego brzuch, wnętrze i głowę.

Życie jest „dobrem”, więc trzeba wybierać życie. Żeby żyć, trzeba jeść. Jak nie dają jeść, trzeba samemu brać. Złe to nie jest, bo służy

życiu. Dalej trzeba się dopasować do innych warunków – znaczy żyć tak jak miejscowi, a oni też kradli i kombinowali. Można swoje uważać, ale trzeba to zachować dla siebie. To właśnie mówił matce. Tak czuł. Z drugiej strony to powodowało natłok myśli i złe samopoczucie. Człowiek, który cały czas ma poczucie krzywdy, którego cały czas ściska w środku, bo myśli jedno, a musi robić drugie, okropnie się męczy, ponieważ między jednym a drugim powinna być zgoda.

Marian widział, jak to się kończyło – matka, pan Karczuk. Nie, to bez sensu. W takich chwilach wolałby być jak ci młodzi Sowieci, którzy z entuzjazmem słuchali tego, co naczelnik opowiadał na zebraniach – że razem budują nowy ład, że dzięki nim rośnie silny i wielki Związek Radziecki. Starsi, choć nigdy tego nie usłyszał, mieli mniejszy entuzjazm. Kazachowie zaś przyswoili umiejętność życia w rozkroku – robili, czego się od nich oczekiwało, ale widać, a czasem i słychać było, że swoje wiedzą.

I komu było lepiej, a komu gorzej...?

Oczywiście, że młodzi Sowieci wierzyli w rzeczy, które nie były prawdą. Jeden taki, Marian nie pamiętał imienia, twierdził na przykład, że u nich jest najlepiej na świecie, bo jak ktoś uczciwie pracuje, to może dostać sześćset gramów pieczywa, co się nigdzie poza ich krajem nie zdarza, bo tam ludzie dostają mniej. Święcie w to wierzył. Nie miał racji, to fakt. Ale w czym innym... Że w Polsce był zły podział pracy, bo byli ludzie, zwłaszcza „pany”, którzy nie byli pracą objęci. I wiadomo, że w takiej sytuacji, kiedy jedni nie pracują, to inni muszą pracować więcej. Czy to jest sprawiedliwe? Ojciec Mariana choćby sobie ręce po łokcie urobił, nigdy by nie miał więcej niż ten swój sad. A Marian? Chciał się stamtąd wyrwać, bo zginanie pleców i ziemia za paznokciami to nie były jego marzenia, ale dokąd by mu się udało dojść? Nie najlepiej się urodził, a to, gdzie się człowiek pojawił na świecie – w chałupie czy w kamienicy albo dworku – miało znaczenie, bo tam też się zwykle

umierało. Jedni harowali, drudzy mieli wszystko podane na tacy, no to czy to było sprawiedliwe? Czy może lepsza urawniłowka? W tym systemie również jeszcze wiele wad, ale może podstawa słuszniejsza, przynajmniej tak w teorii? Choć z drugiej strony – żyje się naprawdę, nie w teorii, więc...

– Synek, co tobie? – Usłyszał głos matki i poczuł jej dłoń na ramieniu.

– Nic – odpowiedział. – Głowa tylko boli.

– Może ty chory? – Matka dotknęła dłonią jego czoła. – Jakby cieplejsza. Boli cię coś jeszcze?

– Nie – zaprzeczył. – To zmęczenie.

Zaburczało mu w brzuchu tak, że matka usłyszała.

– Bo ty w takim wieku, że tobie więcej potrzeba. Młodyś, te lata mają swoje prawa. I jeszcze taka ciężka robota. – Matka pokręciła głową ze smutkiem. – Matko Boska, wstaw się za nami, żebyśmy życie zakończyli na polskiej ziemi, nie tutaj. A Ty, Boże, wysłuchaj naszych próśb, nie daj nam tu umrzeć z choroby czy głodu.

Marianowi przypomniawszy scenkę, którą widział na początku roku. Sowietom bardzo obchodziło to święto, bo przecież nie mają religijnych świąt. Zobaczył więc grupkę dzieci, która wracała ze stołówki do swojej ochronki. Ich opiekunka zatrzymała się kawałek przed wejściem do budynku i zapytała: „Kto by chciał konfiety?”. Te dzieci, które zrozumiały, co to konfiety, bardzo się ożywiły. Tym, które nie znały jeszcze tego słowa, bo skąd niby je miały znać, skoro nigdy czegoś takiego tu nie widziały, opiekunka go pokazała – wyciągnęła z kieszeni płaszcza. W papierku, szeleszczący – polski czy sowiecki – cukierek to cukierek. Wszędzie dzieci pragną go tak samo. Zresztą Mariana aż skręciło w środku, ślina mu sama popłynęła w gardło, kiedy przypomniawszy

sobie, jak smakuje cukierek. Teraz już wszystkie dzieci się ożywiły, zaczęły podnosić rączki. Opiekunka się uśmiechnęła i powiedziała: „To skażicie, niech Bog da konfieta”. I spojrzała do góry, w niebo. Dzieci – za nią. Wróciła wzrokiem na dół. „Bog nie dał. A skażicie: «Niech Stalin da konfieta». No, skażicie”. Spojrzała wyczekująco. Kiloro dzieci się odezwało, a ona, ucieszona, otworzyła drzwi do budynku, sięgnęła ręką za framugę i wyciągnęła papierową torebkę, z której wysypała cukierki. „No i Stalin dał konfiety”. Dzieci porozdziawiały buzie, a potem zaczęły piszczeć i się przepychać, żeby dostać trochę tego dobra.

Następnego dnia rano, zanim Marian jeszcze poszedł do kopalni, matka na chwilę wróciła do domu, niby to po agrafkę, bo guzik w spódnicy jej się urwał. Nachyliła się nad leżącym jeszcze Marianem i wcisnęła mu do ręki kawałek zatłuszczonego papieru, gdzie były cztery nieduże wędzone rybki, i bez słowa wyszła z baraku.

Mimo lęku odważyła się na kradzież. I chociaż się modliła, to sama postanowiła zadbać o to, by nie pomarli z głodu.

\* \* \*

### *Furmanowka i okolice, wiosna 1941 roku*

Odsunął od siebie szklankę. Z trudem przełknął napój. Herbata, a właściwie rozwodniony, gorzki czaj, pachnący jaśminem. Ci, którzy jedli tu przed nim, musieli pić odiekołon – najpopularniejszy zamiennik alkoholu. Różane, jaśminowe czy trudne do bliższego rozpoznania, ale ewidentnie kwiatowe – wód kolońskich było tu pod dostatkiem. Trudno się pozbyć takiego zapachu, zwłaszcza gdy się nie myje szklanek, tylko je wyciera, jak wszystko zresztą – talerze i sztućce też.

Jan siedział w budynku restauracji w Pietropawłowsku, dokąd tym razem przywiódł go etat transportowca. To był jego pierwszy wyjazd tak daleko, do tej pory wysyłano go w bliżej położone miejsca.

Poznał już specyfikę zaopatrzenia w tym kraju i, jak wszystko zresztą, wprawiała ona w osłupienie. Transport odbywał się drogą kolejową; w poszczególnych wagonach były różne przedmioty i produkty, nikt jednak nie zawracał sobie głowy tym, żeby na kolejnych stacjach wyjmować po trochę towaru z każdego wagonu, różnicując dostawę do danego miasta. Nie, nie bawiono się tu w takie szczegóły – po prostu odczepiano ostatni wagon i pociąg ruszał dalej. Dlatego w jednym mieście można było kupić tylko kaszę, w innym – wyłącznie gwoździe, a w Pietropawłowsku – odiekołn. Ludzie stali w długich kolejkach po inne produkty, a woda kolońska była dostępna od ręki. Prawie wszyscy nią pachnieli, choć nie używali jej w przeznaczony do tego sposób. Pili ją – z poczucia beznadziei, z nawyku, dla znieczulenia albo rozrywki. Związek Sowiecki żył w oparach alkoholu.

Jan przetarł łyżkę rękawem koszuli; robił to tylko dla oczu, bo przecież w ten sposób nie usunie dotyku (i zarazków) wszystkich poprzednich ust i języków, które posilały się w Restaurację nr 2. Szczy z mięsami, czyli kapuśniak z mięsem. Kapusta się zgadzała, w roli mięsa występowały przede wszystkim kości. Mimo wszystko – była to gorąca zupa, czyli luksus. Do tego chleb, który dostawał w przydziale i nosił ze sobą, bo w żadnej restauracji nie można go było kupić.

I wciąż czekał, co z tej jego nowej pracy wyniknie. Warunki się nie pogarszały, a nawet mógłby powiedzieć, że są trochę lepsze, bo porcje żywnościowe mu zwiększyli, i to bez jego próśb, co było czymś zupełnie niezrozumiałym. To wszystko pewnie miało go rozmiękczyć w kwestii sowieckiego paszportu, ale nikt o tym nie mówił. Padały za to inne słowa, półsłówka może, które, jeśli dobrze rozumiał, sugerowały poprawę losu – nie tylko jego, lecz także wszystkich przesiedleńców, i też ani wzmianki o nowym obywatelstwie.

Jedno jeszcze się działo – zarówno z Furmanowki, jak i z nieftierazwiedki oraz okolicznych wsi zaczęli zniknąć młodzi

mężczyźni i chłopcy, a na ich miejsce przywożono starych albo kobiety z dziećmi. Jan pamiętał, że tak samo było w Polsce latem trzydziestego dziewiątego, w oczekiwaniu na wojnę. Czego tu oczekiwano?

Próbował się czegoś dowiedzieć, ale nawet w Pietropawłowsku, stolicznym mieście przecież, niczego nie usłyszał ani nie wyczytał.

Dojadł zimną już kapustę i wyszedł na ulicę. Zaraz będą odjeżdżać, więc powinien być już na peronie. Do dworca na szczęście było stąd bardzo blisko, dwie–trzy minuty.

Mimo wiosny otaczała go szarość – brudne, odrapane tynki budynków, nierówne kocie łby, gazety w oknach zamiast firanek, bure, zgarbione sylwetki w jednakowych waciakach, że trudno rozróżnić wiek albo płeć.

Był już na wysokości dworca, gdy nagle przystanął. Po drugiej stronie ulicy zobaczył dziewczynę, którą kiedyś już chyba widział. Tamta miała jasnopszeniczne warkocze, gęste, piękne, roześmianą buzię i oczy w kolorze nieba. U tej, na którą teraz patrzył, zgadzały się tylko oczy, choć i one straciły blask, ale przecież rysy twarzy nie mogły go zmylić.

Poczuł, że serce mu wali. Szybkim krokiem przeciął ulicę.

– Panna... – czy dobrze pamiętał? Inne dziewczęta niewiele go obchodziły, liczyła się tylko ta jedna – ...Gabrysia?

Spojrzała na niego zdumiona, ale kiwnęła głową.

– Dzień dobry! – Wyciągnął ku niej rękę. – Ja jestem Jan Biały, pani mnie pewnie nie pamięta, ale poznaliśmy się w cukierni w Lidzie, gdzie była pani razem z koleżankami i...

– I Zosią. Pamiętam, oczywiście.



Jan znowu poczuł przyspieszony przepływ krwi przez tętnice. Może ta dziewczyna...

– Wy wtedy rozmawialiście. – Spojrzała na Janka. Kiwnął głową. – Ona pisała potem do mnie o panu. Że myśli, tęskni, tylko znaleźć nie może, bo wojna was rozdzieliła.

– No to już znalazła.

Boże, co za traf, co za opatrność! W Janie już dawno nie było takiego ożywienia. To był wyjątkowy moment na tle tej sowiecko-wojennej beznadziei.

Nagły syk lokomotywy przypomniał mu, że jego pociąg zaraz odjedzie. Spiał się.

– Przepraszam, ale ja muszę... – Pokazał ręką w kierunku dworca. – Czy pani pamięta może jej adres?

Nie chciał być niekulturalny, powinien najpierw zapytać, co u niej, jak sobie radzi, ale nie miał czasu, nie mógł przecież się spóźnić, potraktowałoby to jak ucieczkę, za co groziłaby mu surowa kara.

Trzy minuty później, gdy wskakiwał na schodki pociągu, trzymał w zaciśniętej i spoconej dłoni kawałek brudnej gazety, podniesionej z bruku, na której miał zapisany przesiedleńczy adres Zosi.

## Rozdział 14

*Furmanowka i okolice, lato 1941 roku*

– Zawtra mnie nie budiet.

Już się niby pożegnali, ale teraz Jurij jeszcze się odwrócił w stronę Janka.

Janek kiwnął głową. Przyjął wiadomość, myślami jednak był już gdzie indziej.

Jurij zaczął powoli odchodzić, ale znowu się zatrzymał i spojrzał na niego. Tym razem przez chwilę milczał, nim się odezwał:

– Wobszcie mnie nie budiet.

– Dlaczego?

Tym razem Janek zareagował. Poprawił pasek w spodniach, który podtrzymywał dodatkową, trzecią kieszeń, doszytą na wysokości pleców. Buteleczka, którą Jura mu dał, trochę go uwierała, ale to nic, ważne, żeby nie wypadła na ziemię i żeby korek nie puścił. Taka ilość oleju napędowego zapewni im kilkanaście, a przy oszczędnym używaniu, co możliwe, bo dzień teraz dłuższy, może i więcej jasnych wieczorów. Mama będzie mogła poszyć, jeszcze ma jakieś ubrania do przerobienia i wymiany na jedzenie, a Janek będzie mógł napisać list do Zosi. Tamten do niej doszedł, odpisała! Kiedy po dwóch miesiącach zobaczył

korrespondencję z jego nazwiskiem, to jakby piorun w niego trafił – tak go to poraziło – radością, oczywiście. Znaleźli się, ona wciąż o nim myślała i tęskniła za nim...

*Kochany Janku,*

*moja radość z powodu Twojego listu jest przeogromna! Nadzieja, że kiedyś się spotkamy, bardzo pomaga żyć, bo sporo smutnych chwil za nami – Stryjostwo i ich Córeczka nie żyją, nasz los trudny, od Taty żadnych informacji, ponoć opuścił Starobielsk, ale nic więcej nie wiemy. Warunki, jakie tu mamy, pewnie znasz. Wierzę, że nadejdzie odmiana, zresztą same się o to staramy, Mama bardzo dzielna.*

*Całuję*

*Twoja Zosia*

Nosił ten list przy sobie, jak jakąś relikwię. Treść znał na pamięć, ale przywoływanie słów to nie było to samo co przejeżdżanie palcem po atramencie układającym się w wyraz „Zosia”. I wyrysowanym obok serduszku.

– Dlaczego? – powtórzył pytanie, bo Jurij milczał.

Przysunął się do niego, ponieważ czuł, że mniejszy dystans może go ośmielić do odpowiedzi. Najwyraźniej to było coś, czego nie mówiło się głośno. Dziwna była ta ich znajomość. Obaj byli młodymi chłopakami, obaj się spotykali przy pracy, choć Jura zajmował się naprawą pojazdów, od furmanek po traktory, stąd zresztą miał olej napędowy, i obaj jakoś odstawali od otaczającej rzeczywistości. Janek, to oczywiste, Jura – mniej, bo w końcu on był u siebie, powinien już nasiąknąć sowieckością, ale jakoś był na nią zaimpregnowany – wewnętrznie, bo pozory trzymał. Trochę rozmawiali, choć zwykle wyglądało to tak, że jeden mówił, drugi słuchał. I na odwrót. Początkowo Jan był ostrożny, ale przekonał się, że

sporo ich łączy z innymi mieszkańcami kołchozu – ciężki los i bieda. Gdy przyjechali do Furmanowki, miejscowi byli podejrzliwi, a najbardziej – Sowieci. Niemieccy osadnicy mniej, to oczywiste, dzielili przecież wspólne doświadczenia. Z upływem tygodni jednak się zżyli. Uczyli się od siebie różnych rzeczy, wspólnie kombinowali, jak przeżyć. Jura zapytał kiedyś Janka, czy ten ma papier. „Cigarety”, wyjaśnił. Tytoń rósł tutaj jak szczaw w Polsce, ale nie było go w co zawijać, bo żadne gazety do nich nie docierały. Janek przywiózł mu więc kiedyś starą gazetę, a kilka dni później w podzięcie dostał pierwszą buteleczkę oleju z traktora. I tak się to toczyło – wymiana na różnych polach i niepisana komitywa.

– Coś się stało?

Janek stał już teraz tak blisko, że jego ramię prawie się stykało z ramieniem Jury.

– W armiju idu.

Jurij wzruszył ramionami, ale jego mina przeczyła tej obojętności. Wyglądał na smutnego.

– W armiju? – Janek powtórzył po nim.

To by się zgadzało, bo już to słyszał jakiś czas temu. Ale do tej pory nie odwołano stąd nikogo, kto by był jakkolwiek wyspecjalizowany w swoim fachu, bo nawet Sowieci zdawali sobie sprawę, że nie każdego pracownika da się ot tak zastąpić. Jeśli więc brali takich jak Jurij, to znaczyło, że...

– Da. Wojennyje uczenija budut.

Janek chciał coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział co. Nie bardzo wierzył w te „ćwiczenia”, to musiało być już zdecydowanie bardziej zaawansowane. Tylko gdzie? Jak? Dlaczego? Co to dla nich, Polaków – tutaj i tam – oznaczało? Co to znaczyło dla Janka, mamy i ojca, z którym

wciąż nie mieli kontaktu? To był krok w stronę czegoś lepszego czy gorszego? Dla Jury na pewno gorszego, zresztą jego mina świadczyła o tym, że ma tego świadomość.

– No to... – zaczął Janek i urwał. – Wsiego haroszego... Szto by my jeszcze kagda uwidielis.

Kulawo to zabrzmiało, bo kulawy był jego rosyjski. Zresztą i po polsku miałyby trudność ze skomentowaniem tej informacji. A raczej – z oddaniem uczuć, jakie w nim wywołała.

Jurij wyciągnął rękę w jego stronę. Janek podał mu swoją. Uścisnęli sobie dłonie. Było ciepło, ale chyba nie aż tak, żeby się pocić, a skóra Jury była wilgotna. Chwilę jeszcze postali, a potem, już bez słowa, odwrócili się i poszli, każdy w swoją stronę.

Janek przez całą drogę powrotną się zastanawiał, gdzie mógłby się czegoś dowiedzieć o tej sowieckiej mobilizacji. W Furmanowce byli zupełnie odcięci od świata. Żadnej prasy, żadnego radia, nic. Był tylko radiowęzeł, przez który sączyli tę swoją propagandę. Każdego dnia opowiadali im o wspaniałym kraju, w którym przyszło im żyć, że będzie jeszcze lepiej, bo wraz z budową komunizmu dobrobyt będzie wzrastał. Te pogadanki i komunikaty były utrzymane w patetycznym tonie, w przeciwieństwie do tekstów o zgniliznie Zachodu. Tak czy owak, krzykaczki nie służyły przekazywaniu informacji. Jemu zaś nie szykowało się żaden dalszy wyjazd, taki jak ten do Pietropawłowska. Znikąd szans na poznanie prawdy.

Zanim jeszcze dotarł do Furmanowki, wydawało mu się, że słyszy jakąś muzykę. Rytmiczne tony, chyba głośne, skoro tu dolatywały, mimo że do wsi miał z półtora kilometra, a dokoła niego nie było żywego ducha.

Przeszedł jeszcze trochę; to zdecydowanie była muzyka. Nadawali ją przez ich radiowęzeł, rozpoznał te szумы i zgrzyty, teraz jednak

skuteczniej tłumione przez dźwięki wojskowego marsza.

„Więc jednak wojna – pomyślał. – I chyba już się zaczęła”.

\* \* \*

### *Osiedle Żołymbet, lato 1941 roku*

Ależ go bolała głowa! I było mu niedobrze. Zaczęło się od kumysu, czyli od sfermentowanego kobylego mleka. Pomyśl przedziwny, ale mleko to mleko, więc struć go nie powinno, poza tym był w gościach, a wtedy odmówić czegoś to straszny afront. Gospodarz daje, trzeba brać i dziękować. Bo jak nie, to co? Iść w step?

Trafiła mu się nowa praca, wyjazdowa. Jego przełożony przyszedł i zakomunikował mu, że zostaje oddelegowany do innego zajęcia, w innym miejscu. Na początku się przestraszył, a potem zdziwił, bo usłyszał, że lesozagatowka. Wyobraził sobie, że go powiozą gdzieś w tajgę, daleko stąd, i skończy tak jak ci, o których opowiadał Waldek.

Okazało się jednak, że nie będzie tak źle, przynajmniej jeśli chodzi o odległość. Trochę ponad siedemdziesiąt kilometrów, niedaleko stacji kolejowej Aleksiejewka. Step, płaskość, jak okiem sięgnął, i nagle las. Sosnowy, równy, w tej scenerii niepasujący, jak dekoracje w przedstawieniu. A jednak był prawdziwy, tyle że ludzką, kazachską ręką sadzony. I teraz przyszedł czas wycinki. Robota ciężka, choć nie gorsza niż w kopalni. Dodatkowym wynagrodzeniem miała być partia darmowego drzewa dla każdego z robotników, więc Marian pojechał, zresztą niespecjalnie miał wybór.

Po kilku dniach pracy przyszedł czas na bliższe zapoznanie z Kazachami. Zaprosili ich na kolację, kto by odmówił jedzenia? Zanim jednak podali placki i mięso, poczęstowali piciem. Kumys smakował źle, jak zepsute mleko doprawione mąką. Nie dość, że był paskudny, to jeszcze Marian dostał go w naczyniu po starszawym Kazachu, który był

mocno niedomyty (co zresztą było tu typowe – Kazachowie nie marnowali wody na mycie, używali jej przede wszystkim do celów gospodarczych), a na domiar złego strzykał na wszystkie strony śliną, też do tej czasy, z której Marian miał wypić swoją porcję. Później podali szampana, a tak przynajmniej zrozumiał. I ten alkohol na wygłodniały żołądek, to mleko i ta ślina – to wszystko okazało się niestrawną mieszanką, którą Marian teraz odchorowywał.

Miał już okazję pić alkohol – kilka razy w domu, ale to były ilości apteczne, na tyle się ojciec zgadzał. Tu, na miejscu, też się raz zdarzyło, kiedy było święto 1 Maja. To dla Sowietów ważny dzień, przygotowania zaczynały się sporo wcześniej, oplakatowywano całe osiedle, było mnóstwo transparentów, a do sklepu trafiały produkty, których ludzie łaknęli: tytoń, wódka i spirytus, bo dzięki nim mogli zapomnieć, w jakich warunkach na co dzień żyją. Zapominali tak skutecznie, że ktoś zaprószył ogień, co na wyschniętym stepie było niezwykle groźne. Dobrze, że znaleźli się i trzeźwi, bo kto by ich uratował?...

Zatem Marian nie chciał zapominać, raczej ciekawość nim powodowała. Kiedy zrealizował kartkę na spirytus i wrócił z nim do domu, postanowił, że trochę spróbuje. Nie czystego, wiedział, że to za mocne, więc rozcieńczył go wodą. Efekt i tak był mocny – po prostu zakręciło mu się w głowie i zasnął. Przespał kilkanaście godzin i tyle. A teraz wcale nie mógł spać, bo wymioty nie dawały, głowa też mu nie pozwalała odpłynąć w nieświadomość.

Do nauk, które pobrał na zesłaniu, doszła kolejna: wiedział już, co to jest kac.

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, lato 1941 roku*

– Powiedział, że się zgodzi. – Anna stała przed Zosią i Elą. Krzyś bawił się z innymi dziećmi przed budynkiem.

– Tak po prostu? – Zosia była podejrzliwa. Wiedziała, ile nerwów i upokorzeń kosztowały mamę te spotkania z oficerem NKWD. Z każdego kolejnego wracała coraz bardziej smutna i pozbawiona nadziei. A teraz taki zwrot. Coś musiało za tym stać.

– Może i w nim się obudził człowiek? – Ela spojrzała najpierw na siostrę, potem na matkę.

Wyrosła ostatnio, wyciągnęła się i schudła, wyglądała znacznie poważniej niż wtedy, gdy zatrzaskiwały się za nimi drzwi wagonu, który wywiózł je tutaj. Była też rozsądniejsza i bardziej odpowiedzialna, ale jedno jej zostało – ufność – lub naiwność, zależy, jak na to spojrzeć. Anna zrobiła się zdeterminowana i jakby opancerzona. Przejęła rolę ojca, rzadziej pozwalała sobie na czułość, ale Zosia wiedziała, że to dlatego, iż trudniej jej było później się pozbierać. Tu trzeba było uważać na zbytne roztkliwianie się nad sobą, na uzalanie się – to osłabiało, a im potrzebna była siła. Zosia zaś... Z jednej strony czuła się związana z matką i rodzeństwem jak nigdy wcześniej, ale z drugiej... Od kiedy dostała list od Janka, jej myśli ciągle krążyły wokół niego. Spotkał Gabrysię – to jak z tym przysłowiem o igle w stogu siana. Przypadek albo, co bardziej do niej przemawiało – zrzącenie opatrności. Byli sobie pisani, jak inaczej można rozumieć takie „przypadki”? Odpisała mu, teraz czekała na list od niego. Jeśli znowu wyjadą...

– Nie, na pewno nie. – Anna Polakowska pokręciła głową. – Myślę, że raczej chodzi o to, że dzieje się coś innego, co go mocno angażuje. Że uprzykrzenie życia Polakom musi teraz zejść na drugi plan. Znowu mnie pytał o waszego ojca. I ja pytałam jego, przecież to oni go zabrali. Jego i wielu innych oficerów. I wiecie, co powiedział? Że oni zbiegli – nie wiadomo dokąd. A jak mu powiedziałam, że wcześniej informowali, że „adresat wyjechał”, to tylko się uśmiechnął. Tak...



Obrzydliwie, to chciała powiedzieć. Nienawidziła tego człowieka, wszystko, co robił, było oślizgłe i brudne, a do tego z tym wulgarnym damsko-męskim podtekstem. Wiele ją kosztowało trzymanie nerwów na wodzy, ale tylko to mogło ją uratować. Gdyby przed wojną jakiś mężczyzna tak się do niej odezwał czy nawet na nią spojrział... Od razu byłaby stanowcza reakcja Franciszka na taki dyshonor.

Zosia i Ela patrzyły na nią. Młodsza się nie domyślała, jak matka chciała dokończyć zdanie, ale starsza – tak. I o nią się Anna bała. Zofia wyrosła na piękną kobietę, widać było, że i ona przyciąga spojrzenia tych kacapów. Anna się cieszyła, gdy Zosia miała gorszy dzień, była bardziej zmęczona, potargana czy spocona – brzydziej wyglądająca po prostu. Tak było bezpieczniej. W tych warunkach kobiecie było łatwiej, jeśli nie przypominała kobiety. Owszem, były tu takie, co korzystały z tego odwiecznego układu – korzyści za wdzięki. „Wdzięki”, jak to brzmiało w tej odstręczającej rzeczywistości! O Elę na razie aż tak się nie obawiała, zresztą Ela nie była piękna – była po prostu ładna. Właśnie tak – zwyczajnie, może nawet trochę plebejsko, Anna aż się zawstydziała tej myśli, ale taka była prawda: w Eli mniej było takiej szlachetnej delikatności, jakieś inne geny doszły tu do głosu. W obecnych czasach – bardzo dobrze.

– Niemiło. Tak niemiło. I jeszcze jedno. Przede mną rozmawiali z Olkiem, tym od Rancewiczów. Słyszałam, bo ciepło, okno otwarte, a ja stałam pod tym oknem, czekając na swoją kolej. To też dla nich typowe – wezwać na jedną godzinę, a potem przetrzymywać, niech petent czeka i kruszeje. Ale – machnęła ręką – nie dam im tej satysfakcji. Więc rozmawiali z tym chłopakiem, maglowali go, jak mu się tu żyje, co myśli o swojej nowej „ojczyźnie” i tak dalej. On oczywiście, że dobrze, dobrze, wszystko dobrze. A wtedy oni do niego, czyby nie chciał do armii wstąpić.

– Do ich armii? – zapytała Zosia.

– Do ich – przytaknęła Anna.

– I co powiedział?

– Wił się jak piskorz, próbował jakoś to obejść. Wezwali go na jutro. Tak czy owak, sprawa jest poważna, bo kiedy on wyszedł, to oni jeszcze między sobą rozmawiali. Jeden z nich chyba coś czytał, bo za płynnie to brzmiało, jakby to był list albo odezwa czy coś takiego. Z tego, co zrozumiałam, było tam o obronie ojczyzny, zwycięstwie robotników i faszystowskich świniach.

– Faszystowskich świniach? – zdziwiła się Zosia. – To Hitler już im się nie podoba? To przecież... – urwała. To by było coś bardzo ważnego, gdyby ich najwięksi wrogowie wzięli się za łby.

– Wiele by zmieniło. Formalnie, ale i praktycznie. Cała ich uwaga i siły poszłyby w tamtą stronę. Jeśli Niemcy naprawdę wypowiedziały im wojnę, to przecież po to, by wygrać. A Sowieci przegrać nie mogą, nie taki wspaniały, wielki kraj – zakpiła. – Zresztą coś jest na rzeczy, przecież dostawy jedzenia są coraz mniejsze, coraz mizerniejsze. A jedzenie przyjeżdża przede wszystkim z południa, więc...

– Więc może tam już się toczą jakieś walki? – dokończyła za nią Zosia.

– Może. Nie powiedzą nam, to się nie dowiemy. A przecież to ważne, bo jeśli naprawdę jest wojna sowiecko-niemiecka, to my teraz teoretycznie jesteśmy sojusznikami, co oznacza, że...

Zosia przypomniała sobie zapał Janka do wojaczki. Ona go przekonywała, żeby był pilniejszy w nauce, bo przecież znała jego historię – relegowany, i to nie za niewinność, a on jej tłumaczył, że edukacja ważna, ale do tego, co jest jego powołaniem, czyli do wojska, nie najważniejsza. Że co innego się tu liczy. „Wiedza w boju zdobywana”, żartował. Więc jeżeli naprawdę wojna, teraz przeciw

jednemu wrogowi, to Janek będzie szukał sposobu, by się włączyć do walki. Albo oni będą chcieli włączyć jego. Przestraszyła się. Kochała Polskę, była prawdziwą patriotką, zresztą córka oficera, ale myśl, że Jankowi mogłoby się coś stać, a ona by nawet nie wiedziała, bo znowu stracą kontakt...

– Martwisz się? – Mama położyła jej rękę na ramieniu.

Zosia lekko się uśmiechnęła. Zesłanie zmieniło ich relację z dziewczęco-matczynej na dorosłą.

Kiwnęła głową.

– Ja też. Ale może właśnie teraz się dowiemy, gdzie on jest.

„Przecież już wiemy”, pomyślała Zosia zdziwiona.

– W końcu to była duża grupa wyższych stopniem wojskowych.

No tak, myślały o różnych mężczyznach. Zosi zrobiło się teraz głupio, że nie ojciec przyszedł jej pierwszy do głowy. Kochała go, bardzo, ale wchodziła w dorosłość, bardziej była zwrócona ku przyszłości, swojej przyszłości, to przecież normalne. Ona, on, ich dzieci. Och, jak bardzo by chciała, żeby już było za pięć lat!

– Spotkamy go, zobaczysz. – Anna się do niej uśmiechnęła.

A Zosia pomyślała, że jeszcze dziś musi napisać do Janka.

\* \* \*

### *Furmanowka i okolice rzeki Tobał, lato 1941 roku*

– I znowu to samo, synku! – Alina Biały ocierała łzy. – To przez to, żeśmy nie wzięli tych paszportów. Teraz się na nas zemszczą, poślą tam, skąd już na pewno nie będzie powrotu.

Jan nie wiedział, co odpowiedzieć. Pocieszył matkę przytuleniem.

Był trzynasty dzień lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Piętnaście miesięcy wcześniej pakowali swój dobytek i opuszczali dom. Teraz znowu ich gdzieś gnali. Znowu zjawił się u nich ten sam enkawudzista, który wcześniej bezskutecznie przekonywał matkę do przyjęcia sowieckiego obywatelstwa. Zebrał ich wszystkich i poinformował, że mają się pakować, bo rano przyjadą po nich ciężarówki.

– Przecież my tu trochę jak w domu już.

Matka szlochała i zawijała ich dobytek w tobołki. Tym razem szło im szybciej, bo ich zapasy się mocno skurczyły. Z produktów spożywczych nie zostało już nic, prehandlowali z połowę innego materialnego dobytku. Przybyło im tylko kilka przedmiotów: piła, zapas mąki kukurydzianej, olej od Jurija.

– Człowiek już tu przywykł, towarzystwo całkiem dobre, a tam, to kto wie, z kim nam przyjdzie mieszkać?

Choć brzmiało to trochę dziwnie, Janek zgadzał się z tą oceną. Byli na zesłaniu, ale jakoś się tu odnaleźli. Człowiek przyzwyczajają się do złego, ale to nie była cała prawda – oboje zorientowali się już, że mogli trafić gorzej. Jan przypomniał sobie rozmowy z Mirkiem. Jeśli to przeniesienie ma być karą, to chyba już po nich. Z drugiej strony jaki Sowieci by mieli w tym cel? Wieźć ich daleko, marnować czas i pieniądze, podczas gdy najważniejsza była teraz przecież wojna.

Bo wojna stała się już faktem. Nie, to było źle powiedziane, taka informacja nigdy się wprost nie pojawiła – po prostu do tych marszowych melodii puszcanych z radiowęzła dołączyły komunikaty o niezwyciężonej Armii Czerwonej. To mogło dawać złudzenie, że Sowieci są w natarciu, ale po jakimś czasie dołączyły wiadomości o zmianie pozycji na upatrzone i skróceniu frontu, a to z pewnością oznaczało jedno – porażkę.

W nocy oboje nie mogli zasnąć. Matka ze zgryzoty, Janek – z emocji. On mimo wszystko wierzył w rozsądek Sowietów – jeżeli mogli wykorzystać ludzi, to po co by mieli ich skazywać na śmierć? Czyste marnotrawstwo, podczas wojny zdecydowanie niewskazane.

Rano załadowali ich na ciężarówki i zawieźli na stację kolejową, tę samą, z której on jeździł w swoje „robocze” trasy. Tym razem jednak czekały na nich wagony towarowe. Matka na ten widok znowu się rozszłochała.

– No nie płacz, zobacz, teraz nikt na nas nie krzyczy. I nie wpychają nas tak do pociągów jak wtedy.

W Janku mimo wszystko był spokój, jeśli szło o to, czy przetrwają. Jego myśli krążyły teraz wokół wojny i ewentualnego uczestnictwa w niej Polaków oraz wokół Zosi. Nie miał jak poinformować jej o wyjeździe, zresztą co by to dało, skoro nowego adresu nikt im nie podał. Napisze do niej już z nowego miejsca.

Ruszyli; to też było inaczej niż przedtem, bo tym razem nie przetrzymywano ich na stacji. Odmienne natomiast było to, że co jakiś czas się zatrzymywali po to, by doczepić kolejne wagony. Nie trwało to jednak długo – po trzech dniach, nad ranem, pociąg stanął, tym razem na dobre.

Gdy otworzyli drzwi, ich oczom ukazał się step. Bezkres ziemi w kolorze ugrowym, dzika natura, nieprzyjazna człowiekowi. Nie było stąd ucieczki. Znajdowały się tu dwie rzeczy stworzone ludzką ręką – duże namioty, które zapewne miały być ich domem, i tory kolejowe, ale inne od tych, którymi ich tutaj dowieziono. I te tory kończyły się nad rzeką – urywały, jak w zabawce, której niecierpliwie dziecko nie dokończyło układać; po prostu porzuciło klocki i sobie poszło.

– Co my tu będziemy robić?

Alina Biały przysłoniła oczy ręką; po kilku dniach w ciemnym wagonie piekły od oślepiającego słońca.

– Pewnie budować te tory.

– A co się stało z tymi, co do tej pory tu pracowali? – zaniepokoiła się. – Dlaczego nagle ich wszystkich zabrakło?

Okazało się, że nie wszystkich. Hałas wywabił mieszkańców namiotów. A właściwie – mieszkanki. Zobaczyli kobiety i dzieci o ciemniejszej karnacji i tatarskich rysach. Nie towarzyszył im żaden mężczyzna.

– Wojna. – Janek od razu zrozumiał.

Na pewno było tak jak z Jurijem, którego powołano do wojska.

– Zabrakło im tu rąk do pracy.

– Ale jak my to mamy...? – Alina bezradnie rozglądała się dokoła. – Przecież tu żadnego sprzętu, a to metal, ciężki, i ile ziemi trzeba będzie przewalić, żeby zrobić nasyp, ja pamiętam, jak u nas w Lidzie remont był, to ci robotnicy, którzy mieli mechaniczne wspomaganie, jakieś dźwigi czy coś, schodzili po dniówce tacy spracowani, spoceni, zmęczeni. Oni nas tu na zatracenie dali...!

Alina znowu zaczęła płakać. Ostatnie roszady bardzo źle na nią wpłynęły, Janek martwił się jej stanem.

– Mamo, będzie dobrze.

Pokręciła głową.

– Będzie, naprawdę. Zobacz, jest rzeka. A jak jest rzeka, to przynajmniej nie padniemy z pragnienia. I będzie można się myć. Może nawet popływać? Jak nad naszą Lidziejką.

Popatrzyła na niego. Przetarła oczy ręką.

– Myślisz, że my kiedyś tam wrócimy? Że jeszcze postawimy tam stopę?

Niespecjalnie w to wierzył, przecież to już nie była ich ziemia. Mama też to wiedziała, ale nie taki był cel jej pytania.

– Wierzę w to. O, zobacz, tam już ktoś od nas poszedł się ochłodzić. I chyba coś uprać.

Alina wciąż stała niezdecydowana – czy poddać się marazmowi i smutkowi, czy jednak próbować z niego wyrwać.

– A wiesz, jak poznać, że w sowieckim więzieniu właśnie wypadł dzień, w którym można było korzystać z wody?

Spojrzała na niego, zdziwiona nagłą zmianą tematu rozmowy.

– Po tym, że ubrania więźniów zmieniły kolor z ciemnobrązowego na jasnobrązowy.

Uśmiechnęła się. Nieznacznie, ale wygięła kąciki ust do góry.

– Dobrze, że cię mam, synuś.

Kiwnął głową. Też ją kochał, ale jednocześnie czuł, że ich wspólny czas dobiega końca. Wojna to czas, gdy losy wszystkich, zwłaszcza młodych mężczyzn, ulegają zmianie.

Wiedział również, że to przyszłe rozstanie będzie smutniejsze dla matki niż dla niego.

\* \* \*

*Osiedle Żołymbet, lato 1941 roku*

– Hitler uderzył na Rosję.

Krystyna Czernik popatrzyła na syna, który właśnie kończył się myć. Wychlapał całą wodę z balii, a ręcznik był mocno poszarzały.

Marian pracował teraz jako czornoraboczyj, czyli został zdegradowany. Nie specjalnie, po prostu taka była potrzeba chwili. W Żołymbecie nie oglądano się na przygotowanie zawodowe – nie miałeś, nie szkodzi, poradysz sobie. Masz za wysokie? Nic takiego, kamienie każdy potrafi łupać, nawet wykwalifikowany czy wykształcony. Marian został skierowany do pracy w strojoddziale, przy budowie osiedlowego, okazałego klubu. Jako budulca używano kamieni z pobliskiego kamieniołomu i właśnie do noszenia tego kamienia był im Marian potrzebny. Kamienie nosiło się w nosiłkach, do czego potrzebna była druga osoba. Do pary Marianowi trafiały się kobiety i właśnie to uważał za uwłaczające – praca z kobietą? To jeszcze obniżało poziom kwalifikacji.

Był więc zmęczony i zniechęcony. Rewelacja podana przez matkę początkowo spłynęła po nim jak woda po kacze, ale kiedy ochłonął, postanowił pójść na osiedle po więcej informacji, bo mama nic ponad sam ten fakt nie wiedziała.

Szybko znalazł się Waldek, jak zawsze lepiej od niego poinformowany.

– W radiotoczce powiedzieli, że Niemcy napadli na Związek Radziecki. Kijów zbombardowali. No, dobrze im tak. Chcieli się układać na naszą krzywdę, to mają.

Marian pomyślał, że teraz ich polska krzywda może się jeszcze zwiększyć.

– Pewnie nas uwikłają w tę walkę. Przecież jak jest wojna, potrzeba żołnierzy. Swoich już mobilizowali...

Wyjaśniły się braki kadrowe i kierowanie kobiet nawet do ciężkiej fizycznej roboty.



– E, nie. Tak to chyba nie będzie. – Waldek nie podzielał jego poglądów. – Chodź, posłuchamy, co teraz mówią w radiu.

Poszli do biblioteki, gdzie znajdowała się radiotoczka. Przed budynkiem, na którym zawieszono głośnik, zebrało się sporo osób.

– Nasze dieło prawoje, wrag budiet razbit.

Stalin miał pewny, mocny głos, w którym nie było czuć żadnego wahania. Po kilkunastu miesiącach pobytu w tym kraju Marian jednak już wiedział, że to wszystko to fasada. Z przodu ładnie, a z tyłu – prawda.

Kolejne dni nie przyniosły znaczących zmian w Żołymbecie. Nerwowość i niepewność były, ale jak by miało być inaczej, skoro za progiem toczyła się nowa wojna? Zaczęło się jak zawsze – ze sklepów znikało to, co w nich było. Pierwszomajowe kupony materiału i płaszcze zimowe. Wszystko, czego może zabraknąć i co jest wojenną lokatą kapitału. Szybko obniżono racje żywnościowe. No i wciąż dobierano mężczyzn do wojska, ale na razie nie było mowy o tym, by rekrutować i Polaków.

Poza osiedlem natomiast działa się historia, i to w sposób, który nie przynosił Rosjanom ani radości, ani chwały. Zaczęły napływać wiadomości o rannych i zabitych. O tym, że front się cofa, że Sowieci w ciągłym odwrocie.

– I widzisz. – Krystyna Czekrnik z satysfakcją spojrzała na syna pewnego letniego dnia, gdy oboje siadali do lichej kolacji. – W trzydziestym dziewiątym to oni się śmiali: „Nu i kak? Waszaja Polska takaja, szto siemnadcat dniej i Polszy niet”. A teraz co? Związek Sowiecki taki, że po siedemnastu dniach oddał więcej niż my wtedy.

Mariana cieszyła porażka Sowieców, to jasne, był przecież Polakiem, synem swojej matki, ale była w nim też myśl, że teraz od ich losu zależy

również jego los. A on przede wszystkim chciał żyć. Daleko stąd i zupełnie inaczej.

\* \* \*

*Ozierenowskij lesopunkt, leśna osada Ozierenowski, lato 1941 roku*

Zobaczyła ją przez uchylone drzwi. Wstała i podeszła do ściany, przy której suszyły się grzyby. Zbiory były naprawdę dobre; Anna nigdy specjalnie nie ceniła grzybów, bo wiadomo, że ich wartość odżywcza jest niewielka. Aromat, kolor, podbicie smaku – to było ich zadanie w kuchni, kiedyś, dawno temu. Teraz jednak wszystko, co dawało się zjeść, nie powodując rozstroju żołądka, było na wagę złota. Zaplanowała, że kiedy już dobrze się wysuszą, zetrze je w drewnianej stępie na proszek i będzie robić z niego sosy, które „oszukają” smak innych potraw. Sama nie miałaby czasu iść w las, ale dostawała je na zasadzie wymiany – ona je suszyła w „swojej” łaźni, za usługę pobierając część zbiorów.

– Jeszcze nie są dobre, musi pani poczekać kilka dni.

Anna z powrotem podwiesiła u powały sznurek, na który były nawleczone kawałki grzybów, i odwróciła się w stronę Wandy Walickiej.

– Parę dni...? Może trzeba mocniej grzać, bo kto wie, co to będzie za kilka dni...

Walicka zatrzymała się przy Annie i spojrzała na nią. Widać było, że tak naprawdę nie grzyby ją tu sprowadziły, tylko chęć podzielenia się informacją, a raczej zadowolenie, że ma tę informację wcześniej, bo po minie Anny było widać, że nie rozumie, o co chodzi.

– A co będzie? – zapytała od razu.

– Amnestia! – Walicka się rozpromieniła. – Amnestia będzie!

– Dla wszystkich?

Już wiedzieli, że toczy się wojna. Już się domyślali, że jej wynik nie jest zadowalający dla Sowietów, bo przecież gdyby był, informacje o sukcesie płynęłyby nieprzerwaną falą, tymczasem wśród różnych okrągłych zdań takich nie było.

– No, tego to nie wiem akurat. Tyle tylko, że jest ugoda między naszym premierem a ich ambasadorem. Że teraz Niemcy wspólnym wrogiem.

„Sowieci zawsze będą moim wrogiem”, pomyślała Anna. Ta wiadomość, o ile rzeczywiście prawdziwa, mogła je wreszcie stąd uwolnić. Postanowiła od razu pójść do znienawidzonego oficera i zapytać go o możliwość przeniesienia się.

– Przepraszam, muszę wyjść na chwilę.

Minęła Walicką, która nic nie powiedziała, ale obrzuciła ją znaczącym spojrzeniem. Widziała ją, jak wtedy, taka wyszykowana, z tymi „uszminkowanymi” ustami szła na spotkanie. Co sobie pomyślała – tego Anna mogła się domyślić. W pierwszym odruchu chciała do niej pójść, powiedzieć, że to zupełnie nie tak, ale odpuściła. Tłumaczy się ten, kto ma zaplamione sumienie, a Anny było białe, jak nic w tym miejscu.

Podeszła pod budynek naczelstwa. Był tam, usłyszała jego głos przez okno.

Weszła i zapukała w wewnętrzne drzwi. Nie była pewna, czy odpowiedział, ale nacisnęła klamkę. Wiadomość o amnestii dodała jej odwagi.

– Obywatelka Polakowska... – Spojrzył na nią i zawiesił głos. A na niej zawiesił spojrzenie. Inne niż zawsze.

Kątem oka uchwyciła swoje odbicie w lustrze – jej policzki się świeciły, włosy miała wilgotne, koszula przyklejała się jej do pleców.

Wyglądała nie najlepiej; najpierw się zawstydzila, a potem rozzłościła. Nie jest koniem na targu, żeby ktoś oceniał jej wygląd.

– Chciałam zapytać, czy jest odpowiedź na moje podanie o przeniesienie. Teraz, kiedy... – zawahała się, bo przecież usłyszała o tym tylko od Walickiej – jest amnestia.

– Nu, wszystko wiecie. – Pokiwał głową.

Wciąż się jej przyglądał. Już nie tak rozbierająco, jak wcześniej. Teraz to była ironia, ale słabsza, jakby robił dobrą minę do gry, w której właśnie zmieniły się zasady.

– Wiem. To kiedy będziemy się mogli przenieść? – Starła się opanować drżenie głosu.

– Aż tak wam pilno?

– Tęsknimy za ojczyzną.

Wytrzymała to jego nieustępliwe spojrzenie.

– I pewnie za mężem?

Poczuła, jak jej tętno przyspiesza. Była pewna, że on z nią gra, że bawi go jej lęk i chciałby, żeby ona go prosiła o jakiegokolwiek informację. A ona wiedziała, że nawet jeśli coś wie o Franciszku, to jej nie powie. Nie zrobił tego wtedy, nie zrobi i teraz.

– Za mężem też. Bardzo.

Przesunęła rękę za plecy i ścisnęła palce, żeby się nie rozpłakać.

– Nu, oczywiste. Oby się odnalazł, bo teraz i nasz kraj, i Polska potrzebują takich ludzi.

– To kiedy możemy się przenieść?

Serce jej waliło jak oszalałe. Chciałaby już być daleko stąd, jak najdalej.

– Doczekacie się, obywatelko. Doczekacie. Jak to tam u was mówią? Żeby nie być kąpanym w gorącej wodzie? No, to ja na odwrót – jeszcze wracacie do bańszczy. A potem przyjdzie czas, że będziecie mogły iść do tej waszej Polski.

## Rozdział 15

*Semioziorsk, jesień 1941 roku*

Witryna sklepu robiła wrażenie – pęta kiełbasy, szynka, ryby, ser, słoje z miodem i dżemem, bochny chleba. Wszystko wyglądało tak apetycznie! Zosia dałaby się nabrać, gdyby nie fakt, że sama malowała ten chleb, by wyglądał na świeżo wyjęty z pieca, z błyszczącą, ciemną skórką.

Robiły to z Elą i innymi uczniami na zajęciach plastycznych. Najpierw nauczycielka przyniosła im cukierki, dla każdego połówkę, i wręczyła je, cały czas opowiadając o miłości wielkiego wodza Stalina do dzieci – nie tylko radzieckich, lecz także wszystkich. Dowodem tej miłości miały być właśnie cukierki, które przyjechały do nich z dalekiej Moskwy. Inne rzeczy jeszcze nie dojechały, ale będą, bo przecież w ich kraju jest wszystko, tylko ten kraj ogromny i transport trwa. Więc na razie dzieci dostały do pomalowania drewniane atrapy jedzenia, które wprowadziły dużo emocji, zwłaszcza u najmłodszych dzieci, oglądających je potem schnące na parapecie. „Szto eta?” – pytały niektóre, ponieważ nigdy wcześniej nie widziały szynki.

Zosia czuła absurd tej sytuacji, ale nie zamierzała w żaden sposób tego pokazywać. I tak miały dużo szczęścia, że trafiły tutaj. Droga, którą przebyły, nim znalazły się w tym kołchozie, była długa i męcząca. Kilka tygodni po informacji o amnestii pozwolono im iść. Właśnie tak – iść.

„Wolni ludzie jesteście”, powiedział im ten enkawudzista, do którego matka odbywała swoje proszalne wycieczki. Dobrze sobie, jaka wolność w tym kraju, do tego prawie bez pieniędzy, bez środka transportu, bez wiedzy, gdzie się dokładnie znajdują.

Trzeba było się dostać do Wołogdy, to im tylko powiedziano. Co dalej – to była niewiadoma. Zaproponowali, że przetransportują ich dobytek, ale matka uznała, że nie można im niczego powierzyć, i, jak się okazało, miała rację. Inni, którzy skorzystali z tej oferty, zostali z niczym, bo podobno ich rzeczy zatoniły podczas transportu przez rzekę. One niosły swoje toboły, a Zosia zmieniała się z mamą, gdy Krzyś oznajmiał, że jest zbyt zmęczony, by dalej wędrować na własnych nogach. Mama brała go na ręce, bez słowa skargi, ale było widać, że i jej brakuje sił. To, co w Sarnach bywało żartem – że ich brat to taki późny dar od losu, że taka wielka różnica wieku między nim a Zosią, że ona prawie, prawie mogłaby uchodzić za jego matkę, teraz wcielało się w życie. W posiołku, który opuściły, Ela matkowała Krzysiu, bo przecież Anna pracowała. Podczas wędrowni Zosia brała Krzysia na ręce, odciążając mamę. Opieką nad nim dzieliły się zresztą podczas całej tej długiej podróży, która przebiegała jak wszystko u Sowietów – w sposób niezorganizowany i bezsensowny.

Kiedy dotarły do Wołogdy, okazało się, że owszem, są wolne, ale nie tak do końca, bo żeby podróżować, potrzebują bumagi. Jakiej, kto ma ją wydać – tego oczywiście nie wiadomo. Miały czekać na dworcu, więc czekały. Spały na podłodze, głodowały. Matka wyjęła woreczek z sucharami, coraz mniej pękaty, i wymieniła pierścionek na jedzenie. Raz poszły do łaźni, żeby zmyć z siebie brud. „Kto przestaje o siebie dbać, to jakby się już poddał”, matka mobilizowała Elę, która miała już dość, twierdząc, że trzeba było zostać w poprzednim miejscu. Matka przekonywała ją, że teraz może być tylko lepiej, bo są wolne, ale kiedy wreszcie ktoś do nich przyszedł i powiedział im, że niedługo przyjedzie

po nie pociąg, a potem podstawili bydłące wagony, które już przecież znały, była bliska łez. Podróż też kosztowała je wiele nerwów. Warunki to jedno, gorsza natomiast była niepewność, dokąd je wiozą, wzmagająca się z każdym dniem pobytu w wagonie. A kiedy Zosia, wyglądając przez zakratowane okienko, zorientowała się, że minęły Ural, wpadły w panikę. Jechali pod granicę chińską, a przecież one chciały trafić do środkowego Kazachstanu, gdzie warunki do życia i pracy miały być lepsze. Znowu przymusowy postój, nawet nie wiadomo w jakim miejscu, bo wagon zatrzymał się na bocznicy, daleko od stacji. Zakazali im się ruszać, strasząc, że mogą odjechać w każdej chwili. Odjechali po tygodniu i zawieźli je do Taszkientu. To duże miasto, można było próbować się czegoś wywiedzieć, ale tu znów kazano im się trzymać blisko pociągu. Ponieważ podczas tego postoju nikt się nie interesował, czy mają co jeść, matka znowu rozkruszyła suchara ze swojego woreczka i z duszą na ramieniu, by zdążyć, poszła wymienić złoto na produkty spożywcze. Wróciła po kilku godzinach, z chlebem, ziemniakami, jakimiś plackami. W samą porę, bo tym razem decyzja o tym, co z nimi robić, zapadła szybciej i pociąg znowu ruszył. Po kilku dniach, w nocy, stanęły w szczerym polu i kazano im wysiadać. Podjechały po nie ciężarówki i wywiozły je do Semioziarska. To był duży kołchoz, zamieszkiwany przez Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Żydów, zesłanych tu jeszcze w czasach carskich. Warunki bytowe były tak samo beznadziejne jak w Ozierenowskim lesopunkcie, ale plusem była bliskość jeziora i lasu. Kiedy tutaj trafiły, zakwaterowano je w lepiance, jednej spośród wielu podobnych. Mama jęknęła na jej widok i stwierdziła, że przy takim zagęszczeniu biedy i brudu cudem będzie, jeśli żadna choroba im się nie przytrafi. Nie czekały długo – już pierwsza noc była prawdziwym wyzwaniem. Wcześniej też walczyły z pluskwami, ale teraz to był istny desant – gdy tylko zrobiło się ciemno, wyłaziły z każdej szczeliny, osiadały je i zaczynały wysysać krew. Pomieszczenie po prostu od nich falowało. Po kilku dniach dołączyły do



nich wszy. Spędzały całe dnie na tępieniu tego robactwa, ale wciąż przegrywały – to była nierówna walka, z góry skazana na niepowodzenie. „Są lepiej przystosowane do życia tutaj. Pancerne, twarde, gniotsa, nie łamiotsa”, stwierdziła Anna i postanowiła zmienić miejsce ich zamieszkania. Na to oczywiście też trzeba było mieć bumagę. Tu jednak sprawa okazała się prostsza – oficer zapytał Annę, czy ma coś ładnego dla jego żony. Anna wróciła z paczuszką koronek, które odpruła od bluzki z żabotem. Wystarczyło, widać tego typu ozdoby były tutaj w cenie. Dostały przydział do samotnej, starej Rosjanki, która mieszkała z dala od centrum, za to blisko jeziora, w drewnianej chałupie ogrzewanej piecem. Odstąpiła im jedną, sporą i całkiem czystą izbę. Po doświadczeniach ostatnich miesięcy to było jak piękny sen. Zresztą nie tylko to. Annie udało się załatwić pozwolenie na naukę dla Eli i Zosi. Co do Eli sprawa była oczywista – każda głowa do zapchania sowieckimi bajaniami na temat potęgi Związku Radzieckiego była chętnie witana w szkole, byle nie skończyła szesnastu lat. Zosia o dwa lata przekroczyła ten limit, ale i ją przyjęto. Krzyś trafił do przedszkola mimo różnych obiekcji Anny – że go zindoktrynują, że zaraz zachoruje, no ale innego wyjścia nie miała. Ona sama poszła pracować do fabryki, w której produkowano obuwie z wołoku. O ile codzienne życie udało się im ogarnąć, o tyle sprawy dalszej podróży nie. Koronki, spódnica czy nawet pierścionek w tej kwestii nie wystarczały. „Bumagi jeszcze niet”, to Anna słyszała za każdym razem.

– Czy my jeszcze kiedyś zobaczymy takie rzeczy naprawdę? – odezwała się Ela, przyglądając się atrapom na wystawie sklepu.

– Zobaczymy. Przecież nie zostaniemy tu na zawsze. No chodź, bo zaraz szybę zaczniesz lizać. – Zosia się zaśmiała.

– Idę, idę... A może mogłybyśmy jeszcze pójść się wykąpać w jeziorze?

– A nie za zimno ci?

– Nie. Zresztą przecież nie będę stała, tylko się ruszała. Intensywnie.

– Koło domu możemy. – Zosia nadal nie była przekonana do tego pomysłu.

– Ale u nas to te okropne zarośla i takie błoto, że stopa grzęźnie. I do tego pijawki. Człowiek wychodzi cały umazany i jeszcze mu się coś przyczepi. A tu przygotowane kąpielisko.

– Ale mamy jeszcze Krzysia odebrać, nie możemy się spóźnić.

Zosia naprawdę nie miała ochoty iść na plażę, ale siostra tak na nią patrzyła, że w końcu skinęła głową.

– Szybko pójdzie, teraz jeszcze wszyscy w pracy, ja tylko kawałek przepląnę, zmyję z siebie te szkolne frazesy i stalinizmy i...

– Ciszej, Ela. – Zosia się obejrzała. – Pamiętaj, że tu różni mieszkają, a NKWD nagradza lojalnych.

– Pamiętam, pamiętam! Tylko jest tak ładnie, może to ostatnie dni na kąpiel, bo zaraz przyjdzie zimno i...

Ela przystanęła i umilkła. Zosia powędrowała wzrokiem za jej spojrzeniem. Jeszcze nie doszły na plażę, były spory kawałek do kąpieliska. W zaroślach, ale nie tak gęstych, by móc osłonić przed spojrzeniem przechodniów, zobaczyła dwójkę młodych ludzi w całkowicie jednoznacznej sytuacji. Poczowała, że się czerwieni.

– Chodź, nie wypada patrzeć – powiedziała, choć jej samej trudno było oderwać wzrok.

Tych dwoje było pewnie w jej wieku. Chyba ich nie widzieli, ale przecież musieli sobie zdawać sprawę z tego, że mogą być zauważeni. Byli jednak tak zaabsorbowani sobą, że nie zwrócili na nie uwagi.

– Czy oni...? – Ela na chwilę spojrzała na siostrę, ale potem na powrót zaczęła się przyglądać dziewczynie, na której leżał rytmicznie poruszający się chłopak.

– Oni... – Zosia wciąż była w szoku. Do różnych spraw już przywykła – że ludzie się tutaj załatwiali, odchodząc tylko odrobinę z głównej drogi, ba!, potrafili nawet w takiej pozycji w kucki się z kimś przywitać. Że łaźnie są koedukacyjne. Że cała szkoła jest oblepiona plakatami agitacyjnym i portretami Stalina, który jest tutaj bogiem, a jak się go skrytykuje, to zostaje się zesłanym na Syberię i jest to wilczy bilet. Malowanie drewnianych atrap jedzenia też już przerobiła. I wiele innych codziennych obrzydliwości – fizycznych i moralnych. Ale coś takiego...

Tyle tylko, że to nie było tak do końca obrzydliwe. Fakt, że publiczne – owszem, ale poza tym... Dziewczyna była młoda, dość korpulentna, w całkiem jednak przyjemny sposób. Była w tym siła młodości, zdrowie, po prostu natura. Chłopak – podobnie. Nie, to nie było okropne, to było... Zrobiło się jej ciepło w podbrzuszu, zaschło jej w gardle.

– Chodź. – W końcu szarpnęła Elę za rękę.

Kiedy odeszły trochę, Ela się rozchichotała.

– To było śmieszne. On tak śmiesznie wyglądał. Zupełnie jak psy. Inni ludzie też tak robią?

– Nie wiem – odpowiedziała Zosia.

Rozejrzała się. Byli już daleko od pary, ale jeszcze przed plażą. Pusto, żywego ducha. Zosia zaczęła się rozbierać.

– Też chcesz popływać? – zdziwiła się Ela.

– Przechlapię się. I zaraz wracam. Ty też, pamiętaj, żebym nie musiała potem na ciebie nie wiadomo jak długo czekać.

Zosia została tylko w bieliźnie. Weszła do wody. Była chłodnawa, ale to dobrze, bo czuła, że jest jej za ciepło. Zanurzyła się i zaczęła płynąć. Po chwili jej nogę coś musnęło – to były wodorosty. Przymknęła oczy i pomyślała, że to dotyk Jana. Do tej pory nie wyobrażała go sobie w taki sposób. Miłosne wyznania, czułe pocałunki, gładzenie dłoni – to wyczerpywało repertuar. Dziś było inaczej. Dziś chciałaby go poczuć, tak jak tamta dziewczyna tamtego chłopca. Zapiekły ją policzki, więc zanurzyła głowę w wodzie.

– Zosia! Zosia! – Usłyszała przeraźliwy krzyk Eli, kiedy się wynurzyła.

Zobaczyła, że odpłynęła daleko od brzegu, a siostra musiała się zaniepokoić, że nagle zniknęła pod wodą. Zamachała ręką i zawróciła.

– Przestraszyłam się. Co ci się stało? – Ela jeszcze drżała.

– Nic – zbyła ją Zosia.

– Napędziłaś mi stracha. Życie ci niemile?

„Wręcz przeciwnie”, pomyślała Zosia, przypominając sobie tę parę w miłosnym uścisku.

\* \* \*

*Akmolińsk, jesień 1941 roku*

Było mu cholernie głupio – stać tak nago przed kobietami. Wyobrażał sobie różne tego typu sytuacje, to się zaczęło jeszcze w Polsce, ale wtedy to było takie... po omacku, bo wiele nie wiedział. Tu – zobaczył. Kiedy się kąpali w rzece, różne szczegóły wyłapywał. Kazaszki były skryte, zresztą one raczej nie chodziły nad wodę, ale Rosjanki... To rozbudzało jego wyobraźnię, tyle że w tych obrazach to one zawsze były gołe, a on – ubrany. Teraz było odwrotnie.

Stał na środku dużego pokoju, nagusieńki, rękami zakrywając przyrodzenie. A one siedziały, za stołem, niby to zawodowo obojętne, ale spojrzenie jednej temu przeczyło.

– Wsio, poszli dalsze.

Ocknął się. Miał teraz przejść do kolejnego pomieszczenia i tym razem one wszystkie będą patrzyły na jego blade pośladki.

Westchnął w duchu i starając się wypaść jak naturalniej, jakby go to wcale nie obchodziło albo jakby był w ubraniu, przeszedł przed długim stołem i wszedł do następnego pokoju.

Wszystko zaczęło się od tego, że w radzie narodowej wręczyli jemu i innym bumagi z informacją: „amniestirovan kak polskij graždanin”. Do tego imię, nazwisko i inne informacje, starannie wystukane na maszynie. Ta bumaga to był jego pierwszy dowód osobisty. Kartkę starannie złożył i schował do kieszeni. Cieszył się, że znowu jest Polakiem, mimo że poświadczono to po rosyjsku.

Na froncie było źle, na żołymbecki adres przychodziły informacje o kolejnych poległych. W osiedlu też nie najlepiej, bo głód coraz większy. Doszło do tego, że ludzie zbierali się, by iść na pole i na zmarzniętych ścierniskach szukać pozostawionych kłosów, choć to było ponad trzydzieści kilometrów od ich osiedla, a za kradzież państwowego mienia groziły gigantyczne kary. Głód jednak zagłuszał wszelkie obawy – strach bladł w obliczu śmierci głodowej.

Któregoś jesiennego dnia odebrał wezwanie do wojenkomatu. Nie było możliwości odwołania, musiał się więc spakować i ruszyć wozem do Szortandów, a stąd pociągiem – po raz pierwszy pasażerskim – do Akmolińska, do wojewódzkiej komendy wojskowej. Początkowo Marian trochę się przestraszył, no bo słyszało się o poległych i kalekach, ale potem pomyślał, że tu też ludzie padają jak muchy, a poza tym przecież był mężczyzną, czas zaś wymagał odwagi.

No i teraz przyszedł czas na męstwo – paradował nago przed nielicznym męskim składem i wianuszkami kobiet.

\* \* \*

### *Furmanowka, jesień 1941 roku*

– Wy już wolni obywatele, możecie decydować, jaką przyszłość dla siebie wybrać. Stalin daje wam możliwość zostania grażdanami Sowieckowo Sojuza. Was będzie opromieniać słońce stalinowskiej konstytucji, wy będziecie pracować jako wolnonajomni. Możecie też pójść do Krasnoj Armii, wielkiej i niezwycięzonej. Wy dostaniecie mundury i jedzenie, o nic nie trzeba się będzie troszczyć, wam będzie chwała walczyć za Победу коммунизму.

Oficer z NKWD patrzył na nich tak jak pan Kuryłko, kiedy tłumaczył Jankowi, że musi zmienić swoje zachowanie, które przysparza ojcu tylu trosk. Ojciec użył argumentu karczemnej awantury, czemu Jan się właściwie nie dziwił, bo jednak sytuacja była poważna. Pan Kuryłko zaś wybrał metodę pokojową – tłumaczył Jankowi, jak komu dobremu, jak małemu dziecku, spokojnie i miło.

Jan spojrzał na siedzących obok niego chłopaków i mężczyzn. Sytuacja była mimo wszystko niecodzienna. Już sam fakt, że udało im się wrócić do Furmanowki, miał w sobie coś z cudu. Praca przy układaniu torów kolejowych ich wykańczała, ale i tak nie była takim postrachem jak zbliżająca się zima. Przetrwać ją w tamtych warunkach, w lichych namiotach, bez możliwości zdobycia – jakkolwiek, czy to wymiennie, czy kradzieżą – jedzenia, to był wyrok. Rozmowy z Kazachem, który zawiadywał nimi, nie przynosiły żadnego rezultatu – nie wiedział, nie mógł, nie dostał odpowiedzi, trzeba czekać. A oni nie mogli czekać. Wydostać się stamtąd mogli tylko tak, jak przyjechali, czyli pociągiem. Oczywiście nieoficjalnie, bo nie było zgody NKWD. Któregoś wieczoru wpakowali się do wcześniej upatrzonego wagonu

towarowego i zatrzasnęli drzwi. Początkowy etap, czyli odjazd, przebiegł bez komplikacji – nie zauważono ich braku w obozie, nikt nie zajrzał do wagonu. Jednak na postoju, który wypadł kilkanaście godzin później, odkryto pasażerów na gapę. Pierwsze zdziwienie – była afera, ale nie taka, jakiej się obawiali. Zjawił się milicjant, potem ktoś z NKWD, ale rozmowy przebiegały w całkiem spokojnej atmosferze. Nie chciano ich natychmiast odsyłać do miejsca, z którego uciekli, nie straszono więzieniem ani Sybirem. Wysłuchano ich, spisano ich argumenty. Wciąż jednak była w nich obawa, że to dla niepoznaki, żeby uspić ich czujność, żeby jeszcze raz nie uciekli. Kiedy jednak na pytanie enkawudzisty „No i szto z wami zdiełać?”, ktoś odpowiedział, że mogliby wrócić do Furmanowki, bo przecież stamtąd ich zabrano, więc tam brakuje ich rąk do pracy, Sowieci się zgodził, a to już przerosło ich wyobrażenia o tym, co jest możliwe. Widać czasy naprawdę zrobiły się niezwykcyjne.

Wrócili. Zajęli te same domy, które opuścili przed kilkoma miesiącami. Wciąż jednak czekali na reperkusje, które, jak im się wydawało, powinny ich spotkać. Nic takiego się nie wydarzało. Nikt im niczego nie mówił, pracowali, biedowali, szykowali się na zimą, która i tu na pewno da im w kość.

I wtedy przyszedł list od Zosi, a właściwie dwa listy. Pierwszy z tego adresu co zawsze. „Zatem wyjeżdżamy, dostałyśmy zgodę. Problemów nie było, wszystko zgodnie z prawem”. Jan nie mógł zrozumieć, o czym dokładnie Zosia pisze. Cieszył się, że udało im się zmienić miejsce pobytu, bo w poprzednich listach, oczywiście między wierszami, czytał, że warunki, w których żyły, były trudne. Ale to „zgodnie z prawem”? Prawo było tu wymyślane na kolanie i stosowane po uważaniu, z jednym pewnikiem – zawsze przeciw Polakom i zwykłym obywatelom. Drugi list był już z nowego miejsca, że warunki dobre i że czekają na dalszą podróż.

I jakoś parę dni potem gruchnęła wiadomość, że objęła ich amnestia! Wszyscy przymusowo deportowani z Polski stali się teraz wolnymi ludźmi. No, wolnymi na sowieckiej ziemi, a wiadomo, że sowiecka ziemia nie oddaje tak łatwo tych, którzy już się tu znaleźli, ale jednak!

Jan od razu zrozumiał sens listów Zosi – Polakowskie korzystały z tego prawa powrotu do ojczyzny, ale jednocześnie widać było, że to potrwa i wcale nie będzie łatwe. Mimo wszystko od razu chciał, oni wszyscy chcieli, wyjaśnić, w jaki sposób mogliby wrócić do Polski. I tu, po paśmie chwilowych sukcesów, dawna rzeczywistość przypomniwała o sobie. Owszem, narody teraz bratnie, nikt ich nie trzyma tutaj na siłę, mogą zrezygnować z tego, co im Związek Radziecki oferuje, ale do podróży potrzebne są dokumenty, a dokumenty może wydać tylko naczelnik, którego chwilowo nie ma, a kiedy wróci – tego nie wiadomo. Czyli tak, ale jednak nie. Brak naczelnika to była oczywista wymówka; zapewne to samo słyszała mama Zosi w Semioziersku.

Tymczasem do Furmanowki przyjechał inny przedstawiciel NKWD, z taką ofertą, jaką Jan właśnie usłyszał – wziąć paszporty, czego przecież odmawiali, lub wstąpić do Armii Czerwonej. Chciał walczyć, od dawna marzył o mundurze, ale nie o takim. A skoro już teraz jest wolny, choćby i teoretycznie, toby mógł...

– Nu, jest jeszcze jedna możliwość, choć to nie wiadomo kiedy.

Jan się poruszył.

Oficer przekładał papiery na stole, zebrał je w kupkę, uklepał i włożył do teczki. Już na nich nie patrzył, już się do nich nie uśmiechał. Właściwie sprawiał wrażenie, jakby już skończył i teraz się pakował, a to, co chce dodać, to sprawa błaha, niewarta niczyjej uwagi.

– Ma powstać armia... nu, polska, do której też będziecie mogli wstąpić.



Skórzana klapa torby opadła, kliknęła zapinka. Oficer spojrzął na zgromadzonych.

– Tu oczywiście żadnych gwarancji nie ma. Nie wiadomo kiedy, jak, gdzie.

I wyszedł.

Jan odprowadził go wzrokiem. Armia. Armia polska. To była najpiękniejsza, prócz listów od Zosi, wiadomość od wielu miesięcy.

\* \* \*

### *Akmolińsk, jesień 1941 roku*

– W rejonie formowania już zorganizowano wszystkie jednostki.

Polski podoficer, jedyny w tym radzieckim składzie, miał na sobie mundur w kroju angielskim. I z angielską flegmą tłumaczył Marianowi, że powinien wrócić tam, skąd przyjechał.

– Ale jak wrócić? Przecież nas tu wezwali. – Marian próbował spokojnej dyskusji, choć w środku się gotował.

To była prawda. Dostali pisma, że mają się stawić na komisji wojskowej. Niektórzy się burzyli, nie wykazywali zapału, ale nie Marian – on pomyślał, że to naturalna kolej rzeczy w tej sytuacji. I że nie będzie gorzej, niż tu mają.

– I ja chcę walczyć, zwłaszcza teraz.

To też była prawda. Był mężczyzną, nie uciekał od tego przeznaczenia.

„Po co mnie wracać do Żołymbetu, do tej głodnej beznadziei”. I to była prawda, tyle że już niewypowiedziana na głos.

– Dużo mężczyzn tam przyjeżdża. Z obozów pracy, z więzień. Samorzutnie, bez wezwania. – Podoficer tłumaczył mu to dobrotliwie. –

Na razie nie ma możliwości, by ich zrekrutować. A to, co dziś było, to wezwanie informacyjne. Wasze dane spisane, wszystko w papierach. Przyjdzie pora, będzie wezwanie.

Marian chciał coś jeszcze dodać, ale uznał, że to nie ma sensu. Obaj już swoje powiedzieli.

– Do widzenia. – Zrezygnowany kiwnął głową.

– Gdzieś na froncie – odpowiedział mu tamten. – Szczęśliwej drogi powrotnej.

To był gest dobrej woli, ale co Marianowi po gestach? Wyszedł z budynku i skierował się w stronę dworca. W kieszeni miał bilet do Szortandów, tak jak i inni z Żołymbetu.

– No, co tak stoisz! – Poczul klepnięcie w plecy i usłyszał głos Waldka. – Do odjazdu jeszcze kilka godzin, może się przejdziemy? Coś by tu może człowiek kupił, dla siebie albo na sprzedaż? Jeść dali, to można w jakiś interes zainwestować. – Uśmiechnął się. On najwyraźniej był zadowolony z obrotu spraw cofającego ich do Żołymbetu.

– Można – zgodził się Marian. – Tylko... – Skrzyżował nogi i złapał się za brzuch. – Mnie coś ten obiad nie posłużył. Muszę gdzieś... – Rozejrzał się nerwowo.

– Uuu, bratku, nie wiedziałem, że ty taki wydelikacony. No to idź. A jak już się pozbędziesz tego balastu, to mnie poszukaj. Będę tam, gdzie jakiś handel.

Znowu klepnął go w plecy, odwrócił się i po chwili zniknął w tłumie.

Marian wyprostował się, trochę odczekał, a potem poszedł szukać kas. Miał bilet, którego nie zamierzał wykorzystywać. Interesował go zupełnie inny kierunek podróży.

\* \* \*

*Semioziersk, jesień 1941 roku*

– Ile to jeszcze będzie trwało?

Ela podeszła do okna, zupełnie jakby mogła tam zobaczyć coś więcej niż biel.

– Nie wiem, podobno to norma. Ci, co mieszkają tu dłużej, nie dziwią się temu pogodowemu szaleństwu.

Anna lepiała małe placki z mąki kukurydzianej, która stanowiła ostatnio ich podstawowe pożywienie – rozrabiana z wodą, czasem, rzadko, z mlekiem, w postaci podpłomyków, puddingu, zupy. Jakiegokolwiek. To, że one ją jadły, oznaczało, że kury mają jej mniej. Anna wymieniła ją na parę koronkowych rękawiczek po bardzo dobrym kursie – dwa kilo za jedną parę.

– Pamiętasz, jak byłam mała i niania powiedziała ci, że nie może za mną nadążyć, bo ja tak biegam i o wszystko pytam? – Zosia zwróciła się do matki. – I że wszystkim się dziwię.

– Pamiętam. – Anna na chwilę podniosła wzrok znad stołu. – A ja jej powiedziałam, że kto się dziwi, ten się rozwija, idzie do przodu. Kto się przestaje dziwić, umiera. – Pokiwała głową. – Życie pokazało, że są miejsca i ludzie, którzy się wyłamują z tej prawidłowości. Żeby tu przetrwać, trzeba wszystko przyjmować jak oczywistość. Nie podważać, nie dociekać, wpasować się w środowisko. Kto się dziwi, ten się naraża na ciągły stres. No i marnuje energię. Tak, tu zdziwienie oznacza śmierć. Zosia, idź po opał, trochę musimy dołożyć, bo jak zgaśnie, to trudno będzie ponownie rozpalić.

– Ja pójdę. – Ela odsunęła się od paleniska. – I tak muszę...

– Tylko niedaleko. Zamieć taka, że jak ci przyjdzie do głowy zrobić parę kroków w bok, to możesz nie wrócić. Mówili w fabryce, że na zimę to mają przyczepione sznurki do drzwi. I idą za potrzebą z tym

sznurkiem w rękę, a potem wracając, zwijają go. Zdarzyło się, że ludzie dosłownie na kilka metrów odchodzili od chałupy, a potem tracili orientację i znajdowali ich zamrożniętych jak sople bliziotko domu, a jednak do drzwi nie trafili.

– A dzieci w szkole mówiły, że jak się mieszka dalej od centrum, to psy podchodzą do ludzi, którzy... No, wie mama. – Ela spojrzała znacząco na Annę.

– I gryzą ich?

– Nie. Zjadają. Zjadają to, co... – Ela znacząco dotknęła dłonią okolicy swojego pośladka.

– Fuj! – Zosia niby to się skrzywiła, ale jednak parsknęła śmiechem.

– Dziewczęta! – Anna udała, że załamuje nad nimi ręce. – Gdzie wasze maniery! Jak wy się odnajdziecie, kiedy my już wrócimy do domu?

Umilkły. Popatrzyły na matkę. Anna też posmutniała. Wszystkie trzy zadały sobie w myślach to samo pytanie: „A kiedy ten powrót będzie?”.

Ciszę przerwała ich gospodyni, pani Zajcewa.

– A to prawda, że u was ubija się chłopów?

Anna odwróciła się w jej stronę. Była zdumiona – nie tylko tym, że pytanie tak brzmiało, lecz także tym, że Rosjanka w ogóle się odezwała. Przez cały prawie czas, czyli już blisko trzy miesiące, milczała. Początkowo Anna brała to za afront, złość, że jej dokwaterowano kogoś, ale potem zauważyła, że staruszka po prostu się wyłączyła z życia – milczała, zamyślała się, wpatrywała się w dal. Jakby była obecna tylko chudym, pokurczonym ciałem, a umysłem odpływała.

– Ale jak to ubija, to znaczy zabija? Kto zabija?

– Nu, wy. Pany.

– Nie, skąd! – Anna szczerze się oburzyła.

– A żony ich, chłopki? One mają dla zabawy karmić nie tylko swoje dzieci, lecz także kocie i psie?

Anna znieruchomiała. Zdecydowanie nie była jak tutejsi, bo się zdziwiła.

– Nie, nie. Nie! Kto tak... – Nie dokończyła. Nie tylko dlatego, że gospodyni przestraszyła się jej gwałtownej reakcji. Zajcewa była po prostu przepełniona sowiecką propagandą – od kościstych palców nóg po czubek siwej głowy. Od lat musiała słuchać, jak strasznie wygląda życie poza jej krajem, jaki tam wyzysk i bezprawie. Pewnie dlatego była tak nieufnie do nich nastawiona, mimo że one starały się być dla niej jak najmiłsze.

– To nieprawda. Nic z tego, co pani mówili, nie jest prawdą – wyjaśniła Anna spokojnie.

– Nie pani. Grażdanka. U nas panów nie ma.

Anna machnęła ręką.

– A u nas są. I dla mnie jest pani. U nas tak się mówi do ludzi. I nie, nie ma takich rzeczy. Nikt tak nie robi. I nikt tak nie żyje jak tu, żeby z głodu umierać, kraść paszę kurczakom, podcierać się ręką albo śniegiem. I żeby psy jadły ludzkie odchody!

Zajcewa na nią patrzyła. Annie zrobiło się głupio, że tak wybuchła, przecież miała się pilnować, miała być spokojna. Co jej ta staruszka zawiniła? Dlaczego na niej wyładowała swoje frustracje?

– To jak wy żyjecie? – zapytała cicho Zajcewa.

Anna podeszła do niej i usiadła na ławie obok. Zosia została na swoim miejscu, Ela też jeszcze nie wyszła.

– Żyliśmy w domu. W dużym, pięknym domu, gdzie w każdym pokoju był piec i było ciepło. Gdzie były łazienka i toaleta, i bieżąca woda.

– Bieżąca? – powtórzyła po niej Zajcewa.

– Bieżąca. Z kranu. Odkręcasz i leci. Nie trzeba wiadrem nosić. I mieliśmy wygodne łóżka i puchowe kołdry. I nie było pluskiew ani wszy. Na śniadanie świeże mleko i świeże jajka. I miód, dżem, kiełbasa albo szynka. A na święta...

– Jakie święta? – przerwała jej Zajcewa.

– Boże Narodzenie na przykład. Takie święto, że Bóg się rodzi, za niedługo przypada. U nas religijni ludzie, wszyscy świętują. U nas się nie wierzy w Sta...

– Ci... – Staruszka trwożliwie spojrzała na drzwi.

Przez chwilę pomilczała, a potem popatrzyła na Annę.

– I to wszystko prawda? O jedzeniu, domu, o chłopach? Prawdę mówicie?

– Prawdę. – Anna przyłożyła rękę do piersi, zostawiając na kubraku żółty, mączny ślad.

– To prawda – potwierdziła Zosia.

– Prawda – odezwała się Ela.

– Tak żyliśmy. I jak Bóg da, tak będziemy jeszcze żyć.

Staruszka podniosła się z ławy. Obróciła się do nich tyłem. Przez dłuższą chwilę milczała, a potem powiedziała:

– U mnie osiemdziesiąt cztery lata. I ja całe życie żyła tak, jak widzicie. Ciężko, biednie, umarł syn, umarł mąż. Wszyscy tak mieli, bo wszyscy razem mieliśmy wypracować lepszy dobrobyt. I cały czas

pamiętać, że mamy szczęście, że tu jesteśmy, bo inni mają dużo gorzej, zwłaszcza w Polsce. I ja tak żyła, bo wierzyła w to. A teraz...

Powoli się odwróciła do Anny. Polakowska zauważyła, że po jej policzku płyną łzy.

– A teraz ja wiem, że to nie była prawda, bo ja wam wierzę. Tylko na co mnie taka prawda na samiutki koniec życia? Co mnie teraz z nią zrobić?

Wieczorem Anna sięgnęła po modlitewnik. Już dawno niczego w nim nie zapisywała. Ostatnia była informacja o przenosinach do Semiozierska. Wcześniej trzy zdania, a przy każdym postawiony krzyżyk. Smutny był ten bilans ostatnich dwóch lat. Ona jednak miała swoje wspaniałe wcześniej przeżyte życie i perspektywę dobrych lat w przyszłości, w co bardzo wierzyła. A co miała Zajcewa?

\* \* \*

#### *Akmolińsk, jesień 1941 roku*

Nie sądził, że pójdzie tak łatwo. Może dlatego, że w kasie siedziała młoda kobieta? Dla kilku osób przed nim nie była zbyt miła, ale one nie miały odpowiedniego podejścia. Od razu z pretensjami, ton nieuprzejmy. Pewnie ci ludzie mieli rację, ale co komu po racji w tym kraju? W zwyczajnych warunkach pretensje nie nastrajają dobrze, a tutaj od razu skazują na porażkę. A porażki Marian nie chciał. Najpierw planował nieśmiało pytać, inaczej niż ci przed nim, ale potem pomyślał, że jednak więcej dziewczyn woli śmiałych chłopaków niż takie niemoty. Więc był śmiały, ale bez przesady, żadnego wywyższania się czy chojrakowania. Taki w sam raz bajer. Nie miał wcześniej podobnych doświadczeń własnych, ale starszych kolegów ze Szczuczyna widział w akcji. I już mniej więcej wiedział, co działa, a co niekoniecznie.

Tu zadziałało. Nawet bardzo, bo nie dość, że wymienił swój bilet na ten do Pietropawłowska, to jeszcze się ta kasjerka z nim umówiła. Powiedziała, tak niby mimochodem, że za półtorej godziny kończy i że może by razem poszli do stołówki na obiad. A po obiedzie to już w ogóle ma czas wolny. Na spacer i...

Nie dokończyła, ale Marian zrozumiał – mimo tego braku doświadczenia. To był po prostu uniwersalny komunikat, taki, który jest jasny między młodymi, bez względu na język, kraj i sytuację. Choć może w Polsce by się nic takiego nie wydarzyło? Tutaj jednak było inaczej, przecież widział nad rzeką różne obrazki. Inne tu chyba były dziewczyny. Już się nad tym wcześniej zastanawiał i doszedł do wniosku, że to dlatego, że się nie bały Boga. „Bój się Boga” to był taki straszak, którego i jego matka używała. A matki córek to już w ogóle. A tutaj – nic takiego, bo jak się bać kogoś, w kogo się nie wierzy? „Bój się Stalina” – tego nie słyszał. Zresztą Stalin nie mógłby widzieć i wiedzieć wszystkiego, a przecież nie dręczyłby ich po śmierci. Co innego Bóg – wszystko zostanie zapamiętane na zawsze. No, spowiedź może odkręcić sprawę, ale to często gorsze niż męki piekielne. Tak, religia była wbrew naturze. Tu jej nie było i może dlatego inne obyczaje panowały? A może to chodziło o to, że jak dokoła wszystko jest takie raczej straszne, to żeby to znieść, trzeba sobie jakoś robić dobrze? Wódką albo tak...?

Rozognił się od tych myśli i emocji. Wyobrażał sobie takie rzeczy, że aż naprawdę mu się słabo zrobiło i gdyby go Waldek zobaczył, toby pomyślał, że Marian rzeczywiście poważnie chory.

Postanowił powtórzyć sobie w myślach trasę swojej podróży – teraz Pietropawłowsk, potem w stronę Czkałowa, a dalej to Buzułuk albo Tatiszczew. Zresztą to się wszystko będzie wyjaśniać na kolejnych stacjach, bo na pewno jest więcej takich jak on, chętnych do woja, zawsze będzie kogo zapytać albo do kogo się przyłączyć.



I kiedy tak sobie myślał, a do zamknięcia kasy zostało niecałe pół godziny, na stację wjechał pociąg do Pietropawłowska. Nie ten jego, bo jego to miał być jutro rano, ale poprzedni, opóźniony o sześć godzin. To była okazja, którą trudno przepuścić, bo opóźnienia to była tu sprawa zwyczajna, więc pewnie by się naczekał na tym dworcu. No ale – Natasza...

Wyszedł na peron. Dokoła niego przepływali ludzie, a w jego głowie coraz szybciej płynęły myśli: ona ma takie ładne oczy... ile przyjdzie czekać, gdzie spać, a jak okradną...? i piersi, które widać pod kubrakiem... wojsko – to chwała, ale i wyrwanie się stąd... w armii nie będzie takiej okazji, a kto wie, ile ta wojna potrwa...? Waldek opowiadał, jakie to potem są hece ze zdrowiem, jak się coś złapie, a jeśli Natasza tak do niego, to może i do innych...? ale tak się już nastawił... ma ten bilet, pociąg się spóźnił, to jak znak.

– Ej, no gdzie ty się podziewasz?

Waldek z walenia w plecy zrobił już swój znak rozpoznawczy.

– Ty rzeczywiście nie najlepiej wyglądasz. – Przyjrzał mu się. – Taki jesteś rozpalony. Może masz gorączkę? – Dotknął dłonią jego czoła. – E, nie, tylko takie kolory ci wyszły na twarz. No, chodź, bo nasza grupa już się zebrała. O, widzisz, tam nasz „anioł stróż” z rady narodowej czeka, żeby mu się owieczki nie pogubiły.

Marian wcisnął rękę do kieszeni.

Nic ostatecznie nie wybrał, ale to już nie miało znaczenia, bo i tak się nie spełni – ani wojsko, ani ciało Nataszy.

\* \* \*

*Furmanowka, Czelabińsk, Buzułuk, zima 1941/1942 roku*

Chleb już się skończył, został tylko kawior. Jan wyciągnął z kieszeni woreczek z pieniędzmi i wyjął z niego rubla. Kucharka w lekko

przybrudzonym fartuchu i czepku, spod którego wypływały ciemne włosy, chochlą nabrała z dużego słoja porcję kawioru.

– Kotiełek jest? – zapytała, zastygnąwszy w tej pozie.

– Jest, jest. – Jan schował pieniądze i wyjął z plecaka niedużą blaszankę.

Odszedł od kuchennego okienka i po chwili zastanowienia wygarnął palcami ikrę. Smakowała przeciętnie – słona, śliska, dziwna. Zdziwił się, że coś, co u nich w Polsce uchodzi za delikates, po pierwsze, nie jest najsmaczniejsze, a po drugie – tu jest traktowane jako zwykłe danie. Nie spodziewał się czegoś takiego.

Nie spodziewał się też takiego tłumu chętnych, by walczyć w Wojsku Polskim. Dworzec w Czelabińsku był wypełniony Polakami, którzy na wieść, że w Buzułuku formuje się armia, do której można dołączyć, ruszyli z sowchozów, kołchozów, posiołków, osiedli, wsi i miasteczek. Widać znakomita większość wołała niepewny polski żołd niż te wszystkie sowieckie obietnice. Jak ci biedacy wyglądali...! Odbijała się w nich cała nędza blisko dwuletniego zesłania – obdarci, wychudzeni, zabiedzeni. Nie przypominali przyszłych żołnierzy, którzy mieliby odwrócić losy tej wojny, tylko dziadów proszalnych spod kościoła.

I wszyscy zmierzali w tym samym kierunku. Oblężenie pociągów było tak duże, że gdyby ściśle się trzymać przepisów, to znaczy czekać, aż będą wolne miejsca, i wtedy kupić bilet, wiosna by zastała Jana na tej stacji. Na szczęście Sowieci przymykali oko na alternatywne sposoby podróżowania – bez biletu, na stopniach wagonu lub na zderzakach. Może robili to w imię wspólnego wojennego celu, a może dlatego, że i tak nie zdołaliby zapanować nad tą masą ludzką.

Kolejne dni Jan spędzał na przesiadkach, rozpytując na mijanych stacjach o cel swojej podróży. Czasem udawało mu się coś zjeść, a czasem musiała mu starczyć sama woda. Był przemarznięty, głodny,

ale determinacja, by wreszcie zacząć walczyć, spychała te wszystkie niedogodności na bok, tak by nie miały dostępu do jego myśli. Widział, co się działo z tymi, którym zabrakło motywacji – wykruszali się po drodze. Z Furmanowki wyruszyli we trzech, a po kilku dniach Jan został sam. Koledzy zawrócili, nie mając nawet odwagi, by go o tym poinformować. On też inaczej wyobrażał sobie zostanie żołnierzem, ale jego determinacja była tak ogromna, że nic nie mogło go powstrzymać. Gdyby ojciec go teraz zobaczył! Ojciec... To akurat był smutny element tej układanki, bo gdy tylko się dowiedzieli o amnestii, matka natychmiast postanowiła zacząć go szukać. Do tej pory nie udało im się go odnaleźć, mimo różnych prób. Oficer z NKWD już dawno przyjął od matki zapytanie na temat obywatela Józefa Białego, ale na każde późniejsze przypomnienie odpowiadał „nada żdać”. No to żdali, bo co innego mogli robić? A teraz, przynajmniej teoretycznie, mogli działać. I mama chciała tę możliwość wykorzystać na przesuwanie się w stronę Polski i jednocześnie poszukiwania męża. Jan zaś rwał się do wojska. Przecież o to się właśnie spierali – ojciec go gnał do podręczników, a Jan mu mówił, że mundur na niego czeka. Teraz więc, gdy się doczekał (prawie, bo na razie on też wyglądał trochę jak dziad w tym swoim wdzianku z przykrótkimi nogawkami i rękawami), jak Jan mógłby zrezygnować? Nie mógłby! Będzie walczył i pokaże, że to nie były wyłącznie chłopięce mrzonki, a prawdziwe marzenia. Tyle tylko, że taka postawa wykluczała włączenie się w poszukiwanie ojca. Matka musiała zostać sama i nie była z tego powodu szczęśliwa. Jan też, bo przykro mu było na nią patrzeć, ale... Był dorosły. I chciał sam pokierować swoim życiem. Miał moment zawahania, bo kochał matkę, ojca zresztą również, ale czuł, że to ten czas. „Przecież wojna będzie trwała, nabór do wojska także. Oni dopiero się organizują”, próbowała go przekonać matka, ale Jan czuł, że nie może zwlekać. Rozstali się w smutku, miał jednak nadzieję, że po wojnie nie będą pamiętali tego momentu, tylko radość z ponownego spotkania.

Przed odjazdem zostawił matce list do Zosi, z informacją, że wyrusza do Buzułuku. Znowu zmiana miejsca, Zosia też pewnie niebawem powędruje w stronę Polski, więc nie wiadomo, kiedy znowu uda im się wymienić korespondencję, ale tej miłości również już nic nie zatrzyma.

Usłyszał zgrzyt metalu i poczuł, że pociąg hamuje. Było już ciemno, wieczór, może noc, trudno ocenić, bo godziny zlewały się ze sobą, ale dostrzegł napis: Buzułuk.

Wysiadł w tłum. Tu także było gęsto, falująca ciżba ludzkiego nieszczęścia. Nie spodziewał się, że powita go orkiestra wojskowa albo specjalna delegacja, ale miał nadzieję, że od razu będzie wiedział, dokąd iść, tymczasem tu było jak wszędzie – chaos i brak informacji. Po kilkunastominutowej wędrówce wokół dworca zauważył drewniany barak, przy wejściu do którego widniał napis. Z tej odległości nie mógł go odczytać, ale jedno było pewne – to nie były bukiwy!

Podbiegł tam; kilkanaście kroków przyprawiło go o zadyszkę. Z taką kondycją ma iść walczyć?

WOJSKO POLSKIE. Drukowane litery na kartce przybitej gwoździem do framugi. Był tak szczęśliwy, że omal nie pocałował tego pomiętego kawałka papieru.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka. I od razu wpadł na mężczyznę w mundurze, na którym widniały znajome emblematy: gwiazdki, paski i orzełek. Tak go to wzruszyło, że się przeżegnał.

– My to inna parafia. – Sierżant się roześmiał.

Janek się rozejrzał. Zobaczył tu kilku mężczyzn, podobnie z maltretowanych jak on sam, i kilku wojskowych – w zdecydowanie lepszej formie.

– No, skoro zebrała nam się drużyna, to możemy przekazać informacje. – Sierżant podszedł do grupki w mundurach i spojrzał na

poborowych.

– Wszyscy chcą dołączyć do Armii Polskiej?

Odpowiedziały mu kiwnięcia głowami.

– To dobrze trafiliście. Do punktu informacyjnego.

Jan się poruszył.

– Jak to: informacyjnego? – Ktoś inny zadał pytanie, które jemu też przyszło do głowy.

– Bo to jest nasze zadanie – informować, gdzie odbywa się zbiórka. A odbywa się w Taszkencie.

Jan nie wiedział, czy to on tak głośno jęknął, czy jęk był zbiorowy.

– Dowieziemy was tam. A wcześniej nakarmimy. Z wszami musicie poradzić sobie sami. Na każdego przypada chyba batalion, co?

Rzeczywiście, wszyscy niedawni zesłańcy prawie cały czas się drapali.

Okazało się jednak, że po tym, jak już przejrzano ich papiery i wciągnięto na listę, a zanim zaproszono ich na posiłek, znalazł się kapral z brzytwą, który pozbawił ich włosów i części kłopotu. Na wszy w ubraniach nie było żadnej rady.

Jan usiadł do stołu, na którym stały miski z pokrojonymi grubymi kromkami chleba, dzbanki z herbatą i puszki z tajemniczą zawartością, która okazała się angielską zapeklowaną wołowiną. Smak mięsa przyprawił go o taki dreszcz, jaki wcześniej znał tylko z pocałunków z Zosią.

– No, to jutro rano, jeśli nie będzie opóźnień, ruszacie. – Głos sierżanta przywrócił go do rzeczywistości.

Jeden z ich drużyny, który, jak się okazało, był już po służbie wojskowej, dostał od sierżanta suchy prowiant, jakiś marny bo marny, ale zawsze żołąd na czas podróży oraz – co najważniejsze – bilety.

Kiedy niecałe sześć godzin później, o świcie, Jan wszedł do pociągu, pomyślał, że wreszcie zaczyna się układać. Usiadł na drewnianej prycy i natychmiast usnął. Obudziło go szturchanie w ramię. Zaspany, z zamglonym spojrzeniem, zobaczył, że to jeden z jego kompanów.

– Nie ma go – krzyknął mu prosto w twarz.

– Kogo? – nie zrozumiał Jan, ogłuszony tym dźwiękiem.

– No tego naszego kaprała. I naszych pieniędzy, i naszego jedzenia. Nic nie ma! Jezu, no!

Jan się podniósł. Senność szybko mu minęła. Swój plecak wciąż miał przy sobie, ale w nim tylko kilka kopiejek i pustą blaszaną miskę.

Okazało się, że ich „dowódca” dał nogę razem z całym ich dobytkiem. Musiał się zawinąć jeszcze w Buzułuku, od razu jak tylko pociąg ruszył, a może nawet wcześniej. Tak czy owak, zostali bez niczego – na tygodniową podróż.

Kolejnych dwóch wysiadło na najbliższej stacji, z zamiarem powrotu do „biura” w Buzułuku. Pozostała dwójka po tym postoju wsiadła do innego wagonu i w ten sposób Jan został sam.

Pierwsze dwa dni były trudne, ale jakoś dawał sobie radę. Miał już przecież wprawę w głodowaniu. Początkowo udaje się oszukać brzuch i głowę, pijąc dużo wody i śpiąc. Potem jednak słabnący organizm zaczyna się domagać swego. Żołądek boli, jelita się skręcają, głowa zaczyna ciążyć, jakby ważyła kilka kilo. Widok jedzących osób drażni i wzbudza agresję. Nie ma sił, żeby im to jedzenie zabrać, zresztą gdzie się z nim skryć? Można tylko patrzeć, jak ich usta rozrywają, rozgryzają i połykają. Można też później podebrać wyrzucone przez nich resztki –

nie do końca ogryzione szkielety jakichś wędzonych rybek, skorupki od jajek, wyplute, bo lekko nadgniłe resztki marchwi, a może czegoś innego, bo w masie odpadków wszystko się miesza.

Jan wybierał te odpadki trzęsącymi się rękami. Nie chciał pamiętać twarzy i ust, które je wypluwały, nie chciał czuć śliny, oślizgłości i smrodu. Połykał kolejne kęsy z zamkniętymi oczami, byle tylko zapchać brzuch. I pilnował, by nie zwymiotować.

W taki sposób jadł jeszcze dwa razy. A między tymi posiłkami powtarzał jak mantrę: wojsko, Armia Polska, Zosia, Polska, wolność. Pan Kuryłko mówił mu, że człowiek ma zdolności, o które się nawet nie posądza. Uruchamia je determinacja. Przed wojną Jan nie sprawdzał tej teorii, bo przecież do nauki nie miała zastosowania, to nie ten kaliber. Przymiarki robił już na zesłaniu, ale dopiero teraz przyszła chwila prawdziwej próby.

Po tygodniu wreszcie zobaczył upragniony napis: Taszkient.

Na drżących nogach, oszołomiony, osłabiony wysiadł na peron. Tłok większy niż poprzednio, morze jemu podobnych. Zaczął pytać, najpierw spokojnie, cicho, ale po każdym „nie”, „nie wiem”, „nie ma” wpadał w panikę. Nikt nic nie wiedział, nikt nie słyszał o Armii Polskiej.

Nagle usłyszał huk, potem jakieś wiwaty. Dopiero po chwili się zorientował, że to początek nowego, tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

Usiadł pod ścianą dworcowego budynku i pomyślał, że to wcale nie jest początek, tylko koniec.

## Rozdział 16

*Siemioziorsk, wiosna 1942 roku*

– Na pewną śmierć? – Zosia powtórzyła po matce.

– Na pewną... – Anna, zobaczywszy twarz córki, urwała. – Tak się mówi. Chodziło o to, że oni przecież nie dość, że niewyszkoleni, to jeszcze tak okropnie znękani pobytem tutaj. Najpierw trzeba ich podkarmić, podleczyć, dać mundury, zrobić szkolenie, zapewnić broń, a dopiero potem słać na front. Nasza armia dobrze zrobiła, odmawiając wysłania takich chłopców na front.

Zosia dostała list od Janka, informujący, że jedzie do Buzułuku, żeby wstąpić do nowo powstającej armii. Pisał to w grudniu i to był ich ostatni kontakt. A teraz do Semioziorska zawitał jeden z wysłanników Armii Polskiej, by przywieźć informację, że polscy żołnierze jadą na Bliski Wschód i tam, pod wodzą Brytyjczyków, nabywszy lepszej formy i przeszkoleni, będą walczyć z Niemcami.

– Więc to lepiej, zdecydowanie lepiej. Janek na pewno jest już daleko od tej potwornej ziemi. – Anna pokiwała głową.

Z jednej strony to była ulga, ale z drugiej... gdzie Semioziorsk, a gdzie Bliski Wschód. Poza tym i Zosi było z tego powodu wstyd, bała się o Janka. To znaczy nie wstydziała się tego, że się o niego boi, tylko tego, że zdarzyło się jej pomyśleć, że lepiej by było, żeby on się do



wojska nie załapał. Wiedziała, że to było jego marzenie, ale marzyć o mundurze w czas pokoju to co innego, niż włożyć go podczas wojny. Ona, córka wojskowego, miała takie myśli! Czy to w porządku, że przedkłada miłość nad patriotyzm?

– I jeszcze jedno, bardzo dla nas ważne. Podobno cywile przy armii będą mogli się ewakuować. Oczywiście to miało się nie przebić do naszej wiadomości i gdyby nie ten wysłannik, to pewnie o niczym byśmy nie wiedziały, tak jak to było z tą amnestią. No ale czego się spodziewać po Sowietach...? – Anna się skrzywiła.

– A kiedy ta ewakuacja? – Zosia się ożywiła, ale matka ruchem dłoni ostudziła jej emocje.

– Najpierw módlmy się, żeby to nie okazało się plotką. Mam nadzieję, że nie, że oni tak po prostu działają – pozwalają, ale nie informują, że pozwalają. To do nich bardzo podobne! – Teraz to Anna się uniosła. – Nas to już teraz nie obejmie, na pewno, nie zdążyłybyśmy, przecież to szmat drogi. Nna jeden raz jednak tego nie przeprowadzą, pewnie będzie druga tura. Nie jesteśmy rodziną wojskowego, który teraz jedzie na Bliski Wschód, ale przecież jest wasz ojciec...

Annie załamał się głos. Jej nastrój też był jak huśtawka – góra-dół.

– No, w każdym razie to się da załatwić.

Anna się skrzywiła. Zosi też było nieswojo to słyszeć – to „załatwić” brzmiało, jakby robili coś pokątnie.

– A on, ten wysłannik, coś wiedział o tacie i innych jeńcach? – zapytała.

Ją z kolei znowu dopadło poczucie winy, że ojciec był na drugim planie, za Jankiem.

– Nie. Nic. Ale przecież to nie może trwać w nieskończoność, oni nie mogą bez końca milczeć na temat tylu oficerów! Zwłaszcza teraz, kiedy

niby to razem walczymy! Nie mogą! – Anna uderzyła ręką w stół, aż gliniany kubek się zakołysał. – Przepraszam – szepnęła, bo jej wybuch sprawił, że Zosia się odsunęła. – Trudno sobie radzić z emocjami, ale przecież trzeba, innego wyjścia nie ma. Im też o to chodzi, żeby nas do takiego stanu doprowadzić, żebyśmy tu wariowali, a potem popadli w apatię. Ale nie uda im się to, na pewno nie, zwłaszcza teraz, gdy wreszcie jest prawdziwa szansa, by się stąd wydostać. Z Krasnowodzka. To port nad Morzem Kaspijskim – dodała, widząc pytającą minę córki.

– Daleko stąd?

– Około dwóch, trzech tysięcy kilometrów. Zależy, jak tory biegną.

– Och...! – Zosia jęknęła.

– Prawda, bardzo daleko. Pociągi pewnie takie same podstawią jak te, którymi nas tu wieźli, ale my jesteśmy silne. Jesteśmy, prawda?

Zosia pokiwała głową. Były silne, inaczej przecież nie udałoby im się przetrwać do tej pory.

– Jutro rano idę do biura, po papiery. Teraz dokładnie wiem, czego nam brak, nie będą nas tak zwodzić. Zgoda na zakup biletów, poświadczenie, że znają cel naszej podróży, i skierowanie na dezynsekcję. Zostawimy im ich wszy i pluskwy i więcej nas nie zobaczą!

A jednak.

Anna chodziła do NKWD z regularnością zegarka. „Za niedzielju”. A po tygodniu – apiać. Jasne było, że to zagrywka polegająca na przeciąganiu terminu, aż do momentu, kiedy te papiery nie będą już po nic potrzebne, bo ostatni transport do Persji odpłynie.

– Nie dam im tej satysfakcji – wyszeptała Anna, nachylając się nad Zosią.

Ela i Krzyś już spali, wtuleni w siebie.

– Nie dam i już!

– Ale jak bez tych papierów? Przecież kto ich nie ma, ten dla nich szpion. Szpieg. – Zosia podniosła się z siennika. Stres ostatnich tygodni sprawił, że ciągle była śpiąca, jakby chciała przespać cały pobyt tutaj.

– Damy radę. Istnieje lepszy dokument. – Anna uśmiechnęła się kpiąco. – Plus taki, że tu prawie każdy go weźmie.

– Dasz temu...?

– Nie, akurat temu tutaj nie. On spasiony jak bąk na tych łąpówkach. Moja by go nie przekonała, zresztą on ma do nas silne uprzedzenia. Przez ojca i przez to, że my „pany”. Szczerze nas nienawidzi. Wydałby nas, sam by dostał więcej w nagrodę za lojalność, niż ja bym mu dała, a my – na Sybir. Nie, to trzeba inaczej.

– No to jak?

– Spakujemy się dziś w nocy. Rano, świtem, wezmę tobołki i zostawię w skrytce niedaleko fabryki. Mam już upatrzone takie miejsce. Nie wrócę do domu, wy wyjdziecie jak zwykle do szkoły, zabierając ze sobą Krzysia, żeby go odprowadzić do przedszkola. Tyle że tam nie dotrzecie, tylko wyjdziecie na główną drogę. Ja wymknę się z fabryki, zabiorę pakunki i się połączymy. Złapiemy jakiś wóz do Kustanaju, za kilka rubli ktoś nas podwiezie. Jakby co, to wybieramy się na targ, tam jest duży. Na miejscu pójdziemy na stację i kupimy bilety na najbliższy pociąg. Wszystko jedno jaki, byle na południe do Uzbekistanu.

– Bez tych papierów.

– Ale z tym. – Mama wyciągnęła z dekoltu woreczek. – Już wszystko wybrane – z sucharów, mankietów i kieszonek. Cały majątek Niwczyków w złocie zostanie w Związku Sowieckim, ale my z niego wyjedziemy.

\* \* \*

*Czokpak, 1 kompania 24 Pułku Piechoty 8 Dywizji, wiosna 1942 roku*

– Raz, raz, bo zaraz będzie zmierzchać i kto was poprowadzi?

Kapral Ryłko miał pogodny głos, bo jego, jednego z nielicznych, nie dopadła kurza ślepotą. Pozostali żołnierze, w tym Jan, od zmierzchu do świtu właściwie nic nie widzieli. Byli skazani na pomoc, a jeśli jej zabrakło, potykali się i objali, wracając ze stacji kolejowej do swoich baraków.

Od noworocznej nocy w Buzułuku upłynęły trzy miesiące. Janowi, cudem lub przypadkiem, udało się trafić na patrol polskiej 8 Dywizji Piechoty. Kiedy zobaczył przy torach chłopaków z orzełkami na czapkach, resztką sił dopadł do nich i błagał, żeby go stąd zabrali. Ci zaprowadzili go do swojego kapitana, który urządził mu przesłuchanie – dłuższe i bardziej szczegółowe niż to w Buzułuku. Widać i tu zdarzały się przypadki takich cwaniaków jak ten, co zwiął z ich dokumentami, pieniędzmi i prowiantem. Jan musiał wypaść przekonująco, bo zabrali go ze sobą, mimo że nie prowadzili naboru w Taszkencie. Jechali do Czokpaku, gdzie mieli zorganizować siedzibę i dopiero tam zająć się rekrutacją. Jan jednak już wiedział, że finał będzie szczęśliwy – zostanie żołnierzem w Armii Polskiej.

Miejscowe warunki były wymagające; zajęli tereny po opuszczonej kopalni, przygotowując miejsce dla mających tu przybywać rekrutów. A ci pojawili się szybko i w dużej liczbie. Baraki nie były jeszcze gotowe, mundury z materiałów w belach, które przyjeżdżały transportem kolejowym, nieuszyte, a za broń mieli kilkanaście sztuk starych rosyjskich karabinów z bagnetami. Dostawy popłynęły jednak wartkim strumieniem. Jan z podziwem patrzył na wyposażenie angielskiej armii – bielizna, buty, skarpety, pasy, menażki, manierki, a nawet przyborniki! Do tego całkiem już sprawnie działająca kuchnia polowa, której

funkcjonowanie stanowiło pewnik, że głód ich nie dopadnie. Jaka to była odmiana po ostatnich kilkunastu miesiącach!

Do czasu. Napływający tu żołnierze to było jedno, a drugie – cywile, czyli przede wszystkim kobiety i dzieci, dla których dołączenie do wojska było szansą na wyrwanie się z sowieckiej ziemi. Nie mogli mieszkać w obozie, zakwaterowano ich w pobliżu, na fermach należących do kołchozu, ale wiktem się dzielono. I w taki właśnie sposób głód powrócił. Mniejsze porcje, dużo fizycznej pracy – a w efekcie niedożywienie i kurza ślepotą.

Kontury się zacierały. Jeszcze chwila i znowu otoczy go szara mgła – tyle tylko będzie widział. Dobrze, że do obozu już blisko.

Końcówkę blisko dziesięciokilometrowej drogi, bo tyle dzieliło ich baraki od stacji, pokonał już po omacku, trzymając się ramienia kolegi, a ten – innego. Takim „łańcuszkiem” się poruszali.

– Kompania zbiórka! – usłyszał głos kaprała Ryłki. – Na placu. Nie wchodzić do baraków!

Jan się zdziwił. Zbiórką mniej, tonem bardziej. Był stanowczy i chyba trochę zdenerwowany.

Przeszli na plac z drugiej strony.

– Dziś stwierdzono w obozie przypadek tyfusu. U mężczyzny, który zjawił się tu kilka dni temu. Do tej pory objawy nie były jednoznaczne, ale teraz nie ma wątpliwości. Zostanie w izolatce, a wszyscy nowo przybywający będą przechodzić kwarantannę. Istnieje jednak ryzyko, że ktoś już się zaraził. W przypadku objawów trzeba się jak najszybciej odizolować od reszty. No i dbać o higienę. W miarę możliwości.

„Tylko tego brakowało”, pomyślał Jan. I jak tu mieli dbać o higienę, kiedy każdą wolną chwilę spędzali na iskaniu wszy – pozbyć się tego draństwa nie było jak, mimo usilnych starań. Postanowił rano, przed

śniadaniem, zrobić szczegółowy przegląd garderoby i siennika. A teraz chciał już tylko spać, bo dziś mieli za sobą intensywny dzień. Nawet nie czuł już głodu – chciał po prostu przyłożyć głowę do poduszki i zasnąć.

Jeszcze tylko napisze do Zosi. Na poprzedni list nie dostał odpowiedzi, więc istniało ryzyko, że on do Zosi nie trafił. Wysłany gdzieś po drodze, to znaczy przekazany do wspólnego worka listów, dopełnianego przez kolejną korespondencję. A może Zosi i jej rodziny już nie ma w Semiozersku? Może udało im się wyjechać? Wątpił w to, bo przecież widział po drodze i tutaj na miejscu, jaki to jest spęd ludzi. Po amnestii wszyscy rzucili się do ucieczki – mężczyźni się zaciągali, kobiety, jeśli miały wojskowych w rodzinie, dołączały do nich, szczęśliwe ze spotkania, cała reszta po prostu uciekała ze zniewolenia ku wolności. Sowieci czasem nie robili z tego problemu, ale, jak u Polakowskich, bywało i tak, że amnestia zostawała właściwie tylko na papierze. To chyba przez Franciszka Polakowskiego, który musiał im być solą w oku. On i jemu podobni, znienawidzeni przez Sowietów, i żadna wspólna przyszła wygrana tego nie zmieni. Oni po prostu chcą jak najdłużej uprzykrzać im życie. Ale to chwila, bo ojciec Zosi na pewno ich szuka. I na pewno wystara się o dokumenty, żeby mogły do niego dołączyć. I może wtedy nawet się gdzieś spotkają na szlaku. Tak samo liczył na odnalezienie ojca. Też już rozpuścił wici, jeśli tylko ojciec znajdzie się w wojsku, na pewno nawiążą kontakt. Wszystko jakoś się...

Nie dał rady dłużej siedzieć, jakby jakaś nadzwyczajna siła ciężenia ciągnęła go do pozycji horyzontalnej. Spać jednak też nie mógł. I do tego bolała go głowa.

„Jutro napiszę”, pomyślał, nakrywając się kocem.

\* \* \*

*Siemiozersk, wiosna 1942 roku*

Przewracała się z boku na bok. Nie mogła zasnąć. Powinna spać, bo przed nimi długa podróż, pełna niewiadomych, ale nerwy trzymały jej umysł w przytomności. Bała się tej ich „ucieczki” – co za paradoks – wolni obywatele, ale jak przyspawani do obcego miejsca! To jednak nie był jedyny lęk. Bała się w taki... rozlany sposób. O czymkolwiek by pomyślała, gdziekolwiek by się cofnęła wspomnieniami, dokądkolwiek wybiegła myślami – drżała. Wszystko albo ją osłabiało rozczuleniem, albo paraliżowało niepewnością.

– Boże – wyszeptała bezgłośnie.

Podniosła się powoli i delikatnie, żeby nikogo nie obudzić. Ela spała z Krzysiem, słychać było ich głębokie i równe oddechy. Jej młodsza siostra nie została wtajemniczona w plan – dla jej spokoju ducha, ale i dla bezpieczeństwa. Ela była bardzo miłą dziewczynką, dziewczyną już właściwie, ale łatwowierną. Mogłaby się wygadać przed panią Zajcewą, którą mocno polubiła. Na pewno chciałyby się pożegnać. Zosia też by chciała i mama również, bo zaznały od gospodyni dużo dobra, ale nie można – dla ich wspólnego bezpieczeństwa.

Mama także spała. Twardym snem twardej kobiety. Ależ ich ten czas ociosał! Mamę najbardziej. Kiedy się spotkają, ojciec nie pozna swojej żony. Nie z wyglądu, choć on się zmienił, ale z charakteru. Mama zrobiła się trochę mężczyzną w spódnicy. Zosia ją podziwiała. Ona by tak nie umiała, jej wciąż brakowało pewności siebie, wiary we własne możliwości. Jej największą bronią wciąż były religia i modlitwa. Nie zrażała się, mimo że w sprawie, której poświęciła tyle uwagi i emocji, czyli dziecka stryjostwa, szczęśliwego końca nie było. Ale modlitwa to nie kupowanie kapelusza w sklepie – człowiek ofiaruje siebie, swoją wiarę, swoje prośby, a czy Bóg wysłucha, nie wiadomo.

– Boże – powtórzyła – spraw, żebyśmy cali i zdrowi dotarli do Morza Kaspijskiego. A stamtąd dalej, na Wschód. Żebyśmy wyszli z tej

niewoli i spotkali ojca. I pochyl się nad naszą biedną ojczyzną, żeby do nas wróciła, a my do niej. I jeszcze, z głębi serca, chroń, proszę, Janka. Czasem myślę sobie, że jego życie dla mnie ważniejsze, bo czym by było moje życie bez niego? Po tym wszystkim, jeśli się spotkamy, to będzie już wszystko, czego pragnę w życiu. Wszystko.

Przeżegnała się i wsunęła pod kołdrę.

\* \* \*

### *Żołymbet, wiosna 1942 roku*

– Widzisz, to się nazywa, że opatrność czuwa.

Waldek usiadł obok Mariana. Dziś mieli wolne, a ponieważ wiosna coraz mocniej dawała znać o sobie, sporo osób przyszło odpocząć do parku. Marian też. Przyroda nigdy wcześniej go jakoś specjalnie nie przyciągała, nie zwracał na nią uwagi – po prostu była, nawet można powiedzieć, że w nadmiarze, bo i w szkole, i ojca sad... Teraz na myśl o sadzie i ojcu oczy mu potniały. Kto przycina i bieli drzewka? Kto patrzy, czy na zimnych ogrodnikach mróz kwiatów nie zetnie? Nigdy nie chciał tam zostawać, ani jako uczeń ojca, ani później, gdy ojca zabraknie – jako spadkobierca, nie ciągnęło go do ziemi, ale teraz, kiedy to już zostało daleko za nim, ogarniał go smutek. A może właśnie dlatego – łatwiej mu było za tym tęsknić, bo jasne się stało, że to już przeszłość, dokonana, niemożliwa do przywrócenia. Patrzył więc na te drzewa, posadzone jakby je na papierze w kratkę rozrysować, niby natura, ale widać, że tu wszystko przez człowieka pilnowane, i trochę odpoczywał, a trochę rozmyślał o przyszłości, która na razie była więcej niż rozmyta – żadnych pewników, żadnych zmian na horyzoncie.

– Do Stryjeńskich przyjechał ojciec. On jest wachmistrzem, dostał przepustkę z armii na kilka dni, żeby się tu zjawić i zabrać swoją rodzinę – powiedział Waldek.



– Do tego wojska co to niby już było gotowe przed zimą?

Waldek ostatnio tylko psuł mu humor. Po tamtej wyprawie do Akomlińska został Marianowi jakiś uraz. Taki bezsensowny był tamten wyjazd – już, już prawie coś się wydarzyło i nic...

– On potwierdza to, co nam wtedy powiedzieli. Że tamte wojska, co już się sformowały, to się szkolą, a ci, co tam pojechali, to wciąż czekają na nowe formowanie, a tymczasem muszą pracować w kołchozach. Ale to nie wszystko, bo Stryjeński opowiada, że w bazie, gdzie odbywa się szkolenie, zapanowała epidemia tyfusu. I że jest, a właściwie był niezły pomór. Można więc powiedzieć, że mieliśmy szczęście.

– Ale chyba już przeszło, skoro on się zjawił po córki – stwierdził Marian.

– Chyba tak. – Waldek wzruszył ramionami. – W każdym razie on wygląda na zdrowego.

– No to może warunki nie tak złe, jak opowiadali?

– Jego może tak, bo on już postawiony w hierarchii. Ty byś z samego dołu zaczynał, więc miałbyś inne. Nie marudź jak baba. Żle ci tu teraz?

Fakt, najgorzej nie było. Obaj pracowali teraz w fabryce, jak ją nazywali, płukania złota. Z hałdy przewozili rudy złota do młynów zgniatających. Początkowo, zwłaszcza na nocnej zmianie, było trudno, no i ten ciągły okropny hałas, ale Marian się wdrożył, a w dodatku nierzadko zdarzały się przestoje, bo albo psuła się maszyna, albo były przerwy w dostawie prądu.

– No właśnie. To się nie wychylaj, czekaj na kolejne wezwanie losu.

Może nie było to twórcze podejście, ale życiowo chyba całkiem w porządku. Marian nie był bezkrytyczny wobec Waldka, ale jedno musiał mu przyznać – chłopak był specjalistą od czekania na okazje wystawiane przez los.

## Rozdział 17

*Czokpak, 1 kompania 24 Pułku Piechoty 8 Dywizji, wiosna 1942 roku*

Dokoła było ciemno, niewiele widział. Choć starał się trzymać prosto, co rusz się potykał. Droga była rozmiękła i śliska, pełna dołów i wykrotów. A może to jemu kręciło się w głowie, jak wtedy. Przechorował trzy tygodnie. To, co wziął za zmęczenie, było początkiem tyfusu. Zasnął, a potem... Nie pamiętał wiele, jakieś przebłyski, gdy zabierali go do szpitala. Trzęsło nim jak teraz. Migawki z sali – czepek lekarza, chemiczny zapach leków, ukłucia igły. I ból. Bolały go żyły, to znaczy wtedy nie wiedział, że to żyły, myślał, że może mięśnie. Zresztą „myślał” to złe słowo – wtedy nie myślał, był bardziej podobny zwierzęciu, które za wszelką cenę chce przetrwać. Skupiał się na znoszeniu bólu, nie wydatkował energii, której już prawie nie miał, na kontrolowanie otoczenia. Już potem się dowiedział, że w wyniku powikłań tyfusu zachorował na zapalenie żył i dróg moczowych. Wyszedł z tego cało, co nie stało się udziałem trzech chłopaków z jego kompanii. I gdy ledwo stanął na nogi, zorganizowano im wczesnoporaną pobudkę. Oznajmili, że tryb alarmowy, że mają się szybko ubrać i z pełnym rynsztunkiem stawić na placu apelowym.

Podczas zbiórki nie dowiedzieli się wiele więcej; tyle tylko, że zaraz nastąpi wymarsz na stację kolejową.

I teraz szli po stepie, który był w okresie przejściowym – między zimą a wiosną. Mrozy już puściły, ciepło nie zdążyło osuszyć ziemi.

Janek dwa razy zaliczył upadek i kiedy doszli do stacji kolejowej, wyglądał jak żołnierz, który wraca z przegranej bitwy – ubłocony mundur, blada twarz, podkrążone oczy.

Na stacji czekały na nich wagony. Towarowe, trochę lepsze od tych bydłęcych, którymi go tu z Polski zagnali. To był postęp, krok w stronę lepszej rzeczywistości.

Tyle zdążył pomyśleć, bo szybko odgwizdano sygnał do odjazdu. Usiadł na gołych deskach i oparł się o ścianę. Znowu zaczęło nim kołysać.

\* \* \*

### *Kustanaj, wiosna 1942 roku*

Zosia poczuła, że zaraz uśnie. Nieprzespana noc dawała się jej we znaki. Późniejszy stres także. Ela na wieść, że wcale nie idą odprowadzić Krzysia do przedszkola, a później do szkoły, zareagowała nawet dobrze. Cóż, nigdy nie była tak pilną uczennicą jak Zosia, ani w Polsce, ani tutaj. Kiedy jednak się dowiedziała, że to nie wagary, a wyjazd, upierała się, że musi iść się spakować. Odpuściła, gdy Zosia poinformowała ją, że mama zabrała ich rzeczy i je ukryła. I że one pojedą razem z nimi. Widać jednak było, że nie może przeboleć braku pożegnania z ich gospodynią. Zosia zaś miała wrażenie, że Zajcewa wiedziała, co się szykuje. Na jej „do widzenia”, fakt, wypowiedziane czulej i dłużej, gospodyni pokiwała głową i odparła „Bog s wami”. Powtórzyła słowa, które czasem słyszała u matki. Ona, niewierząca, teraz już absolutnie w nic, tak się do nich odezwała po raz ostatni. Ela nie zwróciła na to uwagi, rozbawiona wygłupami z bratem, ale Zosia wyraźnie to usłyszała. Przemogła się, żeby nie zareagować impulsywnie. Odwróciła się i wyszła. A potem

przekonywała Elę, żeby zachowała się odpowiedzialnie i nie ściągała na nich uwagi.

Spotkały się z matką, przejeły od niej część tobołków i wozem, niby to na targ, dojechały do Kustanaju.

Mama sama poszła do kasy kupić im bilety. Anna obserwowała ją z pewnej odległości. Po drugiej stronie okienka siedziała mniej więcej równolatka Anny Polakowskiej. A może była młodsza, tylko naznaczona sowieckim życiem? Najpierw jej usta ułożyły się charakterystycznie – lekko tylko otworzyły, za to mocno przesunęły oba kąciki, tworząc coś na kształt strąka fasoli. „Niet”, bardzo popularne tu słowo. Mama coś tłumaczyła, i znowu strąk. Strąk. Strąk. I wtedy, może już w ostatniej chwili, mama wprawnym ruchem przesunęła lekko wybruszoną dłoń po kontuarze. Kasjerka wysunęła swoją naprzeciw i jeszcze wprawniejszym ruchem cofnęła ją w kierunku brzegu blatu, gdzie musiała być szuflada. Potem zerknęła w dół, podrobiła palcami i zapytała, jak się Zosi wydało: „Skolka?”.

Mama wróciła zwycięska, choć to była dopiero pierwsza bitwa. Właściwie to nie wiedziały, jak dokładnie ich podróż ma wyglądać. I co z tego, że Zosia miała na cenzurce „bardzo dobry” z geografii, jak tu nie było żadnej mapy? Tyle było tylko wiadomo, że trzeba jechać na południe, do Uzbekistanu, a później skręcić na zachód i przez Turkmenistan dostać się do Morza Kaspijskiego.

Na dworcu było zatrzęsienie ludzi – ze wszystkimi tego konsekwencjami. Po pierwsze, trzeba było pilnować siebie nawzajem i swojego bagażu. Po drugie, mimo chłodnej jeszcze pory zapach był trudny do zniesienia. Woń dawno niemytych ciał, niepranych ubrań i odchodów mocno uprzykrzała życie. Toaleta była jedna, dworcowa. Jak kto nie zdążył, nie chciał czekać w kolejce lub brodzić w ekskrementach, to załatwiał się tam, gdzie akurat przebywał. Trudno było znaleźć

miejsce nieupstrzone ludzkimi wydaliniami. Krzyś, niestety, poślizgnął się i upadł. Wyglądał źle, pachniał jeszcze gorzej. Mama poszła prosić maszynistę jakiegoś pociągu stojącego na boczniczy o wodę z lokomotywy. Przy okazji się napili. Woda miała zapach smaru. Zosi przypomniała się ich droga z Polski. Gdyby jej ktoś wtedy powiedział, ile znieś, nie uwierzyłyby. Człowiek ma naprawdę niezwykłą konstrukcję – przesiąknięty cierpieniem ma jeszcze miejsce na nadzieję.

Ich pociąg zjawił się niespodziewanie i niespodziewanie ruszył. Rozkład jazdy był tylko pro forma, nikt go tu nie przestrzegał. Wsiedli w ostatniej chwili i szybko się zorientowali, że sprzedanych biletów jest dwu- lub nawet trzykrotnie więcej niż miejsc. Wojna i amnestia dla zesłańców to był dobry czas dla sowieckich kasjerów.

Pociąg stukotał i się trząsał. Zosia mocniej wtuliła się w kąta i usnęła.

\* \* \*

### *Żołymbet, wiosna 1942 roku*

Płaszczki mundury, bluzy, spodnie, kamizelki, skarpety, kominiarki, koce.

– Inna jakość – stwierdził Waldek z zadowoleniem.

Marian potaknął. To było zupełnie nieoczekiwane. Dostali informację od rady narodowej, że do stacji w Szortandach przyjechał pociąg z darami i trzeba je przepakować oraz przewieźć do Żołymbetu. Zorganizowali sanie, które po utrzymującym się jeszcze śniegu dostarczyły im te dobra. Sanie był kazachskie, konie też. A przesyłka tylko dla Polaków. Nie wzbudziło to zadowolenia woźniców, więc postanowiono, po burzliwej dyskusji i dla utrzymania dobrych relacji, przekazać, po rozparcelowaniu, pozostałości darów Kazachom. Tak czy owak, dla wszystkich Polaków w osiedlu starczyło tego luksusu. Zresztą nie tylko o dobra materialne chodziło.

– Od Amerykanów i Anglików. Dla nas, tutaj. To chyba coś znaczy?

Waldek próbował ocenić, jak wygląda w płaszczu, który właśnie na siebie włożył.

– A ci dwaj nasi, co się wtedy uparli jechać do wojska, to zasuważą w jakimś kołchozie za głodowe stawki. No to kto ma lepiej, co? – Popatrzył na Mariana. – Słuchaj się losu, nie wychylaj. – Klepnął go w plecy.

Marian niby się zgodził, ale męczyło go, że tak tu utknął. Przecież teoretycznie mógłby jechać. Ma ten cholerny paszport, a siedzi w Żołymbecie, gdzie nigdy nie popchnie swojego życia do przodu. Wojna, jak się wydawało, polegała teraz przede wszystkim na wykrwawianiu się obu stron. Wojsko Polskie mogło przechylić szalę zwycięstwa na stronę napadniętych. Marian w to wierzył. I więcej, chciał być po stronie wygranych. Wcześniej, w Polsce, nie myślał o karierze wojskowej. Jakiś własny interes, warsztat, sklep – to go ciągnęło. Ale teraz? W wojnę? Teraz więc chciałby walczyć, wygrać, poznać smak zwycięstwa i tak wejść w dorosłe życie. A potem, już w Polsce, się zobaczy.

Na razie jednak czekał, w takim decyzyjnym rozkroku, bo miał tu najlepsze – jeśli idzie o stosunek płacy do trudu – zajęcie od początku zesłania.

Brakowało mu jednak nie tylko większej sprawczości w swoim życiu. Wracał myślami – i czuciem, jakiego do tej pory nie znał – do tej dziewczyny z dworca. Było w niej coś takiego... Wcześniej też mu się podobały różne dziewczyny w Szczuczynie, ale były... jakby nie dla niego. Zwykle po prostu bardzo proste i podobne do siebie. Jedna była inna, ale to w stylu, że za wysokie progi na jego nogi. Tak się mówi, choć on uważał, że jak kto zdeterminowany, to każdy próg pokona. Tak czy owak, ona była wyniosła, może rzeczywiście potykałby się o ten próg. A Natasza... Była ładna, nawet bardzo, ale nie tak onieśmielająco.

Nie w taki sposób, że musiałby się zastanawiać, czy jest dla niego osiągalna. No, może trochę, ale trochę powinno być, bo w życiu wszystko musi być wyzwaniem, inaczej by człowiek nie szedł do przodu. Myślał więc o Nataszy, o jej spojrzeniu, ustach, piersiach... Czuł, że ta ziemia nieznana dostarczy mu przeżyć, które nie mogą się równać z niczym, co poznał do tej pory.

\* \* \*

*Krasnowodzk, 1 kompania 24 Pułku Piechoty 8 Dywizji, wiosna 1942  
roku*

To był cel ich podróży na sowieckiej ziemi.

Nikt im tego jeszcze nie powiedział, ale Jan był przekonany, że dojechali do miejsca, w którym naprawdę zakończy się ich zesłanie. Niby już w polskiej armii, w mundurach, w drodze na front, a i tak towarzyszyło im kilku enkawudzistów.

Dworzec był duży, a większość podróżnych skośnookich i o ciemniejszej karnacji. Roślinność wyglądała odmiennie, nawet powietrze pachniało inaczej. Była w nim nuta czegoś nieznanego, co mogło być morzem. Jan tylko raz widział i czuł morze, Bałtyckie, w gdyńskim porcie. Zrobiło na nim ogromne wrażenie. Było jak... trudny do określenia bezkres. Coś potężnego i fascynującego. Sam port też był piękny, jeszcze w budowie, ale już prawie na ukończeniu, dokoła nowe budynki, takie białe, jasne, geometryczne. Modernizm, który mu się bardzo spodobał, bo był taki nowoczesny, zupełnie inny od tego, co przed kilkoma zaledwie laty stało w tej niedużej osadzie rybackiej. Pomyślał wtedy, że chciałby się dostać za horyzont, na ten drugi brzeg. Że rozwój, poznawanie nowego dostarczą mu emocjonujących przeżyć. Widział chłopaków z marynarki, w granatowych mundurach, z ogorzałymi twarzami. Zazdrościł im. Teraz miał przeżyć podobną przygodę, choć woda i brzegi były inne.

Rozejrzał się. Koledzy z jego kompanii zgromadzili się przy stole w kącie dworcowej poczekalni. Jeden z nich darł na kawałki gazetę pozostawioną tu pewnie przez jakiegoś podróżnego, a potem czytana przez innych, bo wyglądała na mocno sfatygowaną.

– Zabieramy jako papier. – Jeden z nich złapał jego spojrzenie.

– Do ubikacji? – zapytał Jan.

Tamten się roześmiał.

– No, jest pokusa luksusowego podcierania się, ale nie. W końcu mamy na czym pisać i może uda się nam wysłać kartki do bliskich. – Uśmiechnął się.

Janek też by chciał nadać list – do Zosi i do matki. Znowu stracili kontakt.

– Hej, lekkoduchy! – usłyszeli głos dobiegający gdzieś spod drzwi.

Obrócili się w tamtą stronę. To też był chłopak od nich. Podszedł bliżej.

– Zostawcie kącik prasy, kolumna marszowa się formuje. Na obiad idziemy. – Uśmiechnął się.

– Wreszcie jakaś dobra wiadomość.

Ten, co wyrywał kwadraty z gazety, odłożył jej resztki na blat.

– Podzielcie się i idziemy na ten pożegnalny posiłek.

Jankowi też już kiszki marsza grały. Przez cztery dni podróży karmili ich co prawda regularnie, ale porcje nie były ani duże, ani smaczne. A on dodatkowo jeszcze nie doszedł do siebie po chorobie i prawie wszystko, co jadł, boleśnie potem odczuwał na żołądku. „Dieta”, powiedział lekarz w szpitalu. Czarny jak węgiel chleb, kwaśny i ciężki, zimna i tłusta zupa słabo się wpisywały w wymogi diety. Może tu, na lądzie, w prawdziwej stołówce, będzie coś lepszego?



Podszedł do stolika i wziął dwa karteluszeki. Trafiły mu się dobre, ze sporymi marginesami niezadrukowanego kremowego papieru. Już prawie je włożył do kieszeni spodni, kiedy ujrzał skrzynkę na listy. Sięgnął do plecaka i wyjął z niego ołówek. Trochę już stępiiony, ale jeszcze dobry, by skreślić kilka słów.

– Janek, teraz nie czas na epistoły. Teraz czas na futrowanie! – Roześmiał się ten, co po nich przyszedł.

Jan potaknął, ale nie oderwał ołówka od kartki.

– Janek! – Teraz głos dobiegł z oddali. Grupa mundurowych stała już przy samym wyjściu.

Machnął w ich kierunku ręką, na znak, że już idzie. Podniósł plecak z ziemi, założył na ramię, ołówek wsunął do kieszeni bluzy. Idąc ku drzwiom, zrobił kilka kroków w stronę skrzynki na listy. Wyciągnął rękę, w której trzymał karteluszek z napisem poczynionym drukowanymi literami ZOSIA POLAKOWSKA, i wrzucił go do skrzynki.

Bez adresu, bez znaczka, w mieście na krańcu tej olbrzymiej ziemi. To się nie mogło udać, tak na zdrowy rozum. Z drugiej jednak strony – rozum wiele razy musiał tu ustąpić przed życiem. Może tak będzie i teraz...?

\* \* \*

*W drodze na południe, wiosna 1942 roku*

– Nie mogę, mam, naprawdę.

Zosia próbowała się uspokoić, ale nie potrafiła. Tyle już widziała, tyle doświadczyła, niby powinna być zaimpregnowana na wszelkie zło, jakie może tu jeszcze zobaczyć, ale ten obraz to było za dużo.

– Wiem, wiem. – Anna Polakowska przytuliła córkę do siebie. – Ale nic nie możemy zrobić. Zupełnie nic.

– A możemy dalej żyć, patrząc na to i przechodząc obok?

Anna pokiwała głową.

– W dawnym życiu odpowiedziałabym ci, że nie. Że miarą naszego człowieczeństwa jest pomoc innym, zwłaszcza słabszym. Ale tu... – Rozłożyła ręce w geście bezradności. – Co my możemy zrobić poza modlitwą? Nic, zupełnie nic. Przecież my sami... ja ci nie mówię wszystkiego, mimo że jesteś już dorosła, bo nie chcę cię nazbyt obciążyć, chcę, żebyś jeszcze miała, przez chwilę choćby, namiastkę młodości, takiej pogodnej i niepoharatanej dramatami.

– A te dzieci? One nawet dzieciństwa nie mają. Zaraz umrą i tyle... Jaki jest tego sens?

Zosia chciała już nie widzieć tych szarych twarzy z zapadniętymi oczami i nieobecny wzrokiem, rzadkich włosów przyklejonych do czaszek z pergaminową skórą, przez którą prześwitywały niebieskie żyły, nóżek jak zapalki. Te dzieci, nieduże, w wieku przedszkolnym, wyglądały jak z horroru, jak z powieści gotyckiej. Niektóre z nich nie miały już nawet siły wstać, leżały jak stare szmaciane lalki, a nad nimi bzycały muchy.

– Nie wiem. Nie znam odpowiedzi na to pytanie. On – podniosła spojrzenie ku niebu – wie. I może kiedyś udzieli nam odpowiedzi.

Anna widziała, że te słowa nie ukoili bólu jej córki. Widok sierot podróżujących w pociągu, który mijały, oczekując na koniec przestoju, był straszny. To było niewyobrażalne wprost nieszczęście – gromadka maluchów na granicy życia i śmierci, jadących nie wiadomo dokąd. Dzieci osierocone przez matki, które nie przetrwały trudów życia na zesłaniu. I które niebawem do nich dołączą.

– A może to jest też po to, żebyś ty sama, kiedy już zostaniesz matką, doceniła, jaki to cud? Może wszystko tutaj jest w tym celu – żebyśmy, gdy wreszcie wrócimy do domu, błogosławili każdy dzień na ziemi? Ja wiem, że tak będzie. Jeśli to jest plan wobec mnie, to go wypełnię. Wspomogę jakiś sierociniec, ojciec na pewno poprze taki pomysł. Może nawet przygarniemy jakąś sierotę, Krzyś będzie miał towarzystwo, bo wy już przecież panny. Tak, tak będzie, zobaczysz!

Anna jeszcze mocniej uściskała córkę.

Ona też nie była gotowa na to, czego doświadczwały w tej podróży. Wcześniej jakoś oswoiły kołchozową rzeczywistość, a teraz spadł na nie ogrom nieszczęść rozlanych po tym wielkim wspaniałym kraju. Im dalej się przemieszczały, tym gorzej było. Często się zatrzymywali, bo trzeba było przepuszczać wojskowe transporty, które jechały na front, lub te, które wracały z rannymi. Tych drugich było zdecydowanie więcej.

Poza tym robiło się coraz cieplej, co przy braku wody zwiększało ryzyko chorób zakaźnych.

„Boże, nie daj nam tu umrzeć – pomyślała Anna – nie teraz, kiedy ledwie kilka tygodni dzieli nas od opuszczenia tej przeklętej ziemi”.

– Zobaczysz, wszystko się ułoży. Jak tylko opuścimy Sowiety, od razu będzie lepiej. Już samo to podziała jak lekarstwo.

Zosia otarła łzy i pokiwała głową. Nie miała takiej siły jak matka. Może kiedy będzie w jej wieku, też osiągnie taki hart ducha. Choć szczerze mówiąc, chciałyby, żeby jak najszybciej nastały czasy i okoliczności, w których nie musiałyby tak twardnieć, tak się opancerzać.

\* \* \*

*Żołymbet, wiosna 1942 roku*

– Job twoju mać! – Waldek trzasnął ręką w stół. – Dlaczego my? Niech sobie kogoś innego wezmą do tej roboty.

– Podobno nie mają kogo. Wszyscy na froncie. A ci, co wrócili, nie nadają się do pracy. Do niczego już się chyba nie nadają – odparł Marian.

Dla niego ten nowy przydział pracy też był zdziwieniem. No, może nie aż takim, bo przecież kilka razy go przesuwali, jak pionek na szachownicy, ale prawdę mówiąc, po pierwszym zatrudnieniu wszystkie kolejne były ciut lepsze. A ostatnie – naprawdę znośne. Nawet do hałasu już przywykł. No i w żadnym z tych przydziałów ryzyko śmierci nie było tak duże jak teraz. Bo teraz wysyłali ich obu i jeszcze dwóch innych chłopaków do burrazwietki. Mieli jechać w step, tam, gdzie powstawały nowe, próbne szyby. Wyglądały one jak wydrążone w skale walce – głębokie na jakieś pięćdziesiąt metrów, o średnicy nieprzekraczającej metra. Góra tego szybu nie była niczym zabezpieczona, więc kamienie się osuwały i spadały na tego, kto tam w środku pogłębiał wykop. Taki los spotkał jednego z Kazachów, którego odwieźli na osiedle, do szpitala. Pokiereszowany był strasznie, nie wiadomo, czy przeżyje. A teraz szukali zastępców. Więcej, żeby pilnować tego, kto akurat na dole ładuje wyrąbane kamienie do wiaderka. Ale jak upilnować skałę, żeby się nie sypała? No i jak dostarczać tam na dół tlen, bo i z napowietrzeniem były problemy.

– Niech ich szlag! Ja odmawiam, nie zmuszą mnie. Jestem wolny obywatel, sami mi dali tę bumagę. A jeśli to nie wystarczy, to niech będzie sprawa w sądzie. Oni tam w Szortandach mają za sędziego Kazacha. I zobaczymy, co on powie, kiedy się tutaj zjawi. A zjawi się pewnie za dwa tygodnie, nie wcześniej. – Waldka aż nosiło.

– Powie, że teraz taki czas, że wsio dla fronta. I że skoro inni mogą walczyć z Niemcami, to my tu na miejscu możemy pracować – wydajnie

i ofiarnie.

– Chciałem walczyć, to sami odesłali! – Waldek znowu się zdenerwował. – Niech się zdecydują, czego chcą. – Znowu rąbnął pięścią w stół.

Marian nic nie odpowiedział. Przywykł do Waldka, w jakiś sposób się z nim zakolegował, ale przyjaźń to nie była. Dlatego postanowił, że nie będzie mu się zwierzał – wprowadzi swój plan w życie, nikogo w niego nie wtajemniczając. Matki niestety również nie, ale wysłał jej jakąś uspokajającą wiadomość.

\* \* \*

*Krasnowodzk, 1 kompania 24 Pułku Piechoty 8 Dywizji, wiosna 1942  
roku*

Fakt, że taki metalowy kolos nie tonie, już sam w sobie jest pewnego rodzaju zdumieniem. No, nie aż takim jak szybujące samoloty, ale jednak. Oczywiście, że istnieją prawa fizyki – wyporność, Archimedes, aerodynamika – na te lekcje akurat chodził. A mimo to takie potężne maszyny budziły jego podziw – i to wtedy, gdy stały puste w gdyńskim porcie. Ten tutaj statek, na krasnowodzkiem nabrzeżu, był wypchany ludźmi do granic możliwości, a nawet poza nie – każda przestrzeń, której nie zajmowały urządzenia lub załoga statku, została zajęta – wszystkie pokłady, ładownie, schowki – nie było gdzie szpilki wcisnąć.

Jan się nie dziwił – oczywiście, że młodym mężczyznom się spieszyło, by dołączyć do Anglików i tam pod ich okiem ostatecznie przygotować się do walki z Niemcami. To był pierwszy i niezaprzeczalny powód. Drugi jednak był taki, że chcieli jak najszybciej opuścić sowiecką ziemię. Wszyscy mieli tę samą, choć niewypowiedzaną obawę: póki tu są, ze strony Sowietów może ich spotkać wszystko – w domyśle – co złe.

Janowi też się spieszyło, bo zależało mu na zajęciu dobrego miejsca, to znaczy przy burcie, z widokiem na trap. Okazało się bowiem, że tym transportem płynie również sporo cywili. Miał nadzieję, że może jednak są wśród nich i Polakowscy. Przecież tu, tak przynajmniej powinno być, pierwszeństwo należałoby dać bliskim cenionych i doświadczonych wojskowych, takich jak Franciszek Polakowski. Rozmawiał o tym z dowódcą i dowiedział się, że polskie władze od dawna szukają żołnierzy wywiezionych wtedy na teren Związku Sowieckiego. Podobno było ich sześćdziesiąt tysięcy – to ogromna liczba, gdzie by można niepostrzeżenie przetrzymywać tak wielką grupę ludzi? Zresztą to nie wchodziło w rachubę – amnestia objęła wszystkich. No i to był przecież kwiat polskiego wojska – jakże oni by się teraz przydali! Ale nie było ich, przynajmniej pod koniec roku, gdy dostał ostatni list od Zosi. Mimo wszystko się rozglądał, mając nadzieję wypatrzeć w tej ciżbie znajome twarze.

Nic takiego się nie wydarzyło.

Za to poczuł, że chce mu się pić. Na obiad w tej stołówce podali im jakieś suszone ryby. Wszyscy się na nie rzucili, dopiero po czasie czując, że były bardzo słone. Woda, którą mieli wtedy do dyspozycji, nie zdołała ugasić pragnienia powracającego teraz męczącymi falami.

Jan doczepił do miski sznurek i spuścił ją do wody. Dowiedział się, że Morze Kaspijskie jest tak naprawdę jeziorem, więc woda powinna się nadawać do picia.

Nie nadawała się. Była słona i śmierdząca.

W końcu podniesiono trap i głośny gwizd oznajmił, że odpływają. Port się zmniejszał, aż do ciemnej plamy na jasnobieżowym tle. A potem dokoła była już tylko szmaragdowa woda.

Początek kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku – Jan naprawdę zaczynał powrót z zesłania.

\* \* \*

*W kierunku Taszkientu, wiosna 1942 roku*

Nataszy nie było.

Marian poczuł duży zawód. Nie przyjechał do Szortandów specjalnie dla niej, ale po cichu liczył na to, że ją zobaczy. Miał nawet ze sobą prezent – chustkę w kwiaty. Wymienił na nią kalesony. Były w tych darach, na niego za małe, a akurat dobre na jednego z Kazachów. W pierwszym odruchu chciał wypatrzeć coś dla siebie, ale kiedy zobaczył ten kolorowy kawałek materiału, od razu pomyślał, że pasowałyby do ciemnobrązowych włosów i oczu Nataszy. Planował, że podejdzie do kasy, przywita się, wsunie ten pakunek – bo zawinął chustkę w kawałek plakatu, spodnią, czystą stroną do góry, i przewiązał jutowym sznurkiem. A po jej pracy pójda coś zjeść i może...

Jechałby wtedy na front jak prawdziwy mężczyzna. Dorosły i mający o czym marzyć, gdy wokół będą świstały kule.

No ale Nataszy nie było. Chustkę zachował, bo kasjera, który zajmował jej miejsce, na pewno bardziej interesowały wełniane skarpety. Dobrze obstawił – dostał bilet i nawet wyrysowaną na kartce odręczną mapkę, jak będzie przebiegać jego trasa. Musiał jechać do Taszkientu, a potem w stronę Samarkandy. Dwa do trzech tygodni podróży.

Na razie jednak siedział na dworcu i czekał na pociąg. Rozkład jazdy był jeszcze bardziej nieaktualny niż wtedy. Czuć było jakieś rozprężenie. To znaczy z jednej strony było napięcie, bo ludzi bardzo dużo, wszyscy dokądś jechali albo przed czymś uciekali, albo skądś wracali – ale z drugiej – panował chaos. System sowieckiej kontroli się poluzował, widać wojna to było tak dużo, że to, co wcześniej stanowiło podstawę życia tutaj, czyli całkowite panowanie nad każdym krokiem obywateli, już nie było możliwe. Marian pomyślał, że to może oznaczać, że jego zniknięcie z Żołymbetu nie będzie miało przykrych konsekwencji – co

on, taki mały żuczek, wobec obecnych, wielkich problemów Stalina? Mamie zostawił kartkę: „Pojechałem zrobić to, co powinien każdy Polak – walczyć”. Brzmiało ładnie i tak dorośle. Matka po tym, jak na pewno się zmartwi, że coś mu się stanie, powinna się ucieszyć, że on, Marian, wyrósł jednak na ludzi.

Nie oddalał się od peronów, bo zauważył, że komunikaty o przyjeździe i odjeździe nie zawsze są podawane przez megafony. Siedział więc, mocno przyciskając do siebie plecak, gdzie oprócz swoich ubrań miał też kilka przedmiotów na wymianę lub w celu spieniężenia.

Po kilku godzinach odczuł potrzebę pójścia do toalety. Do tej dworcowej nie zamierzał wchodzić, butów by potem nie doczyścił, a jak wstępować do wojska w butach uwalanych gównem? Ojciec powtarzał: „Jak zaczynasz, tak kończysz”.

Rozejrzał się więc i kawałek dalej zobaczył niedużą wnękę między budynkiem dworca a innym, stojącym obok. Ludzi było mrowie, ale jeśli się odwróci tyłem... Mógłby jeszcze się schować między wagonami stojącymi na bocznicach. Zawahał się.

I w tym momencie wydarzyły się dwie rzeczy – świst ruszającego pociągu i czyjś okropny krzyk. Pociąg odjechał, a na torach coś zostało. Zaraz zbiegli się tam ludzie. Marian wykorzystał ten moment na załatwienie swojej potrzeby, ale potem też poszedł w stronę zbiegowiska. Między torami leżało kobiece ciało. Bez głowy i nóg, sam kadłub w podwiniętej spódnicy. Obok kałuża moczu. Widać ta kobieta wstydziała się tak otwarcie przykucnąć i wysikać.

Marian patrzył na nią. Wyglądała nierzeczywiście – pocięta na kawałki, jakby była zepsutym manekinem.

Pomyślał, że to okropna i głupia śmierć. I że to jednak trudny wybór – kiedy się dopasować do sytuacji, a kiedy próbować robić coś po swojemu.



Kwadrans później na stację wjechał jego pociąg.

Los jednak mu sprzyjał.

\* \* \*

*Taszkient, lato 1942 roku*

Wiosna przeszła w lato, ciepłe dni zmieniły się w spiekotę.

Anna nie wiedziała, skąd ma jeszcze siły, żeby wciąż przeć do przodu. Była matką, to daje przewagę nad tymi, którzy nie powołali życia na ten świat, ale to tłumaczy motywację, a nie zasób sił witalnych.

Och, gdyby Franciszek był obok nich! Każdy obraz pełnej rodziny zadawał jej ból. Miała nadzieję, że gdy znajdą się w pobliżu polskiej armii, łatwiej będzie jej uzyskać informacje o mężu.

Sowieci wciąż ją zwodzili; z jakiegoś powodu nie chcieli jej o niczym poinformować. Czy ten naród kiedykolwiek wejdzie na cywilizowaną ścieżkę...? Choć nie tylko o nich myślała ostatnio z odrazą. W pociągu dowiedziała się więcej o oblężeniu Leningradu. Już wcześniej słyszeli, że Niemcy postanowili zdobyć to miasto, ale nie znali szczegółów. Teraz je poznali – to była długotrwała, bezlitosna i okrutna eksterminacja ludności cywilnej. Ludzie umierali z głodu – podobno w najgorszym zimowym okresie tych śmierci było nawet cztery tysiące dziennie. Ci, co chcieli utrzymać się przy życiu, dopuszczali się kanibalizmu. Dwie wielkie potęgi doprowadziły do tego, że ludzkie życie przestało mieć jakąkolwiek wartość. Anna pomyślała wtedy, że nawet jeśli komuś udało się przetrwać ten koszmar, to potem będzie musiał dokonać drugiego cudu – znaleźć sposób, by dalej żyć.

A oni jechali. Wciąż, niezłomnie, do celu. Warunki po drodze były fatalne i coraz gorsze. Coraz tłoczniej, coraz mniej jedzenia. Dobili do Taszkientu, z obliczeń Anny wynikało, że to mniej więcej połowa drogi,

jaką powinni przebyć. Tu też wypadła kilkudniowy postój, zanim wsiadła do kolejnego pociągu.

I właśnie tutaj Zosia się rozchorowała. Równoległe z guzem, jaki wyrósł jej na nodze, pojawiła się gorączka. Problemy zaczęły się jeszcze w pociągu, a w momencie, kiedy go opuszczali, sięgnęły apogeum. Zosia przelewała się przez ręce, majaczyła, ślaniała się. Przerazona Anna zaczęła szukać pomocy medycznej. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że wypadnie im tu przymusowy postój, bała się przegapić pociąg, by nie utknąć, więc w okolicy dworca odnalazła pielęgniarkę, którą poprosiła o pomoc. Ta, obejrzawszy Zosię, uznała, że ropień należy jak najszybciej przekłuć i opróżnić, a ranę zdezynfekować. Szpital odradziła, bo stwierdziła, że przepełniony i łatwo tam coś złapać. Chorej gdzie indziej należy zapewnić czyste i spokojne miejsce, maść do smarowania i dobre jedzenie. Z tego zestawu jedynie maść wydawała się realna, bo pielęgniarka obiecała ją dostarczyć. Kościany grzebień do włosów i trzy ruble załatwiły sprawę. A reszta?

Zrozpaczona Anna dociągnęła córkę w najdalsze rejony bocznic, gdzie na kocu urządziła jej posłanie. Zosia, w gorączce, trzęsła się nawet w ciągu dnia. W nocie zaś, gdy temperatura spadała, wpadała w dygot. Anna bała się o jej życie, szczypała się w udo, by nie zasnąć, i modliła się. A rano postanowiła wysłać Elę po jedzenie. Biła się z myślami, czy nie naraża młodszej córki na zbytne niebezpieczeństwo, ale nie mogła zostawić Zosi. Robiła jej zimne okłady, zabezpieczała ranę przed zabrudzeniem i natrętymi owadami, jednocześnie próbując zapanować nad synem, który nie rozumiał przecież, że to nie czas i miejsce na zabawy i ucieczki.

– Masz. – Anna sięgnęła do woreczka zawieszzonego na szyi. Miała w nim ostatecznie trzydzieści rubli i ciężką złotą bransoletkę. Zawahała się. Nie, nie może się tego pozbyć, to jest zasób na czarną godzinę, a czarna

godzina właśnie wybiła – dla Zosi. – Nie. – Zacisnęła sznureczki. – Poczekaj.

Lewą dłonią sięgnęła do prawej. Przez chwilę pocierała dłonie o siebie, po czym podała Eli pierścionek.

– Ale...

Młodsza córka wbiła w nią spojrzenie. Matka podała jej pierścionek zaręczynowy – piękny szafir w koszyczku ze szmaragdów.

– Mamo, to przecież od taty... – zaczęła. Wiedziała, jak matka jest przywiązana do tej biżuterii.

– Zosia też jest od taty. To najlepsze przypomnienie miłości, która nas połączyła. – Anna machnęła ręką, choć był jej bardzo smutno. Tak, to był tylko przedmiot, ale od dwudziestu lat się z nim nie rozstawała. –

Weź i wymień go na kawałek mięsa i trochę warzyw. Muszę ugotować bulion. Mięso sprawdź, wiesz, jak to się robi, uczyłam cię jeszcze w domu. Pilnuj pierścionka, bo więcej nie mam. Uważaj na siebie, nie idź w odludne miejsca. I wracaj jak najszybciej.

Pocałowała ją w czubek głowy i odwróciła się, żeby Ela nie zobaczyła jej łez.

\* \* \*

„Smiert’ niemieckim okupantom”, „Wrag budiet razbit”, „Wsio dla fronta, wsio dla pabiedy”. Takie hasła Marian mijał po drodze. I to dawało mu nadzieję, że tym razem jego wola wstąpienia do wojska zostanie przekuta w czyn. Z drugiej jednak strony widział, że ruch jest jeszcze większy niż poprzednim razem i jednocześnie, jak to się tu mówiło, po prostu jest bardak.

Był zmęczony i znużony podróżą. Warunki były pieskie, ale nie w tym rzecz, przecież nie był wydelikacony, jak jakieś szlachciątko czy paniczyk. Przez cały czas musiał pilnować swojego dobytku, czyli

wszystkiego, co miał ze sobą i na sobie. Widział chłopaka, który zdjął w pociągu buty, żeby dać odetchnąć zmęczonym stopom. I ktoś mu te buty gwizdnął. Opory, przyzwoitość – takie rzeczy były w odwrocie. Jak się ma do wyboru swoje życie lub cudze, to się wybierze własne. Tak to natura urządziła, a z naturą nikt nie wygra.

Pociąg wyhamował. Dojechali chyba do Taszkientu. To ostatni punkt przesiadkowy, stąd wyruszy do Samarkandy.

Dworzec był ogromny, największy z dotychczasowych. Marian odruchowo przesunął plecak pod pachę i ścisnął go. Musiał odnaleźć miejską jadłodajnię, podobno tam był punkt dla rekrutów, tak przynajmniej usłyszał w pociągu. Liczył na posiłek i na to, że zaoszczędzone zaskórniaki i towar wymienny zostaną mu na później.

Po półgodzinie znalazł się na miejscu. Duże pomieszczenie było wypełnione chłopakami takimi jak on. Niektórzy siedzieli przy długich stołach i jedli. Marian poczuł ściskanie w żołądku. Podszedł do jakiegoś mundurowego i podał mu swoje papiery z akmolińskiej komisji oraz dowód, który dostał po amnestii. W zamian otrzymał kwit na prowiant. I informację, że zebranie będzie potem.

Godzinę później, z brzuchem wypchanym trochę za słoń, ale treściwie tłustą zupą, i pakunkiem z plackami, gotowanymi burakami i kawałkiem słoniny, postanowił się przejść po okolicy i pogadać z kimś, kto był bardziej zorientowany niż ci, z którymi jadł posiłek, bo oni też przed chwilą przyjechali i byli równie zieloni co Marian.

Wstał i poszedł w kierunku wyjścia.

\* \* \*

Nadrabiała miną. Bywało, że się boczyła, że mówiła mamie, żeby jej nie traktować jak dziecko, bo ona przecież jest już prawie dorosła. W takich momentach szesnaście lat było jak tarcza przed nadmierną

opiekuńczością matki. Teraz zaś myślała o swoim wieku, że to tylko naście lat. I że mimo rozkwitłej powłoki, w środku jest jednak nieśmiałą, niedoroślą Elżunią.

Kupić w tym upale świeże mięso chyba nie sposób. Widziała jakieś kości z ochłapami, ale na ich widok żołądek podjechał jej do gardła. Dobrze, że dostrzegła coś, co wyglądało jak stołówka czy restauracja. Jedzenie tutaj nie będzie tak treściwe jak bulion mamy, ale przecież to nie Eli wina. Bardzo się starała, zeszła kawał okolicy, pozaglądała do sklepów i w zaułki.

Nie chciała zawieść mamy ani siostry. Boże, gdyby Zosi coś się stało! Ela by się z tego z trudem podniosła, a mama... Mama mogłaby tego nie przeżyć. Nigdy by tego nie powiedziała głośno, bo była bardzo akuradna i sprawiedliwa, ale Ela zawsze czuła, że mamie jest bliżej do starszej córki, bo ona jest taka do niej podobna. Obie z Zosią były brązowowłose i brązowookie, jak matka, ale to Zosia dostała matczyne rysy twarzy i jej filigranowość. Ela była mocniejszej kości i pospolitszej urody. I taki też miała charakter. Zwykle nic sobie z tych różnic nie robiła, ale czasem potrafiło ją to zakłuć.

Jak na przykład teraz. Poczuła, że zaraz się rozpłacze. Z tej niesprawiedliwości, z tego smutku, z napięcia – ze wszystkiego po prostu.

\* \* \*

Oślepiło go słońce. Otworzył drzwi i aż musiał przymknąć oczy. Kiedy ponownie podniósł powieki, znowu miał wrażenie, jakby stał naprzeciwko blasku. Tym razem jednak nie chodziło o naturę. To znaczy o naturę też, ale...

Nie, to niemożliwe, gdzie Szortandy, gdzie Taszkient, skąd by Natasza...

Kiedy ta dziewczyna weszła do środka, a drzwi się zatrzasnęły, odcinając dopływ palącego światła, miał już pewność, że to nie ta, z którą w myślach spędzał ostatnio noce. Dziewczyna była jednak bardzo, wręcz niemożliwie podobna do Nataszy. Takie same włosy, oczy, rysy twarzy, krągłość figury i jakaś... nieonieśmielająca swojskość, choć była niezwykle ładna. Może to siostra...?

– Izwinitie... – zaczął. – Wy nie... wam nie... a może być, szto... – zaplątał się.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i lekko się zarumieniła. Ślicznie i nieporadnie. I cofnęła się o krok.

– Przepraszam, ja... – zaczęła.

– Polka? – prawie wykrzyknął.

– A pan? – Jej zdumienie było podobne.

Stali naprzeciwko siebie i...

\* \* \*

Nigdy wcześniej nie doznała czegoś podobnego. To uczucie było... miłe. Ciepłe. Łaskoczące. Drżące. Dziwne. Onieśmielające. Nowe.

A ten chłopiec czy raczej młody mężczyzna... I to, jak na nią patrzył. Chciała coś powiedzieć, ale nagle jakby straciła panowanie nad swoim głosem. A tuż potem przypomniała sobie, po co tu przyszła. To było jak przełączenie światów.

– Ja... My tu jesteśmy z mamą, chorą siostrą i bratem. I ja przyszedłam po jedzenie, dla niej. Ona potrzebuje rosółu, czegoś na wzmocnienie. A tu nigdzie mięsa, mimo że ja mam... – Wyciągnęła z kieszeni spódnicy zaciśniętą w dłoń pięść. Rozprostowała spocone palce i coś niebiesko-zielono-złociście błysnęło.

Marian przez moment bił się z myślami. Rozsądek a emocje. Głód i niewiadoma. Niewiadoma i ta dziewczyna. W końcu, poddając się impulsowi, zdecydował:

– Chyba mogę pani pomóc. – Wyciągnął przed siebie rękę z zapakowaną wałówką.

– O, dobrze, że jeszcze tu jesteście, szeregowy.

Oboje obrócili się na głos dobiegający z tyłu. To był ten mundurowy i jakiś inny, wyższy od niego stopniem, starszy i poważniejszy.

– Zebranie jest, zapraszamy.

– Teraz? – zapytał Marian.

Głupio, od razu tak pomyślał, ale przecież ta dziewczyna...

– Dla żołnierza zawsze jest teraz. – Uśmiechnął się ten pierwszy.

\* \* \*

– Zuch dziewczyna.

Anna Polakowska przejęła od Eli pakunek z prowiantem.

– Zrobiłam tu małe palenisko, ronderek mamy, podgrzeję i... A ty się dobrze czujesz? – Z troską spojrzała na młodszą córkę. – Trzęsiesz się? Może masz gorączkę. Pokaż się, kochanie. – Podeszła do Eli i dotknęła jej czoła. – Nie, tylko trochę ciepłe, to pewnie od tej duchoty. A może spotkało cię coś niemiłego? – Przyjrzała się jej baczniej. – Nikt cię nie zaczepiał, nie chciał niczego... – zawahała się. Ela wyglądała na starszą, niż w rzeczywistości była. I do tego zrobiła się tak kobieca, apetyczna. W środku jednak była młodą, nieznaną życia dziewczyną.

– Nie, wszystko w porządku, naprawdę.

– To dobrze, bo wiesz... No, chciałam powiedzieć, że czasem ludzie mają złe intencje. Zwłaszcza mężczyźni wobec młodych, ładnych

i niedoświadczonych kobiet. Mówią i robią rzeczy, które nie są prawdą, po to, żeby... – Przypomniała się jej łąka w Niemowiczach. Poczwała ciepło na dekolcie. Ona i Franciszek. On zawsze tak bardzo jej pragnął, w narzeczeństwie też i... Ale to było co innego. Inny człowiek, inny świat. A tu...

– ...żeby zrobić coś, co może być bardzo przykre i mieć okropne skutki.

Widziała w oczach Eli, że ta się domyśla, o co jej chodzi, ale zrobiło się jej głupio, że nie potrafi o tym powiedzieć jakoś prościej – kulturalnie, lecz jasno. Wciąż siedziała w niej pensjonareczka z ubiegłego wieku, a przecież miała już ponad czterdzieści lat, a świat tak bardzo się zmienił.

– Nie, mam, nic takiego. Wręcz przeciwnie.

Ela sięgnęła do kieszeni i podała mamie pierścionek.

– No to jak? – Anna się zdumiała. – Przecież ty nie miałaś żadnych pieniędzy.

– Czasem spotyka się dobrych ludzi. – Ela się uśmiechnęła.

„Którzy są bardzo przystojnymi chłopcami”, dodała w myślach. W kieszeni miała też kartkę z imieniem i nazwiskiem tego rekruta. Ona zrewanżowała mu się informacjami o sobie. I mieli się spotkać jutro, w tej jadłodajni. On obiecał znowu załatwić jedzenie dla Zosi, dla Eli zresztą też, choć ona nie była teraz zupełnie głodna.

Chyba właśnie się dowiedziała, jakie to uczucie, gdy człowiek się zakochuje.

\* \* \*

*Kierunek Samarkanda, lato 1942 roku*

Znowu stukot kół, monotony, usypiająco-otępiający.



Ela patrzyła przez okno na uciekający krajobraz. Tak szybko się zebrali!... Okazało się, że na bocznicę obok szykują pociąg do Samarkandy, czyli w ich kierunku. Mama, za opłatą, a jakże, uzyskała zgodę, by wnieść tam Zosię i zająć miejsca, nim skład podjedzie na peron. Jeszcze wczoraj Ela potraktowałaby to jak wybawienie, ale teraz... To wszystko odbyło się tak prędko, że nie miała czasu, by pójść do tej jadłodajni. Chciała, ale matka stanowczo się sprzeciwiła. Ela, hamując łzy i nic nie mówiąc, zostawiła w miejscu ich obozowania skrawek wytłuszczonego papieru po słoninie, na którym z trudem utrzymywał się grafit ołówka.

Oby on przyszedł i oby go znalazł.

\* \* \*

### *Kierunek Żołymbet, lato 1942 roku*

Znowu stukot kół, monotony, usypiająco-otępiający.

Marian siedział w rogu wagonu. Mógłby się dopchać do okna, ale znał już tę trasę. Przemierzał ją czwarty raz. Tam i z powrotem, tam i znowu z powrotem.

Ten podchorąży był miły i w ogóle taki ludzki, mimo że występował oficjalnie. „Zrobisz, jak będziesz chciał, my nie z NKWD, ale idź, pogadaj z chłopakami, którzy tu siedzą. Wrócili tu właśnie z Samarkandy i Krasnowodzka. Tam byli w obozach, od kilku tygodni. Bez szans na nabór, bo formowanie się zakończyło i nie ma możliwości, by się dostać do Persji. Trzeba się uzbroić w cierpliwość, ale tam, gdzie lepsze warunki i praca. Tu czeka cię bezczynność i wegetacja”.

Marian poderwał się do dyskusji, ale szybko opadł. Buzowały w nim emocje, już się widział w wojsku, a tu powrót. Drugi raz to samo! Porażka.

Oślodą była ta kartka, którą włożył w swój paszport.

„Jedziemy do Krasnowodzka, potem do Persji. Będę czekać, będę szukać. Ela”.

On też tam trafi. Nie teraz, to za chwilę. Dopnie swego, przecież postanowił sobie to jeszcze w Polsce.

\* \* \*

### *Krasnowodzk, lato 1942 roku*

Zosia patrzyła, jak pomarańczowa kula słońca powoli opada w ciemnoniebieską, połyskującą wodę.

Stała, opierając się plecami o wysoki komin. Wciąż jeszcze była słaba po tej koszmarnej chorobie, ale najgorsze minęło. Gdyby nie determinacja mamy, no i spryt, a może łut szczęścia Eli, która zdobyła wtedy dla niej to jedzenie, mogłoby już jej nie być na tym świecie.

To byłaby ironia – tyle przetrwać, być o krok od drzwi, a właściwie od trapu do wolności – i umrzeć.

Dostali się na statek. Ogromny sowiecki statek towarowy Kaganowicz. Zaokrętowali cztery i pół tysiąca ludzi! Wielu, ale to i tak była kropla w morzu potrzeb.

Im się udało, co było zasługą ojca – taką bierną, bo wciąż żadnych o nim lub od niego wieści. Tu ironia zaszła – on, ich przepustka do normalności, nadal był na tej podłej ziemi. Smutek, ale odpędzany przez światło innej nadziei. Na dworcu zobaczyły rzecz niezwykłą. Jedna ściana była upstrzona karteczkami zapisanymi po polsku. To były fragmenty gazet, kawałki jakichś bumag lub innych papierów; niektóre oznaczone jak pocztówki, tyle że bez znaczka. Zostawili je żołnierze i cywile płynący do Persji – tym, którzy, jak mieli nadzieję, znajdą się tu po nich. Zosia rzuciła się, by przejrzeć te zapiski, mimo że mama ją ponaglała. Anna Polakowska się bała, że masa ludzka, która pragnęła się znaleźć na statku, może mieć większą siłę niż oficjalna lista osób do

zaokrętowania. Zosia w pośpiechu więc biegła wzrokiem od jednej karteluszki do kolejnej. Gdyby nie pomoc Eli, pewnie nie udałoby się jej wypatrzeć wydzieranki z jej imieniem i nazwiskiem.

Wzruszyło ją zaangażowanie siostry, która starała się tak, jakby jej samej to dotyczyło. Ależ wyrósł, ten maleńtas! Kartka od Janka doprowadziła ją do łez – a więc żył, był, a za chwilę ona popłynie w to samo miejsce, w którym on się znalazł na wiosnę.

Czuła, że to początek dobrych zmian.

Słońce schowało się już za horyzontem, ale na pociemniałym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

*Ciąg dalszy nastąpi*

# Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Karta redakcyjna](#)

Text © 2022 Agnieszka Jeż

© 2022 Copyright Burda Media Polska Sp. z o.o.

All Rights Reserved

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktorka prowadząca: Małgorzata Hlal

Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki

Korekta: Anna Brzezińska

Beata Wójcik

Projekt okładki: Urszula Gireń

Zdjęcia na okładce: © Shutterstock

© Trevillion Images

ISBN 978-83-8251-263-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

[www.slowne.pl](http://www.slowne.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek